





*MARTIN EDEN*

TOM II



## TEGOŻ AUTORA:

PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA — „Ignis” 1921  
ODYSSEA PÓŁNOCY (wyczerpane)  
SERCE KOBIETY (wyczerpane)  
WILK MORSKI — powieść — „Ignis” 1922  
NA SZLAKU — „Ignis” 1923  
OPOWIEŚCI MÓRZ POŁUDNIOWYCH — „Ignis” 1923

## W przygotowaniu:

ODSZCZEPIENIEC i inne nowele  
BÓG OJCÓW JEGO — opowiadania z Klondike  
SYN SŁOŃCA  
PRZYGODA — powieść

L: 489.

JACK LONDON

# MARTIN EDEN

POWIEŚĆ

TOM II

Od krwi gorące niechaj lata płyną,  
Mocne snów wino niechaj wali z nóg.  
I niechaj nie wiem, jak się czarną gliną  
Sypie dom duszy, gdy zeń wyjdzie Bóg!



WARSZAWA

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS” S. A.

Prawa przekładu na język polski w Tow. Wyd. „łgnis”

Przełożyła z angielsk. *Stanisława Kuszelewska*

Okladkę rysował Tadeusz Gronowski

Odbito 8300 egz. w Drukarni

Narodowej w Krakowie

1 9 2 3

## Rozdział XXVI

Nazajutrz Martin Eden nie wyruszył na poszukiwanie pracy. Przed wieczorem zaledwie otrząsnął się z gorączki i obolałemi oczyma rozejrzał po pokoju. Mary, ośmioletnia latorośl rodu Silvy, pełniąca straż przy łóżku, wszczeła radosny pogwar, dostrzegłszy oprzytomnienie chorego. Marja wpadła z kuchenki do pokoju. Jedną stwardniałą od pracy dłoń położyła na czole Martina, drugą troskliwie badała tętno.

— Dać jeść? — pytała.

Zaprzeczył ruchem głowy. Nie odczuwał zupełnie potrzeby jedzenia, dziwił się nawet, że kiedykolwiek w życiu mógł być głodny.

— Chory jestem, Marjo — przemówił słabo. — Co mi jest? Nie wiesz przypadkiem?

— Grypa — odrzekła. — Dwa, trzy dni i będzie w porządku. Lepiej tera nie jeść. Jutro, albo pojutrze.

Martin nie przywykł do chorowania. Kiedy więc Marja i jej córeczka wyszły do kuchni, wstał i próbował się ubrać. Kręciło mu się w głowie, oczy zamykały się mimowoli. Całym wysiłkiem zwałókł się z łóżka, lecz opadł bezwładnie na stół, jak łódź

rzuciona o brzeg. W pół godziny później dopełził zpowrotem do łóżka, rad, iż może leżeć bez ruchu z zamkniętymi oczami. Powoli przesuwiał w myśli rozliczne utrapienia i troski. Marja wchodziła kilkakrotnie, żeby zmienić zimny okład na czole chorego. Pozatem zostawiała go w spokoju, zbyt mądra, by męczyć troskliwością. Martin, wdzięczny jej zato, pomrukiwał zcicha: „Dostaniesz fermę mleczną, Marjo, napewno, napewno...”

Potem przypominać jął zamierzczłą przeszłość dnia wczorajszego. Jak gdyby życie całe upłynęło od nadejścia listu z „*Transcontinentalu*” — życie całe od chwili, co wszystko dawne zburzyła i pogrzebała, odwróciwszy nową kartę losu. Wyrzucił ostatni pocisk z cięciwy, a teraz leżał powalony. Gdyby się nie był głodził, nie dosięgłoby go choróbsko. Wycieńczony jest jednak, i brak mu teraz sił do zwalczania zarazki, który napadł organizm. Oto rezultat!

— I naco zda się człowiekowi napisanie całej biblioteki, jeśli postrada życie? — zapytał chłopak głośno. — Nie tu moje miejsce. Dość już literatury. Przeznaczenie to biuro, książki rachunkowe, pensja miesięczna i życie z Ruth w małym domku własnym.

W dwa dni później, Martin, przełknąwszy jajko, dwie grzanki i trochę herbaty, upomniał się o swoją pocztę; ból oczu jednak nie pozwolił mu czytać.

— Proszę mi przeczytać, Marjo — powiedział. — Te duże, długie, listy — nic ważnego. Pod stół z nimi. Proszę czytać tylko małe.



— To nie na mój rozum — brzmiała odpowiedź. — Tereska chodzi do szkoły, ona spotrafi.

Tak więc dziewięcioletnia Teresa Silva otworzyła listy i czytała jeden po drugim. Martin puszczał mimo uszu długą tyradę agenta maszyn do pisania, rozważając uparcie sposoby wynalezienia posady. Nagle raptowny wstrząs przywołał go do przytomności.

„Ofiarowujemy panu czterdzieści dolarów za całkowite prawa do pańskiego utworu — sylabizowała powoli Tereska — prosząc niniejszem o pozwolenie poczynienia odpowiednich skrótów“.

— Co to za gazeta? — krzyknął Martin. — Czekajno. Dawaj!

Mógł już teraz czytać, nie pamiętał o bólu oczu. To „*Biała Mysz*“ proponowała czterdzieści dolarów za „*Wir*“ — jedną z najwcześniejszych „okropnych opowieści“. Martin raz po raz odczytywał list. Wydawca pisał szczerze, iż temat nie wydaje mu się opracowany należycie, ale, że temat ów właśnie pragnąłby zakupić, jako oryginalny i ciekawy. O ile więc wolno mu będzie skrócić nowelę o jedną trzecią — uczyni to i wyszle 40 dolarów natychmiast po odebraniu odpowiedzi.

Martin zażądał pióra, atramentu i odpisał wydawcy, żeby skrócił nawet o trzy trzecie, jeśli ma ochotę, lecz żeby jak najprędzej przysłał 40 dolarów.

Tereska pobiegła wrzucić list, Martin zaś leżał i rozmyślał. A przecież w gruncie rzeczy, — prawda! „*Biała Mysz*“ płaci z chwilą przyjęcia. „*Wir*“

miał trzy tysiące słów. Skrócić o jedną trzecią — dwa tysiące. Czterdzieści dolarów, to akurat po dwa centy za słowo. Zapłata — dwa centy słowo, termin — chwila przyjęcia. Gazety mówiły prawdę. Przepuszczał, że „*Biała Mysz*“ jest trzeciorzędnym czasopismem! Najwidoczniej nie znał wydawnictw. Uważał „*Transcontinental*“ za organ bardzo poważny, a przecież płaci tylko centa za dziesięć słów. „*Białą Mysz*“ lekceważył, a jednak daje ona dwadzieścia razy więcej i w należytym terminie.

No, jedno nie ulega wątpliwości: posady szukać nie pójdzie. Wiele ma jeszcze w głowie opowiadań niegorszych od „*Wiru*“. Biorąc po czterdzieści dolarów za sztukę, zarobi znacznie więcej, niż na jakiegokolwiek posadzie. Bitwa została wygrana właśnie w chwili, gdy myślał, że przegrał. Oto początek powodzenia. Droga jasna. Zaczawszy od „*Białej Myszy*“, z dniem każdym zwiększać teraz będzie spisy swoich wydawców. Robotę rzemieślniczą można cisnąć w kąt. Nie przyniosła zresztą ani centa. Poświęci się pracy — poważnej pracy — wypowie, wyrazi, wypisze wszystko, co ma w duszy najlepszego. Zapragnął w tej chwili, żeby Ruth podzieliła jego radość i — nagle — przejrawszy listy rzucone na posłanie, spostrzegł list od Niej! Pisała z wyrzutem pełnym słodyczy, pytając, co mianowicie zatrzymało Martiną w domu przez czas tak okrutnie długi. Chłopak pobożnie odczytywał stroliczki, zachwycał się charakterem pisma, wielbił każde pociągnięcie pióra, a nareszcie ucałował podpis.

Odpowiadając, przyznał się szczerze, że nie mógł przyjść, ponieważ zastawił w lombardzie jedyne przyzwoite ubranie; ostatniemi czasy był chory; obecnie jednak ma się już lepiej i za jakieś dzień-dni lub dwa tygodnie (jak tylko otrzyma odpowiedź na list wysłany do New Yorku) — wykupi ubranie i przybiegnie!

Panienka jednak nie życzyła sobie czekać dzień-dzięciu dni. Przecież narzeczony jej był chory. Następnego popołudnia, w towarzystwie Artura, przybyła własnym powozikiem, ku niewypowiedzianej ucieście plemienia Silvy i wielkiej konsternacji samej Marji. Matka wytargała za uszy dzieciaki, tłoczące się koło gości na ciasnym ganeczku, i straszliwszą niż zwykle angielszczyznę przepraszać poczęła za swoją powierzchowność. Zakasane rękawy, mydliny, ociekające z rąk, i gruby worek, uwiązany zamiast fartucha, świadczyły wymownie o zajęciu, przy którym ją zastano. Tak była zmieszana najazdem dostojnych młodych gości, pytających o jej lokatora, że zapomniała nawet poprosić, aby zechcieli spocząć w saloniku. Idąc do pokoju Martina, musieli przejść przez kuchenkę, gorącą, wilgotną i pełną pary od wielkiego prania. Marja w popłochu nie zamknęła drzwi sypialni i przez dobrych chwil kilka obłoki, cuchnące brudem i mydlinami, wdzierały się do pokoju chorego.

Ruth z powodzeniem lawirowała w prawo, w lewo i znowu w prawo, dopóki kanałem między stołem a łóżkiem nie przedostała się ku Martinowi; Artur

czynił to mniej zręcznie, aż na improwizowanej kuchence zatrajkotały i zabrzęczały potrącone garnuszki. Nie bawił tam zresztą długo. Ruth zajęła jedyne krzeselko, brat więc, spełniwszy swój obowiązek, wyszedł przed dom, gdzie stał się natychmiast ośrodkiem zainteresowań plemienia Silvy. Gapilo się to na eleganckiego pana, niby na przedstawienie; zgromadzona wokół powozu, dzieciarnia z domków sąsiednich oczekiwała i pożywała jakiegoś niezwykle ciekawego zakończenia. Powozy widywano w tej dzielnicy jedynie z okazji ślubów i pogrzebów. Tym razem przecież nie zdarzyła się ani śmierć, ani wesele, zaszło więc oczywiście coś niebywałego i niewątpliwie godnego oczekiwania.

Martin szalał z radości na widok Ruth. Naturę miał głęboko uczuciową, do ostatnich granic spragnioną sympatji, a raczej szczerego, rozumnego współczucia. Nie wiedział jeszcze, iż serdeczność panienki wypływa raczej z potrzeby kochania, niż z istotnego zrozumienia i odczucia kochanego człowieka. Miłość to jednak kazała dziewczynie oddawać Martinowi uścisk dłoni i słuchać słów jego, pełnych radosnego uniesienia; miłość kazała oczom Ruth szklić się wzruszeniem i jaśnieć tkliwością na widok bezsilności chłopaka i śladów cierpienia na jego twarzy.

Kiedy jednak opowiadać zaczął o przyjęciu dwóch rękopisów, o rozpaczach swej po liście „*Trans-continentalu*“, o radości, jaką sprawiła mu propozycja „*Białej Myszy*“ — panienka pozostała obo-

jętna. Słyszała słowa Martina, pojmowała ich treść formalną, nie dzieliła jednak rozpaczy ni radości. Nie mogła przestać być sobą. Nie zależało jej na sprzedawaniu nowel do czasopism. Jedynie małżeństwo było dla niej ważne. Nie uświadamiała sobie tego jednakże, ani tego, że uparta chęć znalezienia posady dla Martina wypływała z instynktownego i budzącego się już pragnienia macierzyństwa. Ruth splonęłaby wstydem, gdyby jej to powiedziano po prostu i bez obślonek; oburzyłaby się gorąco i szczerze. Zapewniałaby poczęła, że obchodzi ją wyłącznie dobro kochanego mężczyzny. Tak więc, podczas gdy Martin otwierał serce, rozradowane pierwszym powodzeniem, pierwszym dowodem ludzkiego uznania, panienka spostrzegała tylko nagi szkielet słów; zato ciekawie i uparcie rozglądała się po pokoju, zaskoczona i przerażona tem, co spotykały oczy.

Po raz pierwszy w życiu patrzyła panna Ruth w ponure oblicze nędzy. Wielbiciele przymierający głodem wydawali jej się zawsze bardzo romantyczni — nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób mieszkają owi ubodzy kochankowie. Nie przypuszczała nawet, że może to wyglądać w ten sposób. Przenosiła spojrzenie z pokoju na Martina i znowu zpowrotem na pokój. Tępy, wilgotny zaduch brudnej bielizny przyprawiał o mdłości. Martin musiał być cały tem przepojony, jeśli owa okropna kobieta pierze często — przemknęło przez myśl panny Morse. Taka jest bowiem zaraźliwość nędzy. Zdawało się panience, że dostrzega na Martinie nieczysty

śląd zetknięcia z otoczeniem. Dotychczas nie widywała chłopaka niegolonego i trzydniowy zarost, zaniedbany podczas choroby, wydał jej się odrażający. Nie tylko nadawał twarzy Martina ten sam ciemny i ponury charakter, który nosiło całe domostwo Silvy, lecz potęgował jeszcze wrażenie brutalnej, zwierzęcej siły, tak dla Ruth nienawistnej. I oto nadomiar złego, przyjęcie rękopisów, o którym opowiada z taką dumą, utwierdzi go w dotychczasowym szaleństwie. Gdyby jeszcze trochę poczekał, dałby spokój i wziął się do pracy. Teraz jednak pozostanie znowu kilka długich miesięcy w tym ohydny domu, pisząc i przymierając głodem.

— Co to za zapach? — spytała nagle.

— Pewnie któryś z pralnianych zapachów Marji — brzmiała odpowiedź.

— Nie, nie; nie to. Coś innego — zgniły, skwaśniały, mdlący zapach.

Martin powąchał powietrze, zanim odpowiedział.

— Nie czuję nic innego, prócz zastarzałego dymu z papierosów — oświadczył.

— Otóż właśnie. To okropne. Dlaczego pan tyle pali?

— Bo ja wiem! Wiem tylko, że palę więcej niż zwykle, gdy jestem sam i zgnębiony. Pozatem — stare przyzwyczajenie. Zacząłem palić, będąc jeszcze smarkaczem.

— Niezbyt miłe przyzwyczajenie, przyzna pan — ciągnęła dziewczyna. — Zapachy biją aż w niebiosy.

— To już вина złego tytoniu. Mogę sobie po-



zwolić tylko na najtańszy. Niech pani raczy zacząć na mój czek czterdziestodolarowy! Będę palił ziola, które nie obrażą nawet anielskiego powonienia. Ale, nieźle, prawda — dwa rękopisy przyjęte w ciągu trzech dni? Te czterdzieści pięć dolarów pokryją wszystkie moje długi.

— To za dwa lata pracy? — zagadnęła Ruth.

— Nie, pięć—sześć dni. Niech pani będzie łaskawa przysunąć ku mnie tę dużą książkę — tak jest, notatnik — w szarej okładce...

Chłopak otworzył i szybko przerzucał kartki. —

— Tak jest, miałem rację. Cztery dni poszło na „*Dźwięk dzwonów*“, dwa dni na „*Wir*“. Czterdzieści pięć dolarów za tydzień pracy — co wynosi sto osiemdziesiąt dolarów miesięcznie. Przewyższa to każdą pensję urzędniczą, o jakiej mógłbym marzyć. A przecież — zaczynam dopiero. Tysiąc dolarów miesięcznie to nie za wiele, żeby móc otoczyć panią takim jak pragnę dobrobytem. Pięciusetdolarowa pensja — stanowczo za mało. Te mizerne czterdzieści pięć dolarów, to dopiero start. Niechże pani zechce poczekać na rozpęd. Wtedy... o wtedy oddychać będzie można swobodnie.

Ruth nie zrozumiała i powróciła do kwestji papierosów.

— Pali pan stanowczo więcej niż należy, i rodzaj tytoniu nie gra tu roli. Palenie, jako takie, jest brzydkie, niezależnie od gatunku i ceny tytoniu. Człowiek przemienia się w komin, w dymiący wulkan, w piecyk ruchomy, jednym słowem w istną

rozpacz. Zresztą, Martin, kochanie, pan dobrze wie, że to prawda...

Skloniła się ku niemu, tkliwa i prosząca, chłopak zaś, spojrzawszy w jasną, przeczystą głębi dziewczęcych oczu, przeraził się własnej nikczemności.

— Pragnęłabym bardzo, żeby pan nigdy już nie palił — szepnęła słodko panienka. — Ja proszę. Proszę zrobić to... dla mnie.

— Naturalnie! Nigdy już nie dotknę papierosa! — krzyknął Martin. — Uczynię wszystko, co rozkażesz, kochanie najmilsze — wszystko — Ty wiesz!

Panienkę osaczyły pokusy. Przez krótką chwilę dane jej było zawładnąć tą bujną naturą. Pewna była, iż dzisiaj żądać może nawet porzucenia pisanja — Martin życzenie jej spełni. Przez jeden moment na wargach Ruth drżały decydujące słowa. Nie wyrzekła ich jednak. Zabrakło jej odwagi. Wzamian zato skłoniła się bliżej jeszcze ku chłopakowi i już w objęciach jego szepnęła:

— Ty wiesz, to przecież nie dla mnie, to tylko dla twego dobra. Pewna jestem, że palenie ci szkodzi. Zresztą wogóle źle jest być niewolnikiem czegokolwiek, a najgorzej chyba niewolnikiem nędznego zielska.

— Będę zawsze twoim tylko niewolnikiem — w uśmiechu przemówił chłopak.

— W każdym razie rozpoczynam wydawać rozkazy.

Spojrzała mu w oczy figlarnie, w głębi duszy za-



lując jednakże, iż nie odważyła się rzucić najważniejszej swej prośby.

— Istnieje, by słuchać, Wasza Królewska Mość.

— A więc dobrze. Pierwszy mój rozkaz brzmi: obowiązkowe codzienne, staranne golenie... Patrz, pokłuleś mi policzek...

Tak oto skończyło się na śmiechu i pieszczotach. Ruth, osiągnąwszy pierwszy sukces, nie liczyła tymczasem na więcej. Była po kobiecemu dumna, że kazała mężczyźnie przestać palić. Następnym razem poprosi, żeby wziął posadę — czyż nie obiecał, że uczyni wszystko, cokolwiek ona zechce?

Wstała, żeby zwiedzić izdebkę, obejrzała makaron notatek, zwieszający się ze sznurów, poznała tajniki olinowania, trzymającego rower pod sufitem, i oburzyła się pocichu, lecz głęboko na widok mnóstwa rękopisów, ciśniętych pod stół, a reprezentujących tyle zmarnowanego czasu. Maszynce naftowej wyraziła panienka swój zachwyt, obejmując jednak półki na żywność, stwierdzić musiała, że świecą pustkami.

— Ach, Boże, nie masz nic do jedzenia, mój ty biedaku! — zawołała z serdecznem przejęciem. — Głodzisz się pewnie!

— Chowam zapasy w spiżarni Marji — skłamał. — Lepiej się tam konserwują. Co do głodu, to niema obawy. Detal. Proszę tylko spojrzeć!

Ruth zbliżyła się i ujrzała, jak Martin zgina ramię, odsłoniwszy je po łokieć. Bicepsy popęzły pod rękawem, nabrzmiewając w węzeł mięśni, cięż-

ki i wspaniały. Widok ten odtrącił panienkę. Nie lubiła tego z całej duszy, a raczej nie ona, lecz jej gusty, zasady, sentymenty. Zato krew, tętno, każdy fibr ciała — kochał, tęsknił, pożądał. W dawny, dziwaczny, niewytłumaczony sposób — przylgnęła, zamiast odejść, przytuliła się, zamiast odepchnąć. W chwilę potem, gdy chłopak dławił ją w ramionach, w dziewczynie buntował się rozsądek, przywykły do oceniania powierzchni życia, lecz serce, kobiecość spojona z istotną prawdą życia — święciły triumf radosny. W momentach podobnych Ruth czuła wyraźnie wielkość miłości swej dla Martina; rozkosz uścisku potężnych ramion, dławiących aż do bólu, przyprowadzała ją nieomal o zemdlenie. W takich chwilach Ruth znajdowała obronę dla popełnionej zdrady zasad, dla gwałcenia własnych ideałów, a przede wszystkim dla upartego nieposłuszeństwa ojcu i matce. Nie chcieli przecież, żeby poślubiła Martina. Raziło ich, że córka kocha tego człowieka. Ją samą zresztą raziło również, ilekroć myślała o nim zdaleka, zimna, rozsądna i rozważająca. Lecz wystarczyło podejść — i kochać musiała, nie raz co prawda grzeszną i dziwną miłością — lecz miłością prawdziwą, silniejszą od rozsądku i woli.

— Taka grypa to głupstwo — odezwał się Martin. — Strasznie boli głowa, ale nie można nawet porównać z gorączką hawajską.

— Chorował pan? — zagadnęła nieuważnie, cała pochłonięta usprawiedliwieniem, zesłaniem z nieba, znalezieniem w ramionach mężczyzny.

I nadal słuchała opowiadania, nie słysząc, dopóki nie wytrzeźwiło jej nagle krótkie zdanie.

Chorował na tę gorączkę w ukrytej osadzie trzydziestu trędowatych na jednej z wysp hawajskich.

— POCO pan tam jeździł? — spytała.

Królewska niedbałość o życie wydała jej się wprost zbrodniczą.

— O niczem nie wiedziałem — odrzekł Martin. — Ani mi się śniło nawet o trędowatych. Kiedym uciekł ze skunera i wylądował w zatoce — szedłem wgłąb wyspy, szukając schronienia. Trzy dni żywiłem się gujawą, jabłkami ochji i bananami, co rosły dziko w dżungli. Czwartego dnia odnalazłem drogę — ścieżeczkę raczej. Prowadziła pod górę, wgłąb wyspy. Tam właśnie chciałem iść. Ścieżka nosiła ślady niedawnego przejścia ludzi. W jednym miejscu biegła po krawędzi grzbietu górskiego, ostrego jak nóż. Nie była szersza nad 3 stopy, po obu zaś jej stronach rozwierały się przepaści na setki stóp głębokie. Jeden człowiek, dostatecznie zaopatrzony w amunicję, mógłby bronić tej pozycji przeciwko setkom.

Innej drogi nie było. Po upływie trzech godzin doszedłem do niewielkiej doliny pośród gór, ukrytej niby kieszeń w fałdach lawy. Kotlinka spływała drobnymi tarasami; rosły tam drzewa owocowe i stało osiem czy dziesięć trzcinowych chat. Jak tylko ujrzałem mieszkańców — zrozumiałem, gdzie jestem. Starczyło jedno spojrzenie.

— I cóż pan zrobił? — rzuciła zdławionym głó-

sem Ruth, niby Desdemona, zasłuchana w przerażeniu i osłupieniu.

— Cóż mogłem zrobić? Wodzem trędowatych był człeczyna stary, dobrze już zaawansowany, ale wciąż jeszcze rządzący, niby król. Sam znalazł przejście po górskim grzbiecie, odkrył dolinkę i założył osadę. Wszystko wbrew prawu. Ale miał strzelb i ładunków dość, a jego ludzie, wytrenowani na bawołach i dzikach, byli morowymi strzelcami. Nie, ani mowy o ucieczce biedaka Martina. Zostałem — na trzy miesiące.

— Jakże pan potem uciekł?

— Tkwilibym tam dotychczas, gdyby nie pewna dziewczyna — pół-krwi Chinka, półbiała, ćwierć-krwi Hawajka. Piękna biedaczka i wykształcona. Matkę jej w Honolulu liczono na milion zgórą. Ta właśnie dziewczyna uwolniła mnie koniec końców. Matka jej, widzi pani, utrzymywała całą tę kolonię, córka więc nie bała się kary za moje uwolnienie. Przedtem jednak kazała mi zaprzysiąc, iż nigdy nie wydam kryjówki trędowatych. Nie wydałem istotnie. Dzisiaj po raz pierwszy wspominam ogólnikowo o całej historii. Dziewczyna miała zaledwie pierwsze oznaki choroby. Palce jej prawej ręki były leciuteńko skrzywione, na ramieniu wystąpiło małe piętno. Oto wszystko. Dziś już umarła zapewne.

— No i cóż? Nie bał się pan? I bardzo się pan cieszył, że zdążył uciec niezarażony?

— Pewnie — wyznał. — Z początku było mi

trochę nieswojo. Ale po pewnym czasie przywykłem. Nieszczęście tej dziewczyny odczułem bardzo. Przez nią zapomniałem bać się o samego siebie. Była tak piękna! Piękna duszą i ciałem, i zlekka tylko tknięta zarazą, a przecież skazana na dzikie, pierwotne istnienie i stopniowe, powolne, okrutne umieranie. Trąd jest straszliwszy, niż my, zdrowi, możemy sobie wyobrazić.

— Biedne stworzenie! — szepnęła cicho panienka. — To cud, że ona pozwoliła panu odejść.

— Dlaczego? — zapytał niedomyślnie Martin.

— Dlatego, że zapewne kochała pana — ciągnęła wciąż szeptem Ruth. — No, szczerze, tak, czy nie?

Bronz twarzy Martina zbladł był od pracy w pralni i od zamkniętego miejskiego życia, głód zaś i choroba wybieliły go ostatecznie; przy słowach Ruth lekka fala rumieńca przepłynęła pod bladością. Chciał odpowiedzieć, lecz panienka powstrzymała go.

— Już nic; proszę nie odpowiadać. Nie trzeba — mówiła ze śmiechem.

Zdawało się jednak chłopakowi, że w tym śmiechu chwyta jakiś podźwięk metaliczny, w oczach zaś chłodne załśnienie. Pod wpływem tej chwili przypomniał sobie burzę, przeżytą niegdyś na północnym Pacyfiku. I nagle wizja owej burzy wstała mu przed oczyma — burzy nocnej, pod czystym niebem i pełnym księżycem. Potężne fale łyskały chłodno w srebrzystej poświacie. Potem ujrzał dziewczynę w tajnej osadzie trędowatych i przypomniał sobie, że z miłości przecież pozwoliła mu odejść.

— Była szlachetna — wyrzekł poprostu. — Darowała mi życie.

Nie powiedział nic więcej, słyszał jednak, jak Ruth zdławiła w gardle suche łkanie, i zauważył, że odwróciła twarz, żeby spojrzeć w okno. Kiedy zaś oczy wróciły znów ku Martinowi — nie było już w nich lśnienia burzy.

— Taki głuptas jestem, — żaliła się panienka, — ale nie mam nato rady. Tak cię kocham, Martin, tak bardzo, tak bardzo. Zczasem zdobędę się na więcej tolerancji, ale dziś jeszcze nic nie mogę poradzić, że jestem zazdrosna o przeszłość... o widma przeszłości; a twoja przeszłość pełna jest widm.

— Tak być musi — przerwała Ruth protesty chłopaka. — Nie może być inaczej. Ach, ten biedny Artur, zmęczył się czekaniem. Daje mi znaki, że-  
bym już wyszła. No, do widzenia, kochany.

— Wiesz, mają podobno w aptekach jakiś środek, który pomaga odzwyczaić się od palenia — zawołała jeszcze we drzwiach, — przyszlę ci jutro koniecznie!...

Drzwi zamknęły się — lecz uchylily znowu.

— Bardzo, bardzo, bardzo... — rzuciła szeptem dziewczyna i zniknęła.

Marja nie omieszkła pełnem podziwu spojrzeniem obrzucić stroju panny Morse, stroju nieznanego, niewiarogodnego, tajemniczo pięknego. Pannienka wsiadła do powozu. Stadko zawiedzionych dzieciaków gapiło się, dopóki zaprząg nie zniknął na zakręcie, poczem wszystkie wytrzeszczone oczy prze-

niosły się na Marję, wyrosłą na bohaterkę całej ulicy. Któraś latorośl plemienia Silvy rozwiała jednakże sławę matki, oświadczywszy, iż wspaniali goście przyjeżdżali do lokatora. Marja więc zepchnięta została po dawnemu w mrok niepamięci, Martin zaś obdarzony szacunkiem najmłodszej generacji całego sąsiedztwa. O Marji powiedzieć należy, iż zwiększyła respekt swój dla Martina o dobre sto procent, gdyby zaś sklepikarz-portugalczyk ujrzał był wspaniałe powozowe odwiedziny — nie omieszkałby zwiększyć kredytu przynajmniej o dodatkowe trzy dolary i ośmdziesiąt pięć centów.





## Rozdział XXVII

Dla Martina Edena wschodziło słońce fortuny. Nazajutrz po odwiedzinach Ruth otrzymał za trzy triolety czek na trzy dolary od pewnego bulwarowego pisemka z New-Yorku. W dwa dni potem, dziennik wychodzący w Chicago przyjął „*Poszukiwaczy skarbu*“, obiecując zapłacić dziesięć dolarów po wydrukowaniu. Cena była niska, ale zato opowiadanie stanowiło pierwszą próbę literacką Martina. Nadomiar powodzenia, cykl przygód dla chłopców (druga z kolei próba) przyjęty został w końcu tegoż tygodnia przez pewien miesięcznik, tytułujący się szumnie: „*Młodość i wiek dojrzały*“. Co prawda, cykl zawierał dwadzieścia jeden tysięcy wyrazów, proponowano zaś szesnaście dolarów po wydrukowaniu, co wynosiło jakieś siedemdziesiąt pięć centów za tysiąc słów, lecz doprawdy druga w życiu próba przelania myśli na papier nie była więcej warta, Martin zaś znał najlepiej wszystkie wielkie jej błędy.

Najwcześniejsze jednak poczynania Martina pozbawione były jednej wady: mierności. Uniknąć za to nie potrafił przesady, szarżowania, zbyt wielkiej



siły napięcia. Postępował jak sztubak, strzelając z armat do wróbli i z zabawnem przejęciem rysując drągiem winiety. Rad był więc, że pozbył się pierwszych próbek swego pióra. Wiedział, ile są warte, umiał już oceniać bezstronnie. Całą ufność oparł na utworach późniejszych. Walczył przecież, żeby zostać czemś więcej, niż przeciętnym beletrystą czasopismowym. Pragnął opanować środki ekspresji artystycznej. Jednocześnie zaś nie chciał poświęcić siły. Świadomie dążył do spotęgowania siły przez unikanie jej nadmiaru. Nie wyrzekał się również umiłowania realizmu. Pisał realistycznie, nie wahając się przepajać nagiej prawdy bujnością i pięknem wyobraźni. Idealem Martina był beznamiętny realizm, prześwietlony blaskiem najwyższych aspiracji ludzkości i czystą wiarą człowieczego serca.

W miarę czytania zarysowywać mu się poczęły dwa sposoby pojmowania człowieka. Jedni autorowie traktują człowieka jako boga, nie zważając na jego ziemskie pochodzenie, inni uważają go za zwierzę, zapominając o iskrze marzeń danej z nieba i boskich możliwościach. W pojęciu Martina — błędzili jedni i drudzy, grzesząc jednostronnością i umyślnem ograniczeniem pola widzenia. Istniał przecież kompromis, bliski prawdy. Nie schlebiał pierwszemu pogładowi, łagodząc jednak zbytnią brutalność drugiego. Opowiadanie, nazwane „*Przygoda*“ i swego czasu czytane Ruth, uważał Martin za urzeczywistnienie swego ideału realizmu fanta-

zji. W szkicu zaś „*Bóg i glina*“ zawarł ogólne poglądy na człowieka.

„*Przygoda*“ jednak i wszystko, co Martin uważał za najlepsze z pośród swych prac, wciąż jeszcze wędrowało od wydawcy do wydawcy. Pierwociny, posiadające wyłącznie wartość jako towar sprzedawny, lekceważył zupełnie. Były to wyraźnie fantastyczne brednie, obsługane przecież całym realistycznym aparatem. Podobnie groteskowe połączenie niemożliwego z prawdziwym uważał Martin za zwykłą sztuczkę, w najlepszym razie — za sztuczkę udaną.

Wielka literatura nie wyrośnie na tem podłożu. Zręczne sztuczki nie mają wagi bez głębokiego nurtu myśli. Polegają na tem, żeby poprawnej formie nadać wszelkie pozory posiadania głęboko ludzkiej treści. Martin uprawiał je dość długo w pierwszych swych „okropnych opowieściach“ — dopóki nie wzniósł się na wyżyny sztuki prawdziwej, pisząc „*Przygodę*“, „*Radość*“, „*Garnczek*“ i „*Wino śycia*“.

Trzech dolarów, pobranych za triolety, użył Martin na jakie takie podtrzymanie głodowej egzystencji do czasu podjęcia honorarjum od „*Białej Myszy*“. Pierwszy swój czek wymienił u podejrzliwego sklepikarza-portugalczyka, płacąc dolara na rachunek długu i dzieląc dwa pozostałe pomiędzy piekarnię i zieleniarza. Na obiad mięsny wciąż jeszcze nie mógł sobie pozwolić i bardzo już cienko śpiewał, kiedy przybył czek od „*Białej Myszy*“. Martin wahał się, jak go ma zrealizować. Nigdy w życiu

nie był w banku, tem bardziej nie mógł tam być we własnym interesie, to też obecnie brała go dziecienna ochota spacerowania się do którego z wielkich banków w Oakland i zdyskontowania tam czeku, zaopatrzwszy go uprzednio we własny podpis na stronie odwrotnej. Rozsądek zato nakazywał zrealizować czek u sklepikarza, w celu wywarcia odpowiedniego wrażenia i rozszerzenia kredytu na przyszłość. Ostatecznie zdecydował się Martin usłuchać natrętnych prośb sklepikarza, pokrywając cały swój rachunek i otrzymując wzamian pełną kieszeń brzęczącej reszty. W obu pozostałych sklepach uregulował również pełną należność, wykupił ubranie i rower, opłacił miesięczną ratę za maszynę oraz komorne zaległe i za miesiąc zgóry. Na „drobne“ i „nieprzewidziane“ pozostało jeszcze w kieszeni „saldo“ około trzech dolarów.

Sumka ta wydawała się chłopakowi fortuną. Natychmiast po wykupieniu garnituru ruszył w odwiedziny do Ruth i całą drogę pobrzękiwał garścią drobnego srebra w kieszeni. Tak długo obywatel się bez pieniędzy, że teraz nie potrafił odjąć od nich ręki, niby człowiek niespodzianie wyratowany od śmierci głodowej, co nie pozwala zabrać sobie z przed oczu żywności nieskonsumowanej. Nie był chciwy, ani skąpy, lecz pieniądze znaczyły dlań przecież więcej, niż taka lub inna suma dolarów i centów. Były miarą powodzenia życiowego, orły zaś, wybite na monetach, znaczyły ilość wygranych bitew.

Nieoczekiwanie pojął Martin, że świat jest wcale

niezłym światem. Doprawdy, stawał się coraz piękniejszy. Całe tygodnie ciemny był i ponury, dzisiaj jednak, gdy niema już długów, srebro brzęczy w kieszeni, a myśl cieszy się powodzeniem — słońce jasne jest i ciepłe, a nawet nagły deszcz letni, zlewający do nitki nieprzygotowanych przechodniów, staje się zabawnem, radosnem zdarzeniem. Przywierając głodem, miał Martin wciąż przed oczyma tysiące ludzi równie jak on głodnych; dzisiaj nie widział dręczącego obrazu nędzarzy. Zapomniał o nich. Natomiast myślał o niezliczonych parach kochanków na szerokim świecie. Nieświadome, mimowolne wstawiać mu poczynaly w mózgu pomysły i melodie liryk miłosnych. Pochłonięty gorączką przedtwórczą, chłopak w roztargnieniu wysiadł z tramwaju o dwa przystanki za wcześniej.

W domu państwa Morse zastał licznych gości. Dwie kuzynki Ruth przybyły z rewizytą aż z San Rafael, wobec czego pani Morse, pod pretekstem zabawienia ich, wprowadzać poczęła w życie swój plan otoczenia córki młodzieżą.

Kampanja, rozpoczęta w czasie przymusowej nieobecności Martina, była teraz w pełnym biegu. Pani Morse postarała się zapobiegliwie o gromadzenie w domu swym wyłącznie młodzieży z przyszłością. Tak więc, jako dopełnienie panien Doroty i Florence, spotkał Martin dwu profesorów uniwersytetu: anglistę i historyka, prócz tego ozdobił salon młody oficer, kolega szkolny Ruth, przybyły właśnie z wysp Filipińskich; pewien młodzieniec nazwi-

skiem Melville, sekretarz prywatny Josepha Perkinsa, dyrektora Związku Trustów w San Francisco; wreszcie kasjer banku spożywczego, pan Charles Hapgood, trzydziestopięcioletni mężczyzna o wyglądzie młodzieńca. Ten ostatni zdobył o stopień naukowy w Stanford University, był członkiem Klubu Nilu i Klubu Jedności, mówcą stronnictwa Republikańskiego w czasie ostatniej kampanji wyborczej — słowem, był osobistością z najlepszymi perspektywami. Pomiędzy paniami znajdowała się malarka, pianistka, i wreszcie młoda uczona, doktor socjologii, osoba, która założyła szereg warsztatów w najbiedniejszych dzielnicach San-Francisco i zdobyła w ten sposób niemałą popularność.

Kobiety jednak znaczyły niewiele w planach pani Morse. W najlepszym razie stanowiły nieodzowne akcesorja. Należało za wszelką cenę wprowadzić do domu poważną i wytworną młodzież męską, młodzież z przyszłością.

— Proszę nie unosić się zbyt w rozmowie — szepnęła Ruth Martinowi przed rozpoczęciem ceremonji przedstawiania.

Martin trzymał się z początku nieco sztywno, dręczony poczuciem własnej niezręczności, szczególnie zaś niezdarności ramion, co po dawnemu zdawały się grozić ornamentom i cackom salonu. Rodzaj poznanego towarzystwa obezwładnił go w pierwszej chwili. Nigdy w życiu nie zetknął się z osobistościami równie niezwykłymi i w dodatku z tak licz-nem ich gronem. Melville, urzędnik bankowy, był

wprost olśniewający, wobec czego Martin postanowił wszcząć z nim rozmowę. Pod powierzchnią bowiem zalęknionej nieśmiałości wstawało już w chłopaku własne, świadome siebie ja, które pragnęło zmierzyć się z nowopoznanymi i sprawdzić, odnaleźć, wysondować, co też wiedzą oni o książkach i życiu z pośród rzeczy, których on nie zna.

Ruth posyłała często kontrolujące spojrzenie w stronę Martina, lecz była mile zdziwiona, widząc, jak gładko i swobodnie zapoznał się z jej kuzynkami. W rozmowie nie unosił się bynajmniej, usiadłszy zaś, przestał nawet troszczyć się o wagę swych ramion. Ruth uważała kuzynki za rozumne i towarzysko nader wyrobione panienki, dziwił ją więc ich zachwyt na temat Martina, wygłaszany w panieńskim pokoiku po odejściu gości. On sam zato — ongiś organizator pikników niedzielnych, dowcipniś, bawidamek i ulubieniec swojej sfery — doszedł do wniosku, że i w wytwornym salonie nietrudno jest prowadzić lekką, wesołą rozmowę i bawić żarcikami panienki. Cały wieczór czuł, że powodzenie stoi tuż za nim, że kiwa przytwierdzająco głową, potakuje niedosłyszalnym szeptem. Był więc swobodny i wesoły, bawił się sam, bawił innych w poczuciu zupełnej równości z otoczeniem.

Później jednak obawy Ruth do pewnego stopnia poczęły się sprawdzać. Martin i profesor Caldwell zasiedli razem w ustronnym kąciку i chociaż młody Eden nie wymachiwał już zbyt rękami, Ruth zdecydowała, że oczy błyszczą mu nadmiernie, mó-



wi zbyt szybko i zbyt gorąco, z policzkami zrumienionemi wzburzoną falą krwi. Stracił już panowanie nad sobą, odrzucił obowiązujące formy towarzyskie i stanowił zdecydowany kontrast z wytwornym swym interlokutorem — młodym anglistą.

Martin jednak nie dbał o pozory. Zauważył i ocenił niezwłocznie wyszkolony umysł profesora i jego wielki zasób wiadomości. Profesor Caldwell przeczył zupełnie poglądom Martina na przeciętnego specjalistę od angielszczyzny. Z początku niechętnie mówił o sprawach fachowych, później jednakże udało się Martinowi skierować rozmowę na tory, jakich pragnął. Chłopak nie rozumiał i zrozumieć nie chciał, dlaczego w towarzystwie nieprzyjęte są wyczerpujące dyskusje fachowe.

— To niemądrze i niepięknie przeszkadzać człowiekowi wygadać się o swoim fachu — tłumaczył przed paru tygodniami pannie Morse. — Dla jakiej więc dobrej racji spotykać się mają kobiety i mężczyźni, jeśli nie dla wymiany tego, co w nich jest najlepsze? Najlepsze zaś jest to, co ich interesuje, co stanowi cel życia, to, w czym się specjalizują, nad czym pracują dniami i nocami, o czym wreszcie śnią i marzą. Proszę wyobrazić sobie pana Butlera, stosującego się do zwyczajów towarzyskich i wygłaszającego enuncjację na temat Verlain'a, dramatu niemieckiego, albo nowel d'Annunzia. Zapiliłoby nas na śmierć. Co do mnie, jeśli już muszę słuchać pana Butlera, wolę, żeby mówił o swoim prawie. To jest najlepsza jego część, życie zaś

jest tak krótkie, że warto od ludzi spotykanych brać tylko to, co w nich jest najcenniejsze.

— Ależ — protestowała Ruth — istnieją pewne zainteresowania ogólne...

— Myli się pani — przerwał gorąco Martin. — Wszyscy ludzie, wszystkie grupy społeczne, — a raczej prawie wszystkie — małpują swoich najlepszych! Dobrze, ale któż są ci najlepsi? Pasibrzuchy, tarzające się w złocie pasibrzuchy! Z reguły nic nie wiedzą o tem, o czem wiedzą wszyscy ludzie intelektu, ludzie czynu i pracy. Rozmawiać o tych rzeczach nie wolno, bo pasibrzuchy umarłyby z nudów. Wobec tego wydano dekret, że rozmowy fachowe, dyskusje poważne i wyczerpujące są ...w złym tonie. Dekret określa również, o czem rozmawiać wolno i co jest „w dobrym tonie“. A więc: ostatnia opera, ostatnia powieść, karty, bilard, gatunki likierów, automobile, wyścigi, zabawa w rybołówstwo, zabawa w polowanie, sporty wodne i tak dalej i dalej, wyłącznie sprawy, na których znają się prawnicy — pasibrzuchy. W gruncie rzeczy są to ich własne rozmowy fachowe. Największym zaś nonsensem jest to, że ludzie rozumni, lub ci, którzy za rozumnych uchodzić pragną, pozwalają tamtym ustanawiać kodeksy. Co do mnie — będę brał od każdego spotkanego człowieka to, co w nim jest najlepsze i najciekawsze, choćby mnie pani nazwała ordynarnym.

Ruth jednak — nie zrozumiała. Atak Martina na



Znane i Uznane wydał jej się poprostu warcholstwem.

W ciągu rozmowy z profesorem Caldwellem udało się Martinowi zarazić go swoją powagą i zmusić do szczerości. Ruth, przechodząc, usłyszała ze zgrozą słowa Martina:

— Z katedry uniwersyteckiej nie głosi pan zapewne tych wszystkich herezj?

Profesor Caldwell wzruszył ramionami.

— Jestem sobie, widzi pan, dobrym obywatelem, sumiennym płatnikiem podatków i trochę dyplomatą. Miasto Sacramento nas zatwierdza, wobec czego zależy od Sacramento, od Rady Rektorów, od prasy naszej partji, a nawet od prasy obu partyj.

— Tak, to jasne; ależ pan, pan osobiście? — nastawał Martin. — Czuje się pewnie jak ryba wyjęta z wody?

— Hm, zapewne, stawek uniwersytecki nie dogadza mi zbyt. Czasami mam wrażenie, że nie trafiłem na właściwe miejsce. Widzę siebie w Paryżu, w celi pustelnika, albo może raczej w tłumie beztroskiej cyganerii, pijącego cienkusa — dago-red, jak mówią w San-Francisco, stołującego się w tanich knajpach i rozwiązującego nader radykalnie wszelkie problemy wszechświata. Doprawdy, bywam niekiedy najmocniej przekonany, że stworzony zostałem na skrajnego radykała. Jednakże — tyle jest dziedzin myśli, w których czuję się bardzo a bardzo niepewnie... Staję cichy i pokornego serca, spojrzawszy w twarz człowieczej nędzy i krót-

kotrwałości; tej, która zresztą chroni mnie od zagarniania ku sobie wszystkiego, co znam, od podporządkowywania wszystkich zjawisk jednemu problematowi — problematowi człowieka, człowieczego życia — pan rozumie.

Na usta Martina wypłynęły tymczasem mimowoli słowa „*Pieśni Passatu*“:

*Najsilniejszym o południu,  
Lecz w świetle miesiąca  
Białe napinam żagle —*

Martin wyszeptał je prawie i wtedy dopiero zrozumiał, że Caldwell przypomina mu dziwnie ów tyłkrotnie zaznany passat północno-wschodni: mocny, świeży, nieustający. Caldwell był zrównoważony, bezstronny, budzący zaufanie i pełen dyskretnego umiaru. Zdawało się Martinowi, że człowiek ten nigdy nie wypowiada się do końca, podobny passatowi, co równy a powściągliwy, nigdy nie dmie z całej mocy, lecz zachowuje wytrwale zapas siły. Zdolność wizjonerstwa pracowała jak zwykle. Mózg Martina był najbardziej pojemną kryjówką zapamiętanych faktów i urojeń, które, nieświadomie lecz troskliwie uszeregowane, czekały w każdej chwili przeglądu. Niezależnie od tego, co działo się w teraźniejszości — mózg natychmiast podsuwał asocjacje kontrastów i podobieństw, najczęściej wyrażone w obrazach. Działo się to automatycznie, i przesuwanie wizyj przed oczyma było nieodzownym prawie akompaniamentem do żywej teraźniejszości.

Tak jak kiedyś, twarz Ruth, ogarniętej nagłą zazdrością, przypomniła Martinowi dawno minioną burzę przy blasku księżyca, jak profesor Caldwell przywołał z pamięci dech północno-wschodniego passatu, co kołysze białe piany fal purpurowych — tak od czasu do czasu wstawały pod powiekami lub zapalały się w pamięci wizje nowe, co nie rwały pasma chwil bieżących, lecz raczej oświeślały je, szeregowały, splatały. Zrodzone ze zdarzeń minionych, ze spotkań, obrazów i myśli zeszłego dnia, zeszłego tygodnia — żyły niezliczone zjawy, zaludniające mózg w chwilach snu i czuwania.

Tak więc Martin, nie tracąc ani słowa z gładkiego potoku wymowy profesora Caldwell'a — człowieka wielkiego rozumu i wytwornej kultury — patrzył jednocześnie w migające przed oczyma obrazy własnej przeszłości. Widział siebie — młodzika, zabijakę i zawalidrogę w twardobrzegim Stetsonie i przykrótkiej kurcie, chępliwego cwaniaka, który znał jeden tylko ideał: być zuchwałym do ostatnich granic wytrzymałości policji. Dziś nie zapierał się tego przed samym sobą, ani nie próbował łagodzić faktów. Tak jest; miał w życiu okres, kiedy był po prostu obwiesiem, zwyczajnym obwiesiem, przywódcą szajki, co drwiła z policji, teroryzując spokojnych mieszkańców dzielnicy robotniczej. Z czasem jednak zmienił ideały. Wdychał oto atmosferę kultury i wykwintu. Rozglądał się po salonie pełnym dobrze urodzonych, pięknie ubranych kobiet i mężczyzn, — po salonie, w którego głębi snuł się

jednocześnie on sam, w sztywnym Stetsonie i przykrótkiej kurcie, bujny a zuchwały — widmo dalekiej młodości. Po chwili kształt dziwnego przybysza zlał się w jedno z uprzejmym młodzieńcem, co spokojnie i nieprzerwanie gawędził z popularnym profesorem uniwersytetu. Koniec końców bowiem, Martin nie wybrał sobie dotychczas właściwego miejsca. Wrastał wszędzie, gdzie się znalazł, zawsze i od razu zyskując życzliwość ludzką wzamian za cnotę panowania nad sobą w pracy czy w zabawie, za serce otwarte, za umiejętność nakazania szacunku i walki o słuszne prawa. Nigdzie jednak nie zapuścił korzeni. Bywał zaufanym, bywał swojakiem — żeby zadowolnić towarzyszy; nigdy — samego siebie. Dręczony ciągłym niepokojem, przyzywany z oddali głosem nieznanym, wędrował Martin przez życie, tęskniąc i szukając, dopóki nie natrafił na książki, sztukę, miłość... I oto znalazł się w skarbcu, który odnalazł, sam jeden zpośród towarzyszy dawnych przygód, jedyny, co potrafił stać się godnym wejścia do domu Morsów.

Praca wyobraźni nie przeszkadzała jednak Martinowi słuchać uważnie profesora Caldwell'a. Słuchając zaś — przenikliwie i krytycznie — starał się objąć myślą niezmiernie dziedziny wiedzy mówiącego. W sobie samym, pod wpływem słów Caldwell'a, dostrzegał ogromne luki wykształcenia, całe przepaści nieświadomości. Niemniej jednak wiedział, iż, zawdzięczając Spencerowi, posiada jasno zarysowane kontury wiedzy ogólnej. Wypełnienie konturów

jest tylko kwestją czasu. A wtedy — baczność jeden z drugim! Tymczasem czekał pokornie, niczem u stóp profesora, z podziwem i ciekawością wchłaniając każde jego słowo. W miarę słuchania jednak — zdziwiony i zaskoczony — poczuł jakiś brak w sądach młodego anglisty, brak tak ukryty i nieuchwytny, że Martin byłby go nie dostrzegł, gdyby nie najwyższe natężenie uwagi. Schwytawszy jednak — poczuł odrazu swą równość umysłową.

Ruth zbliżyła się po raz drugi, właśnie w chwili, gdy Martin mówić zaczął.

— Chciałbym móc sformułować pewien błąd szanownego pana, a raczej wskazać pewną słabą stronę jego sądów — wyrzekł. — Zaniedbuje pan biologję. Brak dla niej miejsca w pańskich uogólnieniach myślowych. O, nie idzie mi, rzecz prosta, o doświadczenia laboratoryjne i badania mikroskopowe, lecz o biologiczne podłoże syntez, choćby to były syntezy na tematy estetyczne lub nawet socjologiczne.

Ruth była przerażona. Przesłuchała dwa razy kurs wykładów profesora Caldwell'a i uważała go za żywą skarbnicę wszelkiej nieomyślności i wiedzy.

— Niezupełnie rozumiem pana — odrzekł z wahaniem profesor. Kto wie, może nie słuchał wogóle?

— Spróbuję wyrazić się jaśniej — zaczął na nowo Martin. — Wyczytałem kiedyś w jakiejś historii Egiptu, że kultury egipskiej nie można zrozu-

mieć, nie poznawszy gruntownie jej geograficznego podłoża.

— Zupełnie słusznie — zgodził się profesor.

— Zdaje mi się więc w dalszym ciągu, iż nie można poznać żadnego kraju, nie znając wogóle pochodzenia, organizacji i materiału życia, jako takiego. Czyż jest rzeczą możliwą zrozumienie prawodawstwa, religji i zwyczajów, bez znajomości nie tylko natury istot, co je stworzyły, lecz wogóle natury istot żywych. Czy z literaturą angielską nie dzieje się tak samo, jak z architekturą i rzeźbą Starożytności? Czyż znamy w całym wszechświecie choćby jedną istotę, nie podlegającą prawom ewolucji? O, wiem dobrze, istnieją źródłowe opracowania rozwoju rozlicznych sztuk i umiejętności ludzkich, wszystkie te elaboraty wydają mi się jednak zbyt maszynowe. Nie uwzględniają — Człowieka. Ewolucja narzędzia, instrumentu, muzyki, śpiewu, tańca zbadana jest i opracowana znakomicie; ale cóż wiemy o przemianach samego człowieka, o rozwoju podstawowych i najistotniejszych cech jego natury, zanim sporządzić zdołał pierwsze narzędzie i zamruczeć pierwszy przyśpiew. Oto są rzeczy, których szanowny pan nie uwzględnia, a które ja pozwoliłem sobie nazwać biologją. Jest to właściwie pogląd biologiczny w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wiem, że wyrażam się niezbyt dokładnie, starałem się jednak choćby zgrubsza wyciosać myśl. Zrodziła się dopiero w czasie rozmowy z panem, nie byłem więc przygotowany do jej rozwinięcia. Mówił

pan sam przed chwilą o kruchości i krótkotrwałości życia, co nie pozwala człowiekowi poznać i uwzględnić wszystkich czynników. Pan zaś ze swej strony dobrowolnie opuszcza czynnik przyrodniczy, istotne tworzywo sztuk wszelkich, prawdziwą podstawę i wątek wszystkich ludzkich poczynañ i dokonań.

Ku zdumieniu panny Ruth, Martin nie został natychmiast zdruzgotany. Profesor był spokojny i — jak wydało się panience — pełen pobłażliwości dla młodzieńczego wybryku Martina. Milczał przez długą chwilę, bawiąc się dewizką.

— Wie pan — odezwał się wreszcie, — zostałem już raz w życiu skrytykowany w podobny sposób; uczynił to pewien bardzo poważny uczony, wyznawca teorii ewolucji, Joseph le Conte. Umarł jednak — i przypuszczałem, że pozostanę niezdradzony; ale oto podszedł pan i wykrył tajemnicę. W istocie — proszę to uważać za poufne wyznanie z mej strony — ma pan nieco racji, a może nawet bardzo wiele. Kultuwuję zbyt humanistyczny pogląd na wiedzę i dziś mogę jedynie żałować jednostronności swego wykształcenia i pewnej wrodzonej ociężałości, która wstrzymuje mię od dalszej pracy. Nie wiem, czy uwierzy pan, że nigdy w życiu nie zajrzałem do laboratorium chemicznego ani pracowni fizycznej? A jednak — to prawda. Le Conte miał rację, i pan ma ją również, panie Eden, do pewnego stopnia w każdym razie.



Ruth nieznacznie odciągnęła Martina na stronę i szepnęła z wyrzutem:

— Nie należy monopolizować profesora Caldwell. Może inni goście chcą z nim również porozmawiać...

— Przepraszam najmocniej — zgodził się pokornie Martin. — Ale potrafiłem go rozgadać, i taki był zajmujący, że zapomniałem o wszystkim. Wie pani — to najjaśniejszy i najciekawszy umysł, jaki spotkałem w życiu. Więcej pani powiem: przypuszczałem swego czasu, że taki umysł posiada każdy, kto skończył uniwersytet i należy do wyższych warstw społecznych.

— O, to wyjątek — odrzekła panienka.

— I ja tak myślę. Z kim każe mi pani porozmawiać teraz? O, proszę pozwolić mi zapoznać się z tym młodym bankowcem...

Martin porozmawiał z piętnaście minut, i panna Ruth nie mogła istotnie zganić zachowania swego narzeczonego. Ani razu nie zalśniły mu oczy, nie zarumieniły się policzki, spokój zaś głosu i ruchów był wprost zdumiewający. W opinii Martina tymczasem cały ród kasjerów bankowych stracił sto procent i stał się synonimem płytkich i banalnych gadułów. Zato młody oficer wydał się Martinowi dobroduszny, prosty, zdrowy, wesoły i zadowolony z miejsca wyznaczonego mu w społeczeństwie z łaski przypadku i powodzenia. Gdy jednak dowiedział się Martin, że oficer uczęszczał ongiś całe dwa lata na uniwersytet, nie mógł pojąć, gdzie podziało się



całe to wykształcenie? Niemniej, wołał miłego oficera od nadętego banalnością bankowca.

— Nie mam nic przeciwko przelewaniu z pustego w próżne — tłumaczył później narzeczonej. — Irytuje mnie tylko pompatyczna pretensjonalność i głębokie poczucie wyższości, z jaką to się czyni, oraz ilość czasu, jaką to pochłania. Mogłem być przecież wyłożyć owemu kasjerowi całą historję Reformacji w tym przeciągu czasu, który on zmarnował na tłumaczenie mi, że Partja Pracy złała się z Demokratami. Ważył przytem słowa, jak zawodowy gracz karty przy pokerze. Kiedykolwiek wskażę pani żywy dowód moich słów.

— Bardzo mi przykro, że obiecujący bankowiec uczynił na panu złe wrażenie — brzmiała odpowiedź. — Jest on ulubieńcem pana Butlera, który twierdzi, że na uczciwości i wyrobieniu fachowym pana Hapgooda oprzeć można cały bank, niby na opoce piotrowej.

— Nie wątpię w to ani na chwilę, po tem, co widziałem i słyszę. O bankach jednak nie myślę już tego, co myślałem niegdyś. Ale... czy nie gniewa się pani, że mówię tak szczerze? Co, kochanie?

— O nie; to bardzo interesujące.

— Nieprawdaż? — ciągnął wesoło Martin. — Jestem barbarzyńcą, świeżo wpuszczonym do gmachu cywilizacji, spowiadającym się z pierwszych swych wrażeń. Takie wrażenia muszą być zajmującą powieścią dla osób prawdziwie cywilizowanych.

— A cóż pan myśli o moich kuzynkach? — zagadnęła Ruth.

— Wolę je od innych kobiet. Są wesołe, dowcipne i mało pretensjonalne.

— Czyżby te inne nie podobały się panu?

Martin potrząsnął głową.

— Ta dama od socjologii jest sobie poprostu wyuczoną papugą. Przysięgam, że prześwieciliwszy ją nawskróś, nie znaleźlibyśmy ani jednej myśli oryginalnej. Sławna malarka jest znakomicie nudną piłą. Idealny typ żony dla wyżej pomienionego kasjera. A pianistka? Nic mnie nie obchodzi jej nieprawdopodobne palce, doskonała technika i t. d. — wiem tylko, że zupełnie nie rozumie muzyki i nic o niej nie wie.

— Gra bardzo pięknie, — protestowała Ruth.

— Niewątpliwie, gimnastykę palców opanowała wyśmienicie, ducha jednak muzyki, jej treści wewnętrznej nie pojmuje wcale. Zapytałem, czem jest dla niej muzyka — pani wie, że lubię wyciągać ludzi na rozmowy o ich fachu — nie potrafiła odpowiedzieć mi nic, pozatem, iż muzyka jest godna uwielbienia, jest najwspanialszą ze sztuk, i że ona kocha muzykę nad życie.

— Pan znowu sprowokować chciał fachową rozmowę! — przerwała z wyrzutem panienka.

— Tak jest, przyznaję się do winy. Ale jeśli nie zadowolniły mię nawet rozmowy fachowe — proszę wyobrazić sobie moje cierpienia podczas przepisowych rozmów salonowych. Myślałem kiedyś, że tu,

w tej sferze, gdzie dostępne były i są wszelkie dobra kultury — przerwał na chwilę, ujrawszy cień swojej młodości w szerokim Stetsonie i przykrótkiej kurcie — każdy człowiek jest doskonały i promienny, niby brylant. Teraz jednak, poznawszy ich nieco, uważam, że ludzie tak zwanej wyższej sfery to przeważnie nicości, albo — piły. Ach, prawda, zostają tacy, jak profesor Caldwell. To człowiek prawdziwy, człowiek w każdym calu.

Twarzyczka Ruth rozjaśniła się.

— Proszę mi opowiedzieć — nastawała. — Nie o tem, co w nim jest piękne i rozumne — sama znam to dobrze — lecz o brakach, które pan odnalazł. Bardzo jestem ciekawa.

— Nie chciałbym się skompromitować — drożył się żartobliwie Martin. — Czy pani nie zechce wypowiedzieć się pierwsza? A może widzi w nim pani doskonałość bezwzględna?

— Przesłuchałam dwa kursy jego wykładów, znam go od lat dwóch. Ciekawa jestem właśnie pana świeżych wrażeń.

— Złej strony moich wrażeń, chce pani powiedzieć. Niechże i tak będzie. Wszystkie piękne rzeczy, które pani o nim myśli, są najzupełniej słuszne. Co do mnie, uważam również, że jest to najdoskonalszy typ intelektualisty, jaki spotkałem. Ale jest to człowiek z utajonym grzechem.

— O nie, nie! — wykrzyknął pośpiesznie — nic niskiego, ani wulgarного. Prostu wydaje mi się człowiekiem, który przejrzał pewne rzeczy do

głębi, lecz zobaczywszy, przeraził się i teraz woli udawać przed samym sobą, że nie widział. Może wyrażam się niejasno. Powiem inaczej: jest to człowiek, który odnalazł ścieżkę do tajemniczej świątyni, lecz ścieżką tą nie poszedł; człowiek, który dojrzał może nawet zarys świątyni, ale próbuje przekonać sam siebie, że to tylko miraż wzroku. Jeszcze inaczej: jest to człowiek, który mógłby dokonać wielkich czynów, lecz nie przywiązuje wagi do ich dokonania, a równocześnie w głębi duszy nie przestaje tego żałować; potajemnie drwi z nagrody za czyny, a przecież, jeszcze bardziej tajemnie tęskni do tej nagrody i do rozkoszy tworzenia.

— Nie patrzałam pod tym kątem — odparła Ruth. — A zresztą to, co pan mówi, nie wydaje mi się słuszne.

— Jest to tylko mgliste wrażenie — twierdził Martin. — Nie mam konkretnych podstaw. Wrażenia bywają fałszywe. Pani z pewnością zna go lepiej.

Z wieczoru u państwa Morse wynosił Martin dziwnie pomieszane pojęcia i sprzeczne uczucia. Był zbity z tropu, ujrzawszy zbliżających ludzi, ku którym piał się wszystkimi siłami. Z drugiej jednak strony — zachęciło go powodzenie. Pochód pod górę łatwiejszy był niż się zdawało. Martin przerósł już samą chęć wspinania się, a nawet (fałszywa skromność nie kryła mu tego), przerósł tych, ku którym się wspinał. Rzecz prosta, profesor Caldwell stanowił wyjątek. Przeważnie jednak Martin wie-

dział więcej o życiu i książkach i dziwił się tylko, w jakie skrytki i zaułki mózgu pochowali ci ludzie swoje wykształcenie? Nie zdawał sobie sprawy, że sam posiadał niezwykłą żywość umysłu, nie przypuszczał również, że tych ludzi, którym dane było mierzyć głębie i budować światopoglądy — nie należało szukać w salonach państwa Morse. Nie wiedział też, że ludzie ci, niby orły królewskie, krążą samotnie w błękitach nieba, wysoko ponad ziemią i skłębionem rojowiskiem jej stadnego życia.

## Rozdział XXVIII

Los odwrócił się nagle od Martina, i zwiastuni powodzenia nie odwiedzali już jego domu. Dwadzieścia pięć bitych dni, nie wyłączając niedziel i świąt, pracował Martin nad „*Hańbą Słońca*” — długim artykułem o dobrych trzydziestu tysiącach słów. Był to rozumowany atak na mistycyzm szkoły Maeterlincka — atak z fortu wiedzy pozytywnej, bijący w egzaltowanych marzycieli z mgły i galarety, atak jednak pełen entuzjazmu i marzenia, zgodnego zarazem z prawami stwierdzonych faktów. Po pewnym czasie nastąpiło drugie natarcie, w postaci krótkiego artykułu „*Łowcy majaków*”, i trzecie, zatytułowane „*Jaźń miarą wartości*”. Rezultatem wszystkich trzech artykułów było tylko opłacanie ich kolejnych wędrowek po redakcjach.

W czasie dwudziestu pięciu dni pracy nad „*Hańbą Słońca*” sprzedał Martin wyrobów rzemieślniczych za sześć i pół dolara. Jakiś żarcik przyniósł pięćdziesiąt centów, jakiś dowcipny wierszyk, kupiony przez pierwszorzędną tygodnik humorystyczny, dał dolara. Dwa żartobliwe poemaciki — pięć dolarów. Ostatecznie po wyczerpaniu kredytu (cho-

cięż sklepikarz podniósł go do pięciu dolarów), — rower i czarny garnitur powędrowały raz jeszcze do lombardu. Właściciel maszyny znowu napastował Martina, podkreślając stanowczo, że za wynajem płacić trzeba zgóry i punktualnie...

Zachęcony kilkakrotną sprzedażą wyrobów rzemieślniczych, Martin zabrał się do nich na nowo. Kto wie, może można będzie żyć z tego narazie? Pod stołem poniewierał się stos krótkich nowelek, odrzucony ongiś przez syndykat, dostarczający beletrystyki do *magazines*. Odczytał je raz jeszcze dla wystudjowania, jak nie należy pisać bulwarowych noweletek, i w miarę czytania formułował sobie idealny schemat: wystrzegać się tragizmu, nie ryzykować nieszczęśliwego zakończenia, unikać wyszukanego słowa, subtelności myśli, istotnej delikatności uczuć. Sentymentu — owszem, jak najwięcej sentymentu, czystego i szlachetnego, takiego, jaki we wczesnej młodości oklaskuje się gorąco z ostatniego rzędu galerji, sentymentu sporządzonego według recepty: „Za Króla i Ojczyznę“, lub też „Szlachetny, choć ubogi“...

Zgłębiwszy te arkana, Martin nastroił się na ton popularnej „Hrabianki“ i przystąpił do masowej fabrykacji, utrzymanej ściśle w granicach formuły. Część pierwsza: rozłączenie dwojga kochanków; część druga: dzielny czyn lub szczęśliwy traf łączy stęsknionych; część trzecia: dzwony weselne. Owa część trzecia była wielkością niezmienną, zato pierwsza i druga mogły być dowolnie urozmaicane. A



więc: parę kochanków rozłączyć mogło nieporozumienie, zrzącenie losu, zazdrośni rywale, tyrani-rodzice, potężni opiekunowie, zbrodniczy krewni i t. d., i t. d.; złączyć zaś mogły: dzielny czyn kochanka, niemniej dzielny czyn oblubienicy, przymusowa kapitulacja potężnych opiekunów, nawrócenie zbrodniczych krewnych, zmiana uczuć zazdrosnych rywali, samowolna kapitulacja wyżej pomienionych opiekunów, wykrycie niespodzianej tajemnicy, zdobycie jej serca przez jego wytrwałą cierpliwość, szlachetne poświęcenie i temu podobne niezliczone warjacje. Znakomitym pieprzykiem było n. p. wyznanie miłosne z ust skromnego dziewczęcia; zczasem odkrył Martin całą rekwizytornię podobnych zdecydowanie ciekawych i wymyślnych atrakcyj. Zato z weselnemi dzwonami nie było żartów. Ani mowy o jakiejś „licenzia poetica“. Niebiosa zwinąć się mogły, jak stary dywan, gwiazdy gruchnąć o ziemię — uroczystość weselna zakończyć musiała bezwarunkowo wszelkie perypetje. Co do ilości słów — formuła wymagała minimum 1200, maksimum 1500.

Zanim Martin wydoskonalic się zdołał ostatecznie w sztuce produkowania beletrystyki bulwarowej, wypracował sobie około pół tuzina schematów, które konsultował na nowo przed każdym występem. Formułki te przypominały owe dowcipne, a sporządzane dla użytku niedouczonej matematyków tabliczki, co mogą być rozpatrywane zgóry, zdołu, i z każdego boku, składają się z szeregów cyfr i tu-

zinów kolumn, a służą do wyciągania bez zastanowienia i obliczeń tysiąca najrozmaitszych rozwiązań, nieomylnie ścisłych i prawdziwych. W podobny sposób mógł Martin w ramach schematu naszkicować w przeciągu pół godziny z tuzin noweletek, które układał i, w miarę potrzeby, wypełniał fabułą. Na takie naładowanie słowami formy wystarczała godzina przed udaniem się na spoczynek po całym dniu prawdziwego wysiłku twórczego. Martin wyznał kiedyś Ruth, że właściwie mógłby odrabiać nowele nawet przez sen. Pracą było tu tylko zbudowanie ram, pracą zresztą raczej mechaniczną.

Nie wątpił w realną wartość wynalezionej formułki i najwidoczniej znał już umysłowość panów redaktorów, twierdził bowiem z niezachwianą pewnością, że pierwsze dwa wysłane „produkty mechaniczne“ przyniosą czeki. Istotnie po upływie dni dwunastu przyniosły czeki, po cztery dolary każdy.

Tymczasem poczynił Martin nowe i alarmujące odkrycia. Chociaż „*Transcontinental*“ wydrukował „*Dźwięk dzwonów*“ — czeku nie nadsyłał. Martin potrzebował pieniędzy, upomniął się więc o honorarium. Otrzymał nato wymijającą odpowiedź i uprzejmą prośbę o przesłanie dalszych utworów. Martin przez dwa dni chodził głodny w oczekiwaniu czeku i wtedy to właśnie zastawił rower. Regularnie dwa razy na tydzień pisywał do „*Transcontinentalu*“ z żądaniem wypłacenia należnych pięciu dolarów — zrzadka jednak tylko zaszczycony był odpowiedzią. Martin nie wiedział, że „*Trans-*

*continental*“ od wielu lat już ledwo zipie, że jest organem czwarto- lub nawet dziesiątorzędnym bez podstaw finansowych, żyjącym wyłącznie z pomysłów szantaży, jałmużny pocziwców i ogłoszeń, dawanych z łaski. Nie wiedział również, że pismo było jedynym środkiem utrzymania dla redaktora i administratora, oraz, że ci panowie utrzymywać się mogli z „*Transcontinentalu*“ jedynie zapomocą nieregulowania rachunków. Niemniej również nie mógł być wiedzieć Martin, że w szczególności należne mu pięć dolarów zużyte zostało przez administratora na odmalowanie domku w Alameda, które to malowanie uskuteczniał sam pan administrator, jako że nie był w stanie zapłacić rzemieślnika, tem bardziej po nieudanej próbie powierzenia funkcji malowania jakiemuś przybłędzie, który spadł z drabiny, złamał kark i odstawiony został do szpitala.

Dziesięć dolarów, za które Martin sprzedał „*Poszukiwaczy Skarbu*“ do Chicago — nie zjawily się jakoś. Opowiadanie zostało wydrukowane, jak sprawdził Martin w Czytelni Miejskiej — wydawca jednak milczał. Na polecane listy nie odpowiadał również.

— Rabunek, zwyczajny rabunek, — zadecydował chłopak. — Kradzież popełniona z najzimniejszą krwią. Umiera z głodu, a tymczasem odzierają go z tego, co jest jedynym towarem, jedyną rzeczą, której sprzedaż przynieść mu może kawalek chleba.

Tygodnik „*Młodość i Wiek dojrzały*“ wydruko-

wał już dwie trzecie przyjętego utworu, poczem nagle zbankrutował. Przepadła wszelka nadzieja na ostatnie oczekiwane szesnaście dolarów.

Nadomiar złego zwrócono pocztą „*Garnczek*“, — który Martin uważał za najlepszy ze swych utworów. W rozpacz, posłał go niezwłocznie na chybi trafi do tygodnika społecznego „*Fala*“, wychodzącego w San-Francisco. O wyborze tygodnika zdecydowała jego geograficzna bliskość. Odpowiedź z poza zatoki powinna była nadejść w przeciągu paru dni.

W dwa tygodnie potem Martin ku największej radości ujrział swój utwór na honorowym miejscu wydrukowany w całości i zilustrowany. Chłopak wrócił do domu z bijącym sercem i zastanawiał się, ile mu też zapłacą za jedną z najlepszych nowel, jakie napisał. Szybkość, z jaką przyjęto ją i wydrukowano, pochlebiała mu bardzo. Fakt, że wydawca nie porozumiał się przedtem listownie, czyniła niespodziankę jeszcze miłszą. Po daremnem wyczekiwaniu przez dwa i pół tygodnia, rozpacz zwyciężyła nieśmiałość, i Martin wysłał list do redakcji „*Fali*“, nadmieniając, iż zapewne przez niedopatrzenie jego skromny rachunek nie został uwzględniony.

— Jeśli to nawet nie więcej niż pięć dolarów — myślał Martin, — kupiłbym dość fasoli i kaszy, żeby umożliwić sobie napisanie jeszcze kilku nowel, możliwie równie dobrych.

Nadeszła wreszcie chłodna odpowiedź redaktora, która do reszty zdruzgotała entuzjizm Martina.

„Dziękujemy najuprzejmiej — brzmiał list — za pańskie łaskawe współpracownictwo; cały skład naszej redakcji ceni je sobie niezmiernie. Jak pan widzi, przesłany nam utwór umieściliśmy niezwłocznie, zarezerwowawszy dlań miejsce honorowe. Mamy nadzieję, że ilustracje zadowolniły pana.

Odczytawszy parokrotnie list pański, odnieśliśmy wrażenie, iż Sz. Pan pracował w błędnem mniemaniu, iż redakcja nasza płaci za rękopisy bez określonej zgóry przez autora ceny. Nie jest to naszym zwyczajem, rękopis zaś Pański bez wątpienia nie był zaopatrzony w odpowiednią adnotację. Możemy tylko wyrazić szczere ubolewanie z powodu tego drobnego nieporozumienia i upewnić Pana o naszym niezachwianem uznaniu. Raz jeszcze dziękując za łaskawe współpracownictwo i wyrażając niezłomną nadzieję, iż nie odmówi nam Pan go nadal, pozostajemy etc.“.

Post scriptum głosiło, że chociaż „*Fala*“ honorowych prenumeratorów nie posiada — redakcja będzie sobie uważała za miły obowiązek bezinteresowne przesyłanie pisma w roku przyszłym. Po tem doświadczeniu, Martin wybijał zawsze na pierwszej stronicy każdego rękopisu: „Honorarjum według zwykłej taksy Sz. Redakcji“.

— Zczasem — pocieszał się chłopak — oni będą pytali o moją takse.

W Martinie zrodziła się w tym okresie uparta dążność ku doskonaleniu pióra, pod której wpływem przerobił i oszlifował „*Gwarną Ulicę*“, „*Wino Ży-*

cia“, „Radość“, „Liryki Morza“ i wiele najwcześniejszych swych utworów. Po dawnemu, dziewiętnasto-godzinny dzień roboczy wydawał się Martinowi zbyt krótki. Chłopak czytał i uczył się bez miary, pisał bez wytchnienia, w wytężonej pracy zapominając o udrękach, spowodowanych wyrzeczeniem się tytoniu. Nadesłany przez Ruth środek na niepalenie, oklejony płomienną etykietką, leżał rzucony w najciemniejszy kąt biurka. W dniach głodu, brak tytoniu szczególnie dawał się we znaki. Żądza palenia nie słabła pomimo tylokrotnego opanowywania. Martin uważał, że wyrzeczenie to jest najtrudniejszym czynem jego życia, Ruth zaś była zdania, iż Martin spełnia jedynie swój najprostszy i zupełnie naturalny obowiązek. Dostarczyła mu obiecane antidotum, kupione za własne panięńskie oszczędności — i, uważając sprawę za skończoną, zapomniała o niej niezwłocznie.

„Mechaniczne“ nowelki Martina miały powodzenie, pomimo nienawiści i pogardy, jaką obdarzał je sam autor. Dały mu możliwość wykupienia zastawionych rzeczy, opłacenia znacznej części rachunków i zaopatrzenia roweru w nowe opony. Owe nowelki jedynie utrzymywały gorącą strawę na kuchence chłopaka i dawały możliwość istotnej pracy; jedynym przecież podtrzymaniem moralnem było czterdzieści dolarów, otrzymanych z redakcji „Białej Myszy“. Na fakcie tym wsparł chłopak całą wiarę w siebie, ufając jednocześnie, iż prawdziwie pierwszorzędne pisma nie zechcą wyzyskiwać nie-



znanego autora i wypłacą mu honorarja według norm ogólnie przyjętych. Cała trudność polegała jednak właśnie na dostaniu się do owych pism „pierwszorzędných“. Najlepsze artykuły, nowele i wiersze Martina wędrowały, zebrząc, z redakcji do redakcji, podczas gdy jednocześnie drukowano całe stosy bredni i najoczywistszej miernoty. „Gdyby choć jeden wydawca — myślał sobie Martin — zechciał zejść z piedestału i odpisać mi żywe słówko! Moja praca jest niepożyteczna, nieodpowiednia, niepożądana — głupstwo; jest złym towarem — głupstwo, ale niechże poruszy kogoś z czytających, niechże wywoła choć słowo uznania!“. Chwytał wtedy pierwszy lepszy rękopis, chociażby „*Przygodę*“, i czytał, i odczytywał bez końca, szukając nadaremnie przyczyny głuchego milczenia wydawców.

Z nadejściem słodkiej wiosny kalifornijskiej — okres powodzeń Martina skończył się ostatecznie. Od kilku tygodni dziwiło chłopaka uparte milczenie syndykatu literackiego. Nagle, pewnego pięknego poranku, zwrócono pocztą dziesięć rękopisów wy-modelowanych idealnie według ulubionej formułki. Towarzyszył im krótki list, zawiadamiający, iż syndykat jest zavalony materiałem i nieprędzej niż za kilka miesięcy potrzebować może dalszej dostawy. Martin tymczasem pozwolił był sobie na szereg wydatków, uważając owe nowele za sprzedane. Dotychczas syndykat przyjmował każdy utwór nadesłany, płacąc po pięć dolarów za sztukę. Martin żył tak, jak gdyby miał w banku pięćdziesiąt dolarów.



Teraz więc nieoczekiwanie wpadł w nędzę. Nie przestał jednak ani na chwilę posyłać swych pierwocin literackich pismom, które nie płaciły — i utworów dojrzalszych pismom, które nie chciały ich przyjąć. Odnowił też znajomość z lombardem w Oakland. Kilka anegdot i żarcików, posłanych do New-Yorku, chroniło narazie Martina od śmierci głodowej. W tym to czasie przesłał szereg ofert do najpoważniejszych miesięczników i kwartalników, odpowiedziano mu jednak, iż rzadko uwzględnia się utwory pisarzy początkujących i przez nikogo nie popartych, drukuje zaś przeważnie prace zamówione u znanych specjalistów — ludzi posiadających autorytet w danej dziedzinie.

## R o z d z i a ł XXIX

Lato ciężkie było dla Martina. Redaktorzy rozjechali się na wakacje, wobec czego wydawnictwa, odpowiadające zwykle w przeciągu trzech tygodni, obecnie zatrzymywały rękopisy po trzy miesiące i dłużej. Pocieszał się tem, że w sezonie ogórkowym zaoszczędzi przynajmniej na markach. Jedynie wydawnictwa rabunkowe nie przerywały intensywnej działalności, im też ofiarował Martin wszystkie swe najwcześniejsze utwory, jak: „*Polów peret*“, „*Fach marynarza*“, „*Polowanie na żółwie*“ oraz „*Passat północno-wschodni*“. Za rękopisy te nie otrzymał ani grosza. Co prawda, po sześciu miesiącach korespondencji osiągnął rezultat kompromisowy, a mianowicie maszynkę do golenia za „*Polowanie na żółwie*“, od „*Akropolis*“ zaś za „*Passat północno-wschodni*“ — obietnicę wypłacenia pięciu dolarów gotówką i pięcioletniego przesyłania pisma, poczem jedynie druga część obietnicy wykonana została.

Za sonet o Stevensonie zdołał Martin wydobyć dwa dolary od pewnego wydawcy z Bostonu, prowadzącego pismo ze smakiem à la Matthew Arnold i z pustkami w kieszeni. „*Peri i perły*“, pełen żaru

duszy poemacik o dwu tysiącach wierszy, zdobył względy redaktora pewnego czasopisma, wydawanego w San-Francisco przez jedno z największych przedsiębiorstw kolejowych. Redaktor napisał do Martina, ofiarowując mu honorarjum w postaci biletu wolnej jazdy. Martin odpisał natychmiast, pytając, czy bilet taki może być spieniężony. Okazało się, że nie, wobec czego Martin zażądał zwrotu rękopisu. Odesłano ze stokrotnymi wyrazami żalu, Martin zaś skierował swój utwór zpowrotem do San-Francisco, tym razem dla redakcji „*Szerszenia*“, miesięcznika pełnego pretensyj, który miał swego czasu dni chwały, gdyż założony został przez pewnego znakomitego dziennikarza. Gwiazda „*Szerszenia*“ zmierzchła jednak na długo przed urodzeniem Martina Edena. Redaktor obiecał Martinowi piętnaście dolarów za poemat — po wydrukowaniu jednak, zapomniał o tem zupełnie. Kilka listów Martina pozostało bez echa, wreszcie jeden, tym razem gniewny — wywołał odpowiedź. Nowy redaktor oświadczał sucho, że nie życzy sobie ponosić konsekwencyj błędów swego poprzednika, oraz, że nie ceni bynajmniej poematu „*Peri i Perły*“.

Najokrutniej jednak postąpiło z Martinem czasopismo „*Glob*“, wychodzące w Chicago. Chłopak strzegł od druku „*Liryki Morza*“, dopóki ostateczny głód nie zmusił go do ich zaofiarowania. Odrzucone przez tuzin „*magazines*“, oparły się nareszcie w redakcji „*Globu*“. Stanowiły cykl trzydziestu poemacików — umówione honorarjum wynieść miało

trzydzieści dolarów. W pierwszym miesiącu wydrukowano cztery wiersze i niezwłocznie załączono czek na cztery dolary. Zastrząwszy jednak do tygodnika, Martin oniemiał na widok dokonanego rozbój. Niektóre tytuły pozmieniano, n. p. „*Koniec*“ na „*Zakończenie*“ lub „*Pieśń najdalszej rafy*“ na „*Pieśń raf koralowych*“. Raz nawet odrzucono — niezadowolający widocznie — tytuł autora i zamiast: „*Światła Meduzy*“ wydrukowano „*Powrotnym szlakiem*“. Najgorsze jednak były cięcia dokonane wewnątrz poematów. Martin klął, pocił się i rwał włosy na głowie. Wyrazy, zdania i całe strofy poopuszczano, pokrajano lub pozmieniano w możliwie niezrozumiały sposób. Miejscami podstawiono mu zdania i całe linje, których nigdy nie był napisał. Martin nie przypuszczał, żeby jakikolwiek redaktor przy zdrowych zmysłach mógł popełnić podobne nadużycie, uwierzył więc we własną hipotezę, iż liryki jego zoperowane zostały przez steno-grafa, a może nawet chłopca redakcyjnego. Natychmiast napisał błagalny list, żeby zaprzestano druku wierszy i zwrócono rękopis. Pisał jednak i pisał, prosząc, tłumacząc, grożąc, zaklinając, lecz listy jego zlekceważono. Miesiąc po miesiącu trwał rozbój, aż wszystkie trzydzieści sonetów ukazały się w druku, i punktualnie co miesiąc nieszczęśliwy autor otrzymywał czek za ostatnie cztery numery.

Pośród tych licznych niepowodzeń pocieszał się Martin wspomnieniem czterdziestu dolarów, otrzymanych od „*Białej Myszy*“. Teraźniejszość kiero-

wala go jednak coraz bardziej na „wyroby rzemieślnicze“. Odkrył możność zarobkowania po tygodniakach rolniczych i dziennikach handlowych — czasopisma religijne zato zdolne były doprowadzić współpracowników do głodowej śmierci. W najkrytyczniejszej chwili, kiedy czarny garnitur spoczywał znowu w lombardzie, fortuna uśmiechnęła się nagle, i Martin wygrał konkurs literacki, ogłoszony przez Miejscowy Komitet Partji Republikańskiej. Konkurs był rodzajem trójboju, i w każdym z postawionych zadań Martin Eden uzyskał pierwszeństwo, śmiejąc się gorzko z samego siebie, że oto, czego imać się musiał, żeby żyć. Poemacik Martina otrzymał pierwszą nagrodę: dziesięć dolarów, piosenka żołnierska — drugą: pięć dolarów, artykuł zaś o idei Partji Republikańskiej — pierwszą i najwyższą: dwadzieścia pięć dolarów. Powodzenie to bardzo cieszyło Martina, dopóki nie spróbował go zrealizować. W Komitecie partyjnym zaszły jakieś nieporozumienia, i pieniądze nie nadchodziły, chociaż zasiadał w nim pewien poważny senator, oraz znany bankier.

Martin dowiedział tymczasem, że orjentuje się niegorzej w zasadach Partji Demokratycznej, zdobywszy również pierwszą nagrodę w podobnym konkursie literackim, przez nią ogłoszonym. W dodatku zdobył też dwadzieścia pięć dolarów. Poprzednich jednak czterdziestu nie zobaczył nigdy.

Zmuszony do forteli, żeby widywać Ruth samą, i uważając, że spacer pieszy z Północnego Oakland

do domu państwa Morse i zpowrotem zabiera zbyt wiele czasu, postanowił Martin zastawić swój garnitur wizytowy w lombardzie wzamian za rower. Przejażdżka z Ruth na rowerze dawała jednocześnie ćwiczenie fizyczne, oszczędność czasu i możliwość widzenia panienki. Bryczesy i swaeter stanowiły znośny kostjum sportowy, pozwalający towarzyszyć Ruth na popołudniowe wycieczki za miasto. Zresztą, przestawanie z panienką w jej domu stało się już prawie niemożliwe, wobec nieustannie prowadzonej przez panią Morse kampanji bawienia i otaczania córki. Wyszukane towarzystwo, które spotykał Martin w domu narzeczonej i które imponowało mu niedawno — obecnie nudziło tylko. Przestało wogóle być wyszukane. Martin, zdenerwowany nędzą, niepowodzeniem i przepracowaniem, irytował się nieznośną paplaniną salonową licznych gości. Nie był bynajmniej niesprawiedliwym egoistą. Ciasnotę mózgów tych ludzi zestawiał z umysłem myślicieli, których dzieła studjował. W domu Ruth nie spotkał ani jednego człowieka o szerokim światopoglądzie i głowie otwartej; wyjątek stanowił profesor Caldwell, tego jednak widział Martin raz tylko. Co zaś do innych, to stanowili zbiorowisko płytkich, dogmatycznych i pretensjonalnych nieuków, nicości i głupców. Martina raziło i zastanawiało przede wszystkim nieuctwo. Co się stało? Co uczynili ci ludzie ze swoim wykształceniem? Mieli przecie dostęp do wszelkich książek! Dlaczego nic z nich nie wydobyli?

Martin wiedział, że istnieją głębokie umysły i wielcy myśliciele. Dowodem książki — książki, co potrafią jego, biednego marynarza, wznieść wysoko ponad poziom sfery państwa Morse. Pewien był; że spotkać można w życiu ludzi ciekawszych, niż goście w domu jego narzeczonej. Czytał niejedną angielską powieść towarzyską, gdzie mężczyźni i kobiety dyskutowali o filozofji i polityce. Czytał też o salonach wielkich miast, co nawet tu, w Stanach, ogniskowały życie artystyczne i umysłowe. Ongiś przypuszczał — szalony — że w tak zwanych wyższych sferach społecznych spotyka się wyłącznie ludzi o potędze umysłowej i wysokiem wyrobieniu artystycznym. Kultura i kołnierzyk wydawały się Martinowi nierozłączne, wykształcenie zaś uniwersyteckie synonimem opanowania przedmiotu.

Trudno, niema rady, wywalczy sobie drogę jeszcze dalej, jeszcze wyżej. Weźmie Ruth ze sobą. Kochał ją całym sercem i wierzył niezachwianie, że blask tej kobiety nie zgaśnie nigdy i nigdzie. Wiedząc dobrze, jak jego samego związało i napiętnowało dawne otoczenie, doszedł do wniosku, że w podobny sposób otoczenie urobiło Ruth. Nie miała możliwości rozwinięcia skrzydeł. Książki w bibliotece jej ojca, obrazy na ścianach, nuty na fortepianie — to był tylko blichtr, popis, wystawa. Na prawdziwą literaturę, muzykę, sztuki plastyczne — państwo Morse i im podobni głusi byli i ślepi. Jeszcze zaś dalsi, jeszcze bardziej obcy byli prawdziwemu życiu ludzkiemu, temu, co trwa ponad wszelką sztuką.



Pomimo pozoru niezależności sądów — w ramach nieodzownego konserwatyzmu — o kilka pokoleń odlegli byli od zdobyczy wiedzy współczesnej. Pielegnowali średniowieczny sposób myślenia, stosunek zaś ich do zasadniczych problemów egzystencji i wszechświata nie różnił się wcale od zabobonów tak młodych, jak najmłodsza rasa, i równie starych, jak istnienie jaskiniowca. One to kazały ongiś mał-po-człowiekowi z epoki pleistocenu bać się ciemności, barbarzyńskiemu a lekkomyślnemu hebrajczykowi wyprowadzać Ewę z żebra Adama; podyktowały Kartezjuszowi idealistyczne rozwiązanie zagadnienia wszechświata, jako rzutu swego własnego słabego ja; pchnęły wreszcie znanego angielskiego eklezjastę do wydrwienia teorii ewolucji w ciętej satyrze, która zyskała tani poklask współczesnych, lecz imię autora zapisała czasem na kartach historii jako imię mizernego pismaka.

Tak myślał Martin i myślał coraz śmielej, aż nareszcie doszedł do wniosku, że różnicę pomiędzy tymi prawnikami, oficerami, handlowcami i bankowcami, których spotykał obecnie, a robotnikami, których znał kiedyś, stanowi przeważnie rodzaj pożywienia, sposób ubrania i wybór sąsiadów, z którymi obcuje. Niewątpliwie, większości jednych i drugich brakło jeszcze czegoś, tego, co czuł w sobie, co spotykał w książkach. Dom państwa Morse sprezentował wszystko najwartościowsze, co sfera burżuazji mogła wytworzyć. Nie było to zaiste godne podziwu. Martin, nędzarz, niewolnik lichwia-

rzy, czuł się bezwzględnie wyższy od ludzi, których spotykał w wytwornym salonie; więc też wykupiwszy z lombardu czarny garnitur, poruszał się pośród gości jak pan i władca, nie mogąc przytem obronić się pewnemu uczuciu zranionej dumy, niby księżę, który obcować musi z pastuchami.

— Widzę, że nienawidzi pan i boi się socjalistów — zwrócił się Martin do pana Morse pewnego wieczoru przy obiedzie; — Dlaczego? Nie zna pan — o ile mi wiadomo — ani zasad socjalizmu, ani ich wyznawców.

Rozmowę pchnęła w tym kierunku pani Morse, świadomie i natrętnie opiewająca zalety młodego Hapgooda. Bankowiec ów był piętą Achillesową Martina, którego nic tak szybko nie wyprowadzało z równowagi, jak wzmianka o tym zawodowym producencie komunałów.

— Tak jest — odrzekł. — Pan Charlie Hapgood jest co się zowie młodzieńcem z przyszłością. Niewątpliwie zostanie przed śmiercią dyrektorem banku, a — kto wie? — może otrzyma fotel w Senacie Stanów Zjednoczonych.

— Co każe panu tak przypuszczać? — zagadnęła pani Morse.

— Słyszałem jego mowę przedwyborczą; była tak doskonale przeciętna, banalna i ogólnikowa, a przez to tak nieodparcie przekonywująca, że przywódcy partji muszą uważać go za drogowskaz i ostoję; komunały pana Hapgooda tak harmonizują z poglądami przeciętnego wyborcy, że — no, wre-

szcie, Boże drogi, każdemu pochlebia niewymownie, jeśli mu ktoś ucieleśni własne myśli, wystroi pięknie i postawi przed oczy.

— Czy pan poprostu nie zazdrości panu Hapgoodowi... — uklęła Ruth.

— Broń Boże!

Wyraz zgrozy na twarzy Martina podniecił wojowniczość pani Morse.

— Nie ma pan chyba zamiaru utrzymywać, iż Charlie Hapgood jest głupi? — zapytała lodowatym tonem.

— O, nie bardziej, niż przeciętny republikanin — brzmiała odpowiedź — albo zresztą przeciętny demokrata. Każdy z nich jest głupi, o ile nie jest szczwany — szczwanych zaś jest niewiele — Mądrymi republikanami są wyłącznie miljonerzy oraz ich świadomi słudzy. Wiedzą, z której strony ich chleb powszedni nasmarowany jest masłem, i dobrze wiedzą dlaczego.

— Jestem republikaninem — wtrącił obojętnie pan Morse. — Proszę, do jakiej kategorii zechce mnie pan zaliczyć?

— O, szanowny pan jest raczej sługą nieświadomym.

— Sługą?

— Tak jest. Pracuje pan w swojej korporacji dla niej. Pańscy klienci nie rekrutują się ze sfer robotniczych, nie występuje pan w sprawach kryminalnych. Męty społeczne nie przysparzają panu dochodów. Płacą panu możni tego świata, a ten, kto

nas żywi, jest naszym panem. Tak więc, jest pan sługą, reprezentantem interesów wielkiego kapitału, któremu pan służy.

Twarz pana Morse stała się purpurowa.

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę — wyrzekł, — że mówi pan, jak pierwszy lepszy z tych wisielców socjalistów.

W tej właśnie chwili wtrącił Martin uwagę:

— Widzę, że pan nienawidzi socjalistów i boi się. Dlaczego? Nie zna pan, o ile mi wiadomo, ani zasad socjalizmu, ani jego wyznawców.

— Pańskie zasady właśnie brzmią socjalistycznie — odrzekł pan Morse.

Ruth spoglądała z trwogą to na ojca, to na matkę, matka zaś słuchała rozpromieniona, ciesząc się z doskonałej okazji wzmożenia niechęci męża do tego intruza, Edena.

— Stąd, że uważam republikanów za głupców, a sławetne hasło „wolność, równość, braterstwo“ za bańkę mydlaną — nie wynika jeszcze, żebym był socjalistą — odrzekł Martin z uśmiechem. — Fakt zaś, że nie uznaję Jeffersona, oraz niedouczzonego Francuza, który go informował — również nie dowodzi bynajmniej moich socjalistycznych przekonań. Proszę mi wierzyć, iż szanowny pan w swych poglądach zdaje się być bliższy socjalizmowi niż ja, zacięty wróg socjalizmu.

— Pan raczy żartować — zdołał zaledwie wymówić zaatakowany.

— Ani trochę. Mówię zupełnie poważnie. Pan

uparcie wierzy w równość, pracując jednocześnie w zrzeszeniu, które dzień po dniu usilnie równość niszczy. Mnie zaś nazywa pan socjalistą, ponieważ odrzucam równość, a wyznaję to właśnie, do czego zmierza pańskie życie. Republikanie są wrogami równości, chociaż wielu walczy przeciwko niej, wzięwszy ją sobie za hasło. W imię równości zwalczają równość. Dlatego właśnie nazywam ich głupcami. Co do mnie — jestem indywidualistą. Wierzę, że do wyścigu stawać powinni tylko szybko-nodzy, że w walce wygrywają silni. Oto jest prawda, której nauczyła mnie biologja. Jakem rzekł — jestem indywidualistą, indywidualizm zaś jest odwiecznym i nieubłagany wrogiem socjalizmu.

— A jednak odwiedza pan wiece socjalistyczne! — rzucił pan Morse.

— Tak jest. W ten sam sposób odwiedza szpieg obóz nieprzyjacielski. Jakże inaczej poznać mógłbym wroga? Zresztą, czuję się na ich wiecach bardzo dobrze. Ludzie ci umieją walczyć, pozatem zaś — tak, czy inaczej — czytali wiele. Każdy z nich wie więcej o socjologii i o wszystkich innych „logjach“, niż niejedna gruba ryba z pośród przemysłowców. Nie przeczę, że byłem na paru wiecach socjalistycznych, ale przez to nie jestem jeszcze socjalistą, tak samo, jak wysłuchanie mowy Charlie Hapgooda nie uczyniło ze mnie republikanina.

— Nic nie poradzę — rzekł słabo pan Morse; —

uważam po dawnemu, że pan skłania się ku socjalizmowi.

— Boże! — pomyślał Martin. — On nawet nie wie, o czym mówiłem! nie zrozumiał ani słowa. Cóż u licha zrobił ze swoim wykształceniem?

W podobny sposób, w miarę rozwoju myślowego, znalazł się Martin twarz w twarz z zagadnieniem etyki klasowej, czyli moralności urobionej stosownie do warunków ekonomicznych. Kwestja ta stała się dlań odrazu koszmarem. Osobiście był intelektualnym moralistą, i nawet pompatyczna płytkość raziła go mniej, niż ogólnie przyjęte zasady etyczne: dziwaczna mieszanina wpływu warunków ekonomicznych, metafizyki, sentymentalizmu i małpowania.

Próbkę tej ciekawej sałatki znalazł Martin we własnej rodzinie. Siostra jego, Marian, poznała się i zaprzyjaźniła ze zdolnym, młodym mechanikiem niemieckiego pochodzenia, który, posiadwszy gruntownie rzemiosło, otworzył na własną rękę warsztat naprawy rowerów. Wystarał się też o przedstawicielstwo jakiejś pomniejszej firmy rowerowej i miał się wcale nieźle. Marian odwiedziła kiedyś Martina w jego izdebce, zawiadamiając o swych zaręczynach; podczas rozmowy ujęła żartobliwie rękę brata i, przyjrząwszy się dłoni, zaczęła mu przepowiadać przyszłość. Następnym razem zjawiała się już z Hermanem Szmidtem. Martin przyjął ich bardzo uprzejmie i złożył życzenia w sposób tak serdeczny i pełen wdzięku, że niezwłocznie wywo-

łał niechęć na prostackiej twarzy narzeczonego siostry. Pierwsze złe wrażenie wzrosło jeszcze, kiedy Martin przeczytał młodej parze sześciostrofowy wierszyk, którym upamiętnił poprzednią wizytę dziewczyny. Wierszyk był czysto towarzyski, lotny i subtelny, zatytułowany „Wróżka“. Martin zdziwił się, kiedy po przeczytaniu wiersza nie ujrzał zadowolenia na twarzy siostry. Oczy jej utkwione były niespokojnie w narzeczonego, i Martin, idąc za wzrokiem dziewczyny, zobaczył nagle, jak grube, niesymetryczne rysy twarzy pana Schmidta spochmurniały z obrazy i gniewu. Nie zaszło zresztą nic więcej, młoda para wyniosła się skwapliwie, i Martin zapomniał wkrótce o tym drobnym incydencie, chociaż przez chwilę poczuł zdziwienie, że istnieje kobieta — chociażby nawet kobieta z proletariatu — która nie czuje się dumna i uradowana, wysłuchawszy wiersza na swoją cześć.

W kilka tygodni potem, Marian znowu odwiedziła brata, tym razem sama. Niezwłocznie przystąpiła do rzeczy, robiąc mu gorzkie wyrzuty zato, co ośmielił się uczynić.

— O co chodzi, Marian? — zażartował chłopak — mówisz tak, jakbyś się musiała wstydzić rodziny, a przede wszystkim brata.

— A bo właśnie! żebyś wiedział, że tak! — wybuchnęła.

Martina przeraziły łzy gniewu i obrazy w oczach siostry. Słusznie czy niesłusznie, cierpiała jednak szczerze.



— Ależ, Marian, dlaczegoż twój Herman miałby być zazdrosny o to, że napisałem wiersz o mojej własnej siostrze!?

— Wcale nie jest zazdrosny — załkała. — Ale on... on... powiada..., że to jest... jest.. nieprzyzwoitość... rozpusta!

Martin wydał długi, cichy gwizd zdziwienia, poczem wyszukał kopję „*Wróżki*“ i odczytał ją stannie.

— Nic podobnego nie widzę — wyrzekł, podając siostrze rękopis. — Przeczytaj sama i pokaż mi, co uważasz za nieprzyzwoite — może jakie słowo, co?

— Herman tak uważa, a on dobrze wie, co mówi — odrzekła, ze wstrętem odpychając rękopis. — Herman chce, żebyś to podarł. Powiada, że nie potrzebuje za żonę kobiety, co o niej można pisać takie rzeczy, które każdy czyta. Żebyś wiedział. To jest wstyd, i my sobie tego nie życzym.

— Posłuchaj, Marian, to wszystko wierutne głupstwa — zaczął Martin, lecz nagle zorjentował się i przestał. Miał przed sobą biedne, stroskane stworzenie i zrozumiał całą bezskuteczność przekonywania młodej pary, i chociaż postawienie sprawy było głupie i obrażające — zdecydował się poddać.

— Dobrze, niech już będzie — oświadczył, drąc rękopis na drobne kawałki i rzucając do kosza.

Pocieszał się myślą, że oryginał spoczywa spokojnie w redakcji jednego z czasopism New-Yorku. Marian, ani jej mąż nie dowiedzą się o tem nigdy, a tymczasem ani oni, ani Martin, ani świat nic na

tem nie tracą, że ktoś kiedyś wydrukuje ładniutki, niewinny wierszyk.

Marian rzuciła się do kosza z papierami, lecz przystanęła.

— Czy można? — spytała błagalnie.

Skinął głową i patrzył uważnie, jak dziewczyna zbierała i chowała troskliwie do kieszonki żakietu podarte kawałki rękopisu — namacalne dowody skuteczności swej misji. Marian przypomniła mu Lizzie Connolly, choć mniej miała w sobie życia i ognia niż młoda robotnica, którą spotkał ongiś dwukrotnie. Jednakowe były obie w ruchach, ubraniu i sposobie bycia. Martin uśmiechnął się cicho, gdyż kaprys wyobraźni ukazał mu nagle obie dziewczyny, wchodzące do salonu pani Morse. Wesół uśmiech zwiędł — napłynął smutek głęboki. Ta prostacka siostra i tamten wytworny salon — to jeno kamienie wiorstowe na długiej przebytej drodze. Został je poza sobą. Oczyma pełnemi tkliwości ogarnął nieliczne książki. Oto jedyni towarzysze, którzy do trzymali placu.

— Co takiego? O czym mówisz? — zapytał z nagłym zdziwieniem.

Marian powtórzyła pytanie.

— Dlaczego nie wezmę się do pracy? — Wybuchnął głośnym, choć tylko nawpół szczerym śmiechem. — To już ci Herman powiedział, prawda?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie kłam! — rozkazał; skinienie potwierdziło jego przypuszczenie. — Dobrze. Możesz powiedzieć

swemu Hermanowi, żeby pilnował własnego nosa. Jeśli piszę wiersze o dziewczynie, z którą ma się żenić, — to jego sprawa; ale pozatem — wara. Zrozumiane? — A więc, nie przypuszczasz widocznie, że zdobędę powodzenie jako pisarz, he? — ciągnął dalej za chwilę. — Przypuszczasz, że jestem nic nie wart? Że nisko upadłem i przynoszę wstyd rodzinie? Tak?

— Ja myślę, że byłoby lepiej, gdybyś się wziął do rzemiosła — wyrzekła z przekonaniem, i Martin zrozumiał, że mówiła szczerze. — Herman powiada...

— Do licha z Hermanem! — przerwał dobrodusznie. — Powiedz lepiej, kiedy się pobierzecie? A nie zapomnij wybadać twego Hermana, czy raczej pozwolić ci przyjąć ode mnie prezent ślubny.

Po odejściu siostry, Martin długo rozpamiętywał rozmowę i śmiał się gorzko; siostra, jej narzeczony, całe ich otoczenie, całe otoczenie panny Ruth, kierują swoje ciasne, mizerne życia, ciasnemi, mizernemi zasadami, zamykają w złudnych formułach, dręczą się nawzajem „opinjami“ jednych o drugich, pozbawiają jednostki wszelkiej odrębności i prawdziwego, bujnego życia za cenę zachowania naiwnych przepisów, których są uciemieżonymi niewolnikami. Przed oczyma Martina sunąć poczęła procesja: Bernard Higginbotham pod rękę z panem Butlerem, Herman Szmidt tuż obok Charlie Hapgooda... Każdego z osobna i wszystkich razem osądzał Martin i potępiał — nie we własnem imieniu, lecz

w imieniu tych nakazów rozumu i zasad moralności, które znalazł był w książkach. Napróżno pytał: gdzie są wielkie dusze? Wielcy mężczyźni? Kobiety? Nie znajdował ich pośród beztroskich, tępych i głupich postaci, co na zew wyobraźni zaludniły ciasną izdebkę. Martin poczuł ku nim odrazę tak silną, jaką czuć musiała Cyrce do swojego stada. Kiedy ostatniego odprowadził wzrokiem i, zdawało się, że sam pozostał — napłynęła nieczekanie spóźniona zjawia. Przyjrzał się Martin i dostrzegł sztywnobrzegi kapelusz, przykrótką kurtę i rozkołysane ramiona młodego nicponia i urwipółcia, którym sam był niegdyś.

— Takiś jak oni wszyscy, młodziku — syknął Martin. — Twoja świadomość i twoja moralność były podobne. Nie odważałeś się myśleć ani postępować po swojemu. Twoje sądy, tak jak twoje ubranie robione były na hurt; twoje czyny czekały aprobaty galerji. Byłeś kogutem twego stadka, bo stado cię hołubiło. Przewodziłeś bandzie, bijeś bandę nie dlatego, żebyś pragnął — wiesz dobrze, że pogardzałeś — ale dlatego, że ci schlebiano. Kuksałeś Łba-jak-Ser, boś nie chciał ustąpić, a ustąpić nie chciałeś przedewszystkiem dlatego, że byłeś bydlęciem, a powtóre, boś wierzył, i wierzyli wszyscy twoi, że miarą męskości jest krwiożercze okrucieństwo, które powinno kaleczyć i niszczyć ciała stworzeń pokrewnych. Cóż, urwisie! odbijałeś nawet kolegom dziewczęta, nie dlatego, żebyś pragnął dziewcząt, ale dlatego, że w szpiku kości twych przod-

ków, tych, po których odziedziczyłeś moralność, żyły instynkty dzikiego stada i walki o samicę. Tak, tak, lata minęły, i co myślisz teraz o tem?...

Jakby w odpowiedzi — wyrosła nowa wizja. Sztywnobrzegi kapelusz i ciemną kurtę zastąpiła odzież spokojniejsza, znikła z twarzy brutalność, zuchwale spojrzenie zmiękło; oblicze wyszlachetniało i prześwieciło się światłem wewnętrznem ducha, co znał odwagę myśli i zetknięcia z pięknem. Zjawa przypominała Martina obecnego, on sam zaś, patrząc w twarz swego dnia dzisiejszego, dostrzegł otwartą książkę w kręgu światła znajomej lampy. Odczytał tytuł: „*Nauka estetyki*“. Chwila — wsiąkł w zjawę, rozjaśnił lampę i pogrążył się w „*Naukę estetyki*“.

### R o z d z i a ł   X X X

Pewnego popołudnia, u schyłku cudnego indyjskiego lata, odczytał Martin narzeczonej swój „*Cykl miłosny*“. Dzień podobny był owemu dniu złotemu, który przed rokiem ujrział ich wyznanie. Jak zwykle wyjechali za miasto na rowerach i zatrzymali się na ulubionym pagórku. Dziewczyna co chwila przerywała czytanie okrzykami zachwytu, teraz więc, odłożywszy ostatnią kartkę — chłopak czekał wyroku.

Ruth zwlekała, aż nareszcie mówić poczęła zwolna, bojąc się zamknąć w słowa cierpkość swej myśli.

— Uważam, że wiersze te są ładne, bardzo ładne nawet; ale... ale nie może pan ich sprzedać — nieprawdaż? Czy pan rozumie, co ja chcę powiedzieć? — głos dziewczyny stał się nieomal błagalny. — To pańskie pisanie jest zupełnie niepraktyczne. Sama nie wiem dlaczego — może z winy rynku — nie udaje się panu nic zarobić. Proszę, kochany... proszę mnie źle nie rozumieć. Jestem z tych wierszy dumna, jestem z nich bardzo rada, i tak dalej, — nie byłabym zresztą kobietą, gdyby mi nie pochlebiali wiersze, stworzone dla mnie. Ale cóż

z tego, kiedy one bynajmniej nie umożliwiają naszego małżeństwa. Czyż pan tego nie widzi? Proszę mnie nie uważać za chciwą materialistkę. Przeze mnie mówi jedynie miłość i troska o naszą przyszłość, wspólne życie. Cały rok minął od czasu zaręczyn, a dzień ślubu jest ciągle równie daleki. Proszę nie mieć mi za złe, że tak poprostu i może wbrew skromności mówię o ślubie, ale doprawdy, przecież postawiłam na kartę całe serce, całą siebie. Dlaczego nie postarasz się o posadę w jakiejś gazecie, jeśli już koniecznie chodzi o pisanie? Dlaczegoż nie zostać reporterem... choćby na krótko, tymczasem?

— Praca reporterska zepsułaby mi styl — zabrzmiał w odpowiedzi cichy, powolny, monotonny głos. — Pani nie ma pojęcia, jak bardzo pracowałem nad stylem.

— A tamte drobne noweletki? — nastawała pannenka. — Nazywał je pan robotą rzemieślniczą i napisał ich sporo. Czyż nie psuły stylu?

— Nie, to zupełnie co innego. Noweletki powstały same przez się, prawie bez wysiłku, po długim dniu pracy artystycznej, ale zajęcie reportera jest rzemiosłem od rana do nocy, jest nieustannym myśleniem o kawałku chleba. To życie wiatraka, istnienie wyłącznie chwilą bieżącą, bez przeszłości bez przyszłości, bez myśli o pracy artystycznej. Reporterski sposób pisania nie ma przecież nic wspólnego z literaturą. Zostać reporterem teraz, kiedy moja indywidualność artystyczna zaczyna się wyklu-



wać, krystalizować — nie, to byłoby zabicie raz na zawsze siebie, jako materiału na pisarza. Zresztą każda nowelka rzemieślnicza, każde słowo wyłącznie dla zarobku pisane, było również pogwałceniem samego siebie, szacunku dla siebie samego, szacunku dla piękna. Proszę uwierzyć, było mi bardzo ciężko. Czulem, że grzeszę. I nawet, wyznaję, pokryjomu cieszyłem się brakiem zbytu, chociaż z tego powodu nosić musiałem ubranie do lombardu. Ale zato cóż za rozkosz tworzenie „Cyklu miłości“! Rozkosz twórcza w najszlachetniejszej, najczystszej formie! Dostateczna nagroda za wszystko.

Martin nie wiedział, że dla Ruth „rozkosz twórcza“ jest tylko pustym dźwiękiem. Owszem, używała tego wyrażenia, od niej nawet usłyszał je Martin po raz pierwszy; czytała o tem, studjowała to nawet, zdobywając swój stopień „*Bachelor of Arts*“. Nie знаła jednak samodzielności myślenia, ani twórczości na jakim bądź polu. Kult sztuki był w niej tylko odbiciem tego kultu, widzianego u innych.

— Czyż redaktor, który drukował pańskie „*Liryki Morza*“, nie miał słuszności, poprawiając je nieco? — zapytała Ruth. — Proszę nie zapominać, że redaktorzy muszą mieć przecież jakieś kwalifikacje, inaczej nie zostaliby redaktorami.

— To, co pani mówi, leży na jednej linji z uznaniem i chwaleniem wszelkiego istniejącego stanu rzeczy, — odparł Martin, czując, że opanowuje go gromadzony oddawna gniew na wszelki ludek redak-

torski. To, co istnieje, co utrwaliła rutyna, ma być nietylko dobre, ale nawet najlepsze i jedyne. Istnienie danej rzeczy służyć ma za wystarczające jej prawo do istnienia i w dodatku do istnienia nietylko w warunkach obecnych, ale wogóle we wszelkich warunkach. Tak rozumuje nieświadomie przeciętny obywatel; głupota to, rzecz prosta, każe mu wierzyć w podobne brednie, głupota, która jest niczem innym, jak owym, opisanym przez Weininger, człowiekobójczym procesem, zachodzącym w mózgu ludzkim. Myślą, że myślą, i takie bezmyślne stworzenia stają się wyroczniami decydującymi o życiu nielicznych istot, które myślą naprawdę.

Przerwał, zrozumiałwszy, że mówi rzeczy przerażające umysł Ruth.

— Nie wiem, co prawda, kim był ów Weininger — odrzekła panienka. — Przytem mówi pan tak przeraźliwie ogólnikowo, że z trudnością chwytam, o co chodzi. Co do mnie, mówiłam o kwalifikacjach redaktorów...

— Ja zaś pozwolę sobie powiedzieć pani, — targnął się Martin — że w 99-ciu wypadkach na sto jedyną kwalifikacją redaktora jest bankructwo, przegranie życiowej stawki. Przegrali jako pisarze. Proszę nie myśleć, że ktokolwiek woli biurową skrobaninę i zależność od prenumeratorów i od administracji — niż czystą radość tworzenia. Dzisiejsi redaktorowie też próbowali kiedyś pisać — ale przegrali. Tu właśnie tkwi przeklęty paradoks: każda droga do powodzenia w literaturze strzeżona jest

przez cerberów, którzy na tejże drodze ponieśli klęskę. Redaktorzy, wydawcy, ich sekretarze, pomocnicy i współpracownicy, — nieomal wszyscy — zarówno jak ci, co oceniają rękopisy dla księgarzy — są ludźmi, którzy chcieli pisać — i upadli. A teraz oni właśnie — ze wszystkich stworzeń pod słońcem najmniej do tego powołani — decydują, co trafić ma do druku. Ci, którym zabrakło indywidualności, którzy wykazali, że nie mają iskry bożej, ferują wyroki, rozdają patenty na oryginalność i talent. A potem nadchodzą recenzenci — również przeważnie chybione pióra, niedoszłe wielkości. Proszę mi nie mówić, że oni kiedyś nie marzyli o sławie, nie próbowali pisać! Próbowali — i przegrali. Czyż przeciętna recenzja nie jest bardziej mdła niż tran rybi? Pani zna moją opinię o sprawozdawcach i recenzentach, a nawet o krytykach, na których sąd zwykła się powoływać publiczność. Nie przeczę, istnieją wielcy krytycy — myśliciele, ale ci rzadcy są jak komety. Co do mnie, jeśli przegram jako pisarz, to dowiodę, że nadaję się na redaktora. Tak czy inaczej, kawałek chleba zapewniony.

Ruth zwykła myśleć pośpiesznie, niechęc zaś do wyrażanych przez Martina poglądów nasunęła jej przed oczy przede wszystkim niekonsekwencję, jaką popełnił.

— Ależ, Martin, jeśli to prawda, że drogi do powodzenia są zamknięte, jak pan to nader przekonująco dowiódł — to jakimże sposobem zdobyli powodzenie wszyscy wielcy pisarze świata?

— Dokonali niemożliwości, osiągnęli nieosiągalne, — odrzekł chłopak. — Stworzyli dzieła tak wspaniałe, tak płomienne, że spaliły na popiół wszystko, co stawało na drodze. Wygrali cudem, mając jedną szansę na tysiąc. Dopięli swego, ponieważ byli jako „hartowne olbrzymy“ Carlyl’a, których zwyciężyć niepodobna. I oto jest właśnie, co uczynić powinienem: dokonać niemożliwości.

— A jeśli... jeśli się nie uda? Czyżby nie należało wziąć pod uwagę również mego istnienia?...

— Jeśli się nie uda? — Martin spojrzał na Ruth zdziwiony, jak gdyby to, co powiedziała, nie było wogóle do pomyślenia. Potem iskierka zapłonęła mu w oczach. — Jeśli się nie uda — zostanę redaktorem, pani zaś... redaktorową.

Panienka, słysząc żart, zmarszczyła lekko brewki, a zmarszczyła tak ślicznie, tak czarująco, że Martin chwycił ją w ramiona i zcałował chmurkę.

— No już... — broniła się urokowi jego siły. — Rozmawiałam z rodzicami. Nigdy przedtem nie opierałam się im w ten sposób. Żądałam, żeby mnie wysłuchano. Byłam bardzo niedobrem dzieckiem. Oni są przeciwko tobie, wiesz dobrze, ale zapewniałam ich ciągle, że kocham cię wytrwale, i nareszcie tatuś oświadczył mi gotowość przyjęcia cię odrazu do swego biura. A potem..., potem sam z własnej inicjatywy zaofiarował taką pensję na początek, żebyśmy odrazu mogli się pobrać i urządzić sobie gdzieś niedaleko ładny, mały domek. To bardzo miłe ze strony tatusia — nie uważasz?

Martin, z głuchym bólem rozpaczy w sercu, sięgnął mimowoli po papierosy (oddawna już nie nosił ich przy sobie) i odmruknął coś niezrozumiałego; Ruth ciągnęła dalej:

— Szczerze mówiąc — niech cię to jednak nie dotknie, bo mówię to dlatego tylko, żebyś wiedział, czego się trzymać — ojciec nie lubi twoich radykalnych poglądów i uważa, że jesteś leniwy. Ja, rozumie się, wiem, że leniwy nie jesteś; wiem, że pracujesz bardzo wiele...

— Jak wiele, nie dowiesz się nigdy — przemknęło przez myśl chłopaka.

— No, dobrze, — odrzekł, — a co do moich poglądów? Czy ty również uważasz, że są tak radykalne?

Oczyrna zatrzymał spojrzenie dziewczyny i oczekiwał się odpowiedzi:

— Uważam, że... hm... w każdym razie bardzo ci przeszkadzają.

Oto, co usłyszał. Życie legło mu nagle na duszy tak beznadziejną szarością, że zapomniał nawet o kuszącej obietnicy Ruth, o nagrodzie za wzięcie posady. Ona zaś, powiedziawszy tak wiele, postanowiła czekać na odpowiedź, lub na pierwszą sposobność wznowienia rozmowy.

Niedługo czekała. Martin miał również cośnieceś do zapytania. Wypróbować chciał siłę jej wiary. Po upływie tygodnia każde z nich otrzymało odpowiedź. Martin przyśpieszył wyjaśnienia, odczytując paniencie swoją „*Hańbę Słońca*“.

— Ach, dlaczego nie chce pan zostać reporterem? — zapytała, gdy skończył. — Pan tak lubi pisać, pewna jestem, że poszłoby panu doskonale. Mógłby pan zostać wybitnym dziennikarzem i wyrobić sobie nazwisko. Istnieją przecież bardzo cenienni korespondenci specjaliści. Zarabiają znakomicie, a polem ich pracy jest cały świat. Posyłani są wszędzie — wgląb Afryki, jak Stanley, na interwiew do Papieża, na zwiedzenie nieznanego Tybetu.

— A więc, nie podoba się pani mój artykuł — nastawał Martin. — Pani uważa, że mógłbym dojść do rezultatów w dziennikarstwie, ale nigdy w literaturze?

— Nie, nie, owszem, artykuł jest dobry. Boję się jednak, że będzie on zbyt trudny dla czytelników, w każdym razie zbyt trudny jest dla mnie. Brzmi bardzo ładnie, ale niezrozumiale. Terminy naukowe są nie do zgryzienia. Jesteś krańcowy, widzisz, kochanie, i to, co jest proste dla ciebie, może nie być proste dla innych...

— Widocznie terminy filozoficzne przeszkadzają pani — oto wszystko, co zdołał wyrzec.

Przeżywszy na nowo myśl najdojrzalszą, jaką wypowiedział był kiedykolwiek, Martin płomieniał cały. Wyrok dziewczyny ogłuszył go, oszołomił.

— Nie chodzi mi już o formę — nastawał jeszcze, — ależ, czy nie widzi tu pani nic ciekawego, wartościowego, — w samym temacie, w postawieniu kwestji? Nie?

Potrząsnęła głową.

— Nie; to różni się tak bardzo od wszystkiego, co czytałam kiedykolwiek... Czytywałam przecież tegoż Maeterlincka i rozumiałam go...

— Co? Jego mistycyzm? Rozumiała pani? — wybuchnął Martin.

— Tak jest; zato nie rozumiem tego, co pan napisał, a co ma być atakiem na Maeterlincka. Rzecz prosta, jeśli oryginalność uznać za zaletę...

Przerwał jej niecierpliwym gestem, za którym jednak nie podążyły słowa. Po dłuższej chwili zdał sobie nagle sprawę, że panienka mówi jeszcze i że mówiła ciągle.

— Ostatecznie, to pisanie było dla pana zabawką — usłyszał. — Doprawdy, bawił się pan dość już długo. Teraz czas pomyśleć o życiu poważnem, o n a s z e m życiu, Martin. Dotychczas myślał pan wyłącznie o sobie.

— Pani życzy sobie, żebym wziął posadę? — zapytał.

— Tak jest. Ojciec ofiarowywał właśnie...

— Wiem już to wszystko — przerwał, — ale dzisiaj jedno tylko chciałbym wiedzieć; czy ty, ty sama, straciłaś już wiarę we mnie?

Uścisnęła czule jego rękę; błękitne oczy zaszkliły się łzami.

— W twoje pisanie, drogi, — wyznała cichutko.

— Czytałaś tak wiele moich rzeczy — ciągnął brutalnie. — Cóż wreszcie o tem myślisz? Czy wszystko jest ostatecznie beznadziejne. Jak wygląda w porównaniu z tem, co piszą inni?



— Inni sprzedają swoje utwory, ty... nie.

— To nie jest odpowiedź na pytanie. Czy myślisz naprawdę, że praca literacka nie jest mojem powołaniem?

— Więc dobrze, odpowiem szczerze — zebrała całą odwagę. — Nie uważam, żebyś stworzony był do pisania. Przebacz mi, kochany. Sam mnie zmusiłeś do wypowiedzenia się; a wiesz przecie, że lepiej od ciebie znam się na literaturze.

— Tak jest, posiadasz stopień naukowy — wyrzekł zamyślony. — Powinnaś znać się lepiej.

— A jednak, powiedzieć należy coś więcej jeszcze — ciągnął dalej, po przykrej dla obojga pauzie. — Wiem dobrze, co posiadam. Wiem na pewno lepiej, niż ktokolwiek inny, wiem, że wygram. Nie zostanę zwyciężony. Płonę cały od nadmiaru tego, co wypowiedzieć chcę piórem. Nie proszę jednakże, żebyś w to wierzyła. Nie proszę, żebyś wierzyła we mnie, ani w moją pracę. Proszę o jedno tylko: kochaj mnie i wierz w miłość.

— Rok temu prosiłem o dwa lata zwłoki. Rok skończył się właśnie. Wierzę — na honor, na duszę moją — wierzę, że zanim drugi upłynie — zwyciężę. Czy pamiętasz, co mówiłaś kiedyś, że w rzemiośle pisarskiem należy również terminować? Terminowałem więc. Szukałem, badałem, chłonałem. Nie opuszczam rąk nigdy, wiedząc, że u kresu czekasz mnie — ty. Czy wiesz, że zapomniałem już, co znaczy zasnąć spokojnie. Wydaje

mi się, że tysiące lat minęły od czasu, kiedy spałem dosyć i budziłem się rześki. Zawsze budzik zrywa mnie ze snu. Czy położę się wcześniej czy później, jednakowo nastawiam strzałkę; jest to codzienna, ostatnia — prócz zgaszenia lampy — świadoma czynność.

Jeśli czuję, że znużenie mnie pokonywa — zmieniam trudną książkę na lżejszą, a kiedy i to nie pomaga, — walę pięściami w czoło, żeby odegnać senność. Czytałem kiedyś o człowieku, co bał się zasnąć. Gdzieś u Kiplinga. Człowiek ten umocował ostrogę w ten sposób, że gdy nadchodziła nieprzytomność, żelazne ostrze wgryzało się w nagie ciało. Tak, otóż wiedz, że i ja to robię. Patrzę na zegarek i postanawiam, że ostroga nie zostanie zdjęta przypuścmy do dwunastej, pierwszej, drugiej, trzeciej w nocy. I tak utrzymuję czuwanie aż do określonej godziny. Ostroga była przez całe miesiące towarzyszem mego łoża. Doszedłem do tego, że pięć i pół godziny snu uważam za rzadki zbytek. Obecnie śpię cztery. Jestem głodny snu. Przychodzą dni, kiedy miewam halucynacje na temat snu — dni, kiedy śmierć, ze swoim wiecznym odpoczynkiem, kusi mię jak największa rozkosz; dni, w których prześladowuje mnie strofa Longfellow'a: •

*Głębokie i ciche jest morze;  
Co na dnie — od lat śpi tysięcy.  
Krok jeden — wieczność otworzy:  
Plusk — i nic więcej.*

— To, rozumie się, nonsens. Pochodzi ze zderzenia, z przemęczenia mózgu. Idzie mi o jedno tylko: żebyś zrozumiała, dlaczego tak żyję, po co? Dla ciebie. Żeby skrócić czas terminowania. Zmusić wygraną do pośpiechu. I oto dziś mam prawo powiedzieć, że terminować skończyłem. Wiem, co zdobyłem. Przysięgam, że uczę się więcej w przeciągu miesiąca, niż przeciętny student w przeciągu roku. Wiem o tem, mówię ci. Nie mówiłbym jednak, gdybym nie pragnął tak gorąco zrozumienia. To nie samochwalstwo. Sądzę według książek. Bracia twoi są dzisiaj barbarzyńskimi nieukami w porównaniu ze mną, a raczej z tą ilością wiedzy, jaką wchłonąć zdołałem w godzinach, które oni przespali. Kiedyś — dawno — marzyłem o sławie. Dzisiaj o sławę nie dbam. Ciebie pragnę, ciebie; głód ciebie, brak ciebie silniejszy jest, niż może być silny głód chleba, odzieży, sławy. Marzę uparcie, żeby złożyć głowę na twojej piersi i prześpać wieki. I spełni się marzenie, zanim rok upłynie.

Męska siła ogarniała dziewczynę. Im mocniej wola Martina przeciwstawiała się woli Ruth, tem mocniej lgnęła ku niemu jej kobiecość. Potęga, która zwykle promieniała nieuchwytnie, dzisiaj tętniła w niecierpliwym głosie, w płonących oczach, w wzbiciu energii, w napięciu inteligencji. W tej chwili i przez jedną chwilę tylko Ruth poczuła, że jej niewzruszona pewność siebie drży w posadach, a z nagle otwartej rozpadliny wyrasta prawdziwy

Martin Eden, wspaniały i niewyciężony; i jak pokromicielei dzikich zwierząt ogarnia niekiedy trwożliwe zwątpienie, tak samo Ruth zwątpiła nagle, czy potrafi ujarzmić ducha tego mężczyzny.

— I jeszcze jedno — szeptał teraz — kochasz mnie. Ale zaco mnie kochasz? Ta sama siła, która żyje we mnie i każe mi pisać, przyciąga twoją miłość. Kochasz zato właśnie, co odróżnia mnie od mężczyzn, których znałaś i mogłaś być pokochać. Nie jestem stworzony do biurowego stolika, do drobnych handelków, krzątanimy, albo adwokackich przekomarzań. Zaprzęgnij mnie do tego jarzma, uczyni takim jak tamci, każ robić ich robotę, oddychać ich powietrzem, wyznawać ich poglądy — a zniszczysz różnicę, zniszczysz całego mnie, zniszczysz to właśnie, co kochasz. Pragnienie pisanja jest najżywszem tętmem, jakie bije we mnie. Gdybym był miernotą — nie chciałbym pisać, ani ty nie chciałabyś mnie za męża.

— Zapominasz jednak — przerwała, chłonną powierzchnią umysłu schwytawszy podobieństwo. — Zapominasz, że istnieli ekscentryczni wynalazcy, którzy zamorzyli i zmarnowali swoje rodziny, goniąc własne chimery, w rodzaju perpetuum mobile. Niewątpliwie żony, cierpiąc wraz z nimi i dla nich — kochały, nie z powodu ich obłąkania, ale pomimo niego.

— Racja! — brzmiała odpowiedź. — Istnieli jednak również wynalazcy mniej ekscentryczni i obłąkani, co umierali z głodu, chociaż pracowali nad

wynalezieniem idealnie praktycznych przedmiotów; zdarzało się jednak, że wygrywali kampanję. Nie pragnę przecież niemożliwości.

— Sam nazwałeś to „osiągnięciem niemożliwości“ — przeciwstawiła się Ruth.

— Mówilem w przenośni. Chcę dokonać tego, czego dokonywali już ludzie — poprostu pisać, co zechcę, i pisanie tem zarabiać.

Milczenie Ruth dotknęło chłopaka do żywego.

— A więc dla ciebie, cel mój jest tylko chimera, utopją w rodzaju perpetuum mobile? — wyrzekł.

Wyczuł odpowiedź w uścisku jej dłoni, miękkiej dłoni matki, co tuli chore dziecko. Dla Ruth był Martin istotnie chorem dzieckiem, zaślepionym obląkańcem, próbującym dokonać niepodobieństwa.

Pod koniec rozmowy panienska raz jeszcze ostrzegła Martina o niechęci swych rodziców.

— Ale ty, ty sama, czy kochasz? — zapytał.

— Kocham, kocham! — odszepnęła.

— Ja również kocham, kocham ciebie, nie ich, i oni nie są w stanie mnie zranić. — Triumf zabrzmiał w głosie mężczyzny. — Albowiem mam wiarę w twoją miłość, nie lęk przed ich wrogością. Wszystko zawieść może na tym świecie — lecz miłość nigdy. Miłość nie myli się, jeśli nie jest tak wątpla, że traci siły i zamiera na drodze do szczęścia.

## R o z d z i a ł   X X X I

Pewnego dnia spotkał Martin Gertrudę na Broadway. Zdarzenie to było — jak się okazało — dość pomyślne, choć nieprzyjemne. Siostra, czekając na tramwaj, dostrzegła brata pierwsza, i uwadze jej nie uszły wychudzone rysy chłopaka i rozpaczliwy, głodny blask oczu. Istotnie, Martin zrozpaczony był i stargany do granic ostatnich. Wracał właśnie po bezskutecznych odwiedzinach u lichwiarza, od którego próbował wydostać dodatkową sumkę za rower. Kiedy bowiem rozpoczęła się dżdżysta jesień, Martin zastawił rower, a odebrał czarny garnitur.

— Oto jest ubranie — oświadczył lichwiarz, który znał doskonale wartość swoich klientów. — Nie potrzebuje mi pan mówić, że nie zastawi go pan dzisiaj u tego przekłętego żyda, Lipka. Bo gdyby pan kiedykolwiek...

Lichwiarz spojrzał groźnie, a Martin pośpieszył odpowiedzieć.

— ...Nie, nie; nic podobnego. Muszę je włożyć, żeby móc załatwić szereg interesów.

— Dobrze, dobrze, — odrzekł udobruchany lichwiarz. — Ale ja również pilnuję swoich intere-

sów i dlatego nie dam panu ani grosza więcej. Nie pracuję przecie dla zdrowia.

— Ależ dostał pan czterdziestodolarowy rower w doskonałym stanie, — nalegał Martin. — Dał mi pan tylko siedem dolarów. Nie, nawet nie siedem! — sześć i ćwierć, bo procent odliczyliśmy zgóry.

— Jeśli pan chce więcej, proszę mi oddać garnitur — zabrzmiała odpowiedź, która wypchnęła wreszcie Martina z dusznego, nędznego sklepiku na ulicę. Powędrował z rozpaczą w sercu, a rozpacz wypełzła z serca na twarz i wzbudziła litość spotkanej przypadkowo siostry. Zaledwie się przywitali, nadjechał wagon, idący na Telegraph Avenue i wiozący popołudniową zmianę sklepowych. Martin pomógł siostrze wsiąść do tramwaju, Gertruda spostrzegła jednak zawczasu, że sam jechać nie zamierza. Odwróciła się na schodkach i spojrzała ku bratu. Wychudzona twarz wzruszyła kobiecinę.

— Nie jedziesz? — zagadnęła.

Wysiadła i stanęła obok niego.

— Wolę iść, ruch jest zdrowy — wyjaśnił.

— W takim razie przejdę się też ze dwie ulice — oświadczyła Gertruda. — Może mi to dobrze zrobi. Kiepsko się czułam we wnętrzu te kilka dni.

Martin spojrzał uważnie na siostrę i przekonał o prawdzie jej słów; twarz miała mizerną, zmęczoną, postać niezdrowo otyłą, obwisłe ramiona i ciężki, niesprężysty chód, który był prawdziwą karykaturą ruchów szczęśliwego ongiś i swobodnego ciała.



— Zatrzymajmy się tutaj, i wsiądź do następnego tramwaju — poradził, gdyż podchodzili właśnie do przystanku na pierwszym rogu.

— Rety! Jakem się już zmachała! — biadała zadyszana Gertruda. — Ale akurat tak samo drepczę, jak i ty w tych pięknych butach. Takie już wyświechtane, że z nóg spadną, zanim dojdiesz do Północnego Oaklandu.

— Mam drugą parę w domu — brzmiała odpowiedź.

— Zaszedłbyś jutro na obiad — zapraszała szorstko. — Męża niema w domu. Pojechał do San-Leandro w interesie.

Martin potrząsnął głową, ale nie mógł zataić wilczego błysku spojrzenia na wzmiankę o obiedzie.

— Nie masz grosza, Mart, i dlatego drałujesz na piechtę. Dla zdrowia, peda! Widzicie go! — usiłowała parsknąć z pogardą, ale pogarda zgubiła się jakoś po drodze. — Ot, czekaj-no, stary...

Poszperawszy skwapliwie w torebce, wsunęła do ręki brata pięciodolarową monetę.

— Zdaje się, że zapomniałam o twoich ostatnich urodzinach, Mart, — mruknęła zmieszana.

Ręka chłopaka odruchowo zatrzymała monetę. W tej samej chwili zrozumiał, że nie powinien przyjmować. Zastygł, borykając się w szponach wahania. Ten kawałek złota oznaczał żywność, życie, ciepło w ciele, światło w mózgu, siłę do dalszego pisanie, i — kto wie? — może do napisania czegoś, co przyniesie wiele takich sztuk złota. Zobaczył na-

gle rękopisy dwu artykułów, które wykończył był właśnie. Leżały ciśnięte pod stołem, na grudzie rękopisów zwróconych, dla których zabrakło już marek. Zobaczył świeżo wybite na maszynie tytuły: „*Arcykapłani tajemnicy*“ i „*Kolebka Piękna*“. Nie posyłał ich jeszcze nigdzie. Były w swoim zakresie najlepsze z jego rzeczy. Gdybyż tylko mieć marki dla ich wysłania! — Nagle wybuchła mu w sercu gorąca pewność ostatecznego zwycięstwa. Głód ścisnął wnętrza — szybki ruch ręki wrzucił monetę do kieszeni.

— Zwrócę ci, Gertrudo, sto razy tyle — wykrztusił gardłem zdławionem boleśnie i z oczyma pełnemi łez. — Zapamiętaj moje słowa! — krzyknął z nagłą determinacją. — Zanim rok przejdzie, położę ci do ręki sto takich złotych chłopczyków. Nie proszę, byś mi wierzyła. Tylko czekaj i patrz.

Nie wierzyła, rzecz prosta. Zwątpienie jednak krępowało ją wobec brata, to też, nie znając się na dyplomacji, palnęła bez ogródek:

— Wiem, że głodujesz, Mart. Odrazu widać z oczu. Zawsze możesz zająć przekąsić. Podeszlę które z dzieci, jak męża nie będzie w domu. Ale, Mart...

Martin czekał, chociaż wiedział dobrze, co usłyszy, tak przejryste były mu myśli siostry.

— ...Czy nie uważasz, że pora już wziąć się do roboty?

— Więc nie wierzysz, że postawię na swoim? — zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nikt nie ma wiary we mnie, Gertrudo, nikt, prócz mnie samego, — głos chłopaka brzmiał namiętnym buntem. — Zrobiłem dobrą robotę, dużo roboty, i prędzej czy później zbiorę jej owoce.

— Skąd możesz wiedzieć, że jest dobra?

— Bo... bo... — przerwał, gdy nagle cała olbrzymia przestrzeń historii literatury ożyła i zaludniła się w jego mózgu. Pojął beznadziejność wszelkich prób udowodniania Gertrudzie podstaw swej wiary. — Bo — bo to, co napisałem, jest lepsze od 99-ciu procent utworów, drukowanych po czasopiśmie.

— Chciałabym, żebyś nabrał rozsądku — odparła słabo, lecz z niezachwianem poczuciem słuszności swej diagnozy. — Chciałabym, żebyś nabrał rozsądku — powtórzyła. — A przyjdźże jutro na obiad!

Martin, pomógłszy siostrze wsiąść do tramwaju, pośpieszył na pocztę i zakupił marek za całe trzy dolary z otrzymanych pięciu. Wieczorem, idąc do państwa Morse, wstąpił znowu na pocztę, żeby wysłać kilkanaście wielkich, ciężkich kopert, poczem z marek pozostały mu tylko trzy dwucentowe znaczki.

Wieczór ten stał się dla Martina pamiętnym, albowiem wtedy to właśnie poznał Russ Brissendena. Jakim sposobem dostał się Brissenden do państwa Morse, czyim był przyjacielem i kto go wprowadził — Martin nie wiedział. Nie chciał też pytać Ruth. Krótko mówiąc, Brissenden wydał się Mar-

tinowi cherlawym narwańcem i odrazu przestał go interesować. Po upływie godziny okazało się, że nadomiar złego Brissenden jest to gbur: wałęsał się po wszystkich pokojach, gapił na obrazy, wyciągał książki z biblijoteki, albo siedział na uboczu, utkwivszy nos w zabrane ze stołu czasopisma. Chociaż obcy w domu państwa Morse, odosobnił się wreszcie zupełnie od towarzystwa, zakopawszy w ogromnym miękkim: fotelu, zaczytany w małej książeczce, wyjętej z własnej kieszeni. Czytając, gładził włosy pieściotliwym i roztargnionym ruchem. Martin tego wieczora nie zwrócił już uwagi na nowego znajomego, raz tylko jeszcze zauważywszy, jak z wielkiem powodzeniem przekomarzał się z kilkoma młodemi pannami.

Przypadek zrządził, że Martin, opuszczając dom Morsów, zrównał się na ulicy z Brissendenem, który również wyszedł był przed chwilą.

— Hallo! To pan? — odezwał się Martin.

Tamten odmruknął coś niechętnie, ale począł iść obok. Martin nie próbował już rozpoczynać rozmowy, przeszli więc kilka ulic w niezmaconem milczeniu.

— Pompatyczny stary osioł!

Nagłość i lapidarność okrzyku uderzyła Martina. Chciało mu się śmiać, a zarazem coraz mocniej nie lubił przypadkowego towarzysza.

— Po kiego licha pan tam chodzi? — trysnęło ku Martinowi po przejściu jeszcze jednej ulicy.

— A pan? — odrzucił Martin.

— Słowo daję, sam nie wiem! — usłyszał. — Zresztą, jest to narazie moje pierwsze wykroczenie tego rodzaju. Doba ma dwadzieścia cztery godziny, trzeba je przecież jakoś spędzić. Chodź pan, napijemy się czego.

— Owszem — zaaprobował Martin.

Natychmiast jednak poczuł niezadowolenie ze swej gotowości. W domu czekało jeszcze kilkogodzinne pisanie, nie mówiąc już o tomie Weismanna i *Autobiografji* Spencera, która była dla Martina równie przejmująca i pełna romantyzmu, jak najciekawsza powieść.

— Poco właściwie tracić tyle czasu z człowiekiem, którego się nie lubi — przemknęło mu przez myśl. Po chwili zrozumiał jednak, że nie chodziło o tego człowieka, ani o samo picie — chodziło o akcesorja picia: blask żyrandoli, lśnienie lustér, migotliwy rynsztunek szkieł, rozgrzane, wesole twarze, donośny gwar męskich głosów. Ach tak — właśnie owe głosy, głosy mężczyzn zadowolonych z losu, wdychających powodzenie i wyrzucających pieniądze na wypitkę, beztrosko, po męsku. Martina gnębiła samotność — i tu właśnie leżała istotna przyczyna, dla której uchwycił się zaproszenia, niczem bonita białego gałganka na końcu wędki.

Od czasu pijatyki z Joe w Gorących Źródłach Martin raz jeden tylko zaszedł na kieliszeczek do baru, jeśli nie liczyć przełknięcia szklaneczki wina z Portugalczykiem - sklepikarzem. Wyczerpanie umysłowe nie wytwarzało pragnienia alkoholu, jak

ongiś wyczerpanie fizyczne, i Martin mógł nie pić wcale. Teraz jednak zapragnął gwałtownie kieliszka, a raczej atmosfery, w której kieliszki są nalewane. Zaszli do Grotto i, padłszy w głębokie skórzane fotele, popijali zwolna szkocką whisky z wodą sodową.

Potoczyła się rozmowa. Rozmowa o wielu rzeczach; whisky-soda zamawiali obaj kolejno lecz nieustannie. Martin miał wyjątkowo silną głowę, podziwiać jednak począł wytrzymałość towarzysza, przerywając ów podziw co chwila, żeby z kolei zachwycać się rozmową. Niewiele czasu potrzebował do zrozumienia, jak wykształcony jest Brissenden, i wywnioskowania, że oto jest nareszcie drugi inteligentny człowiek, jakiego spotkał. Zauważył też od razu, iż Brissenden posiada to, czego brakowało profesorowi Caldwellowi: ogień — płomienne jasnowidzenie, burzliwą nieposkromionność, nieświadome promieniowanie talentu. Słowa, jak żywe, sfruwały z jego ust. Wąskie wargi, niby stempel, wybijały zdania tnące ostrzem, kłujące żądłem; albo znów, zgarniając troskliwie przeddźwięki i po-brzmienia, te same cienkie wargi wysnuwały mistrzyny drobiazg z miękkiego aksamitu, gibkie spłoty wyrazów barwnych i jaśniejących, słów nieodparcie pięknych, lśniących odbiciem tajemnicy, dotykających tuż niewymowności życia. I jeszcze: wąskie wargi stawały się niby cudowny róg, przez który buchał grzmot i zgiełk wielkiej zwady wszechświata, zdania, co podzwaniały najczystsze srebrem, roztwierały na blask gwiazdnych przestrzeni,

skupiały najmędrze słowo wiedzy, a przecież dawały coś więcej jeszcze: — objawienie poety, doskonałą, nadprzyrodzoną prawdę, na którą niema wyrazów dość wyszukanych, a która przecież znajduje istotne odbicie w przedziwnem, choć ledwie uchwytnem, wtórnem znaczeniu słów najprostszych. Brissenden cudem intuicji sięgał poza najdalsze granice empiryzmu, na których zarysowanie brakło siły mowie ludzkiej, a przecież umiał niepojętem zakłęciem talentu tchnąć nowe znaczenie w stare dźwięki i świadomie zwierzyć Martinowi wieści, których nie zdołałyby wymienić dusze przeciętne.

Martin zapomniał o swem pierwszym wrażeniu niechęci. Oto wcieliły się najlepsze stroniczki ksiązek. Oto inteligencja, oto żywy człowiek, którego wolno oglądać. „Leżę w prochu u jego stóp“ — powtarzał Martin pocichu.

— Pan gruntownie studjował biologję — odezwał się głośno i z naciskiem.

Ku zdziwieniu Martina, Brissenden potrząsnął głową.

— Rozważa pan jednak prawdy, ustalone właśnie przez biologję — nastawał Martin. Odpowiedział mu spojrzenie bez wyrazu. — Tak jest, wnioski pańskie idą po jednej linii z wnioskami dzieł, które pan zapewne studjował.

— Bardzo rad jestem to słyszeć — brzmiała odpowiedź. — Być może, iż moje nader powierzchowne wiadomości pomogły mi do skrócenia sobie



drogi ku prawdzie. Co do mnie, nie interesuję się nigdy zagadnieniem, czy mam słuszość, czy jej nie mam. To przecież nie posiada wartości. Człowiek nigdy nie pozna prawdy absolutnej.

— Pan jest uczniem Spencera! — zawołał Martin z triumfem.

— Nie czytałem go od czasów najwcześniejszej młodości, wtedy zaś czytałem tylko „*Wykształcenie*“.

— Chciałbym móc gromadzić wiedzę w sposób tak beztroski — przerwał Martin w pół godziny później. Badał uważnie zasoby umysłowe Brissendena. — Pan jest zdecydowanym dogmatystą, i to jest właśnie zadziwiające. Konstatuje pan à priori fakty, które nauka ustalić zaledwie potrafi drogą długich badań i rozumowań. Jednym skokiem chwytają pan należyte wnioski. Skrót wprost fenomenalny. Jakimś dziwnym, nadracjonalnym sposobem przebywa pan drogę do prawdy z szybkością światła.

— Tak jest; sprawiało to niemały kłopot ojcu Józefowi i braciszce Dutton — odrzekł Brissenden. — O, proszę bardzo, nie jestem przecie kompletnem zerem. Szczęśliwem zrządzeniem losu posyłano mnie w młodości do katolickiego zakładu naukowego. A pan gdzie gromadził swoje zapasy wiedzy?

Martin, opowiadając, obserwował towarzysza, począwszy od wąskiej, wytwornej twarzy i bezwładnie zwisłych ramion, kończąc na przerzuconem przez poręcz sąsiedniego fotela okryciu, którego kieszenie zwisały niezdarnie od zbyt częstego wypy-

chania książkami. Twarz Brissendena była opalona zarówno jak długie, smukłe ręce. Opalenizna ta zdziwiła Martina. Przysiągłby, że Brissenden nie należy do ludzi, co szukają przygód pod otwartem niebem. Gdzież go słońce znalazło? Coś ciekawego i tajemniczego znaczy ta opalenizna — zdecydował Martin, nie przestając obserwować ściągłej twarzy o lekko wydatnych kościach i zapadniętych policzkach, ozdobionej subtelnym orlim nosem, najpiękniejszym, jaki Martin widział kiedykolwiek. Oczy były ani zbyt wielkie, ani zbyt małe, o nieokreślonej barwie brązowej; na dnie ich pełgał jednak ogień — a raczej zapalały się dwa wrogie sobie płomyki, poślniewała dziwaczna, przekorna sprzeczność. Wyzywające, dumne, a nawet ostre oczy Brissendena, wzbudzały jednocześnie litość. Martin czuł, że współczuje temu człowiekowi, sam nie wiedząc, dlaczego. Za chwilę jednak miał się dowiedzieć.

— O, ja jestem zdeklarowanym suchotnikiem — oświadczył poprostu Brissenden w dalszej rozmowie, wspomniawszy o niedawnym powrocie swym z Arizony. — Siedziałem na południu całe lata, dla powietrza — dodał.

— Jakto? A teraz nie boi się pan tutejszego klimatu?

— Bać się?

Odpowiedział odruchowo i bez żadnej buty. Martin wyczytał jednak z ascetycznej twarzy, iż wszelki strach jest jej obcy. Oczy zhardziały, aż stały

się orle, rozdrżane nozdrza niepokonane były, zuchwale i zdobywcze, niby dziób ptaka-drapieżcy. Wspaniale! — przeniknęło przez myśl Martina, zadyszanego w rozkosznym podziwieniu. Głośno zaś przytoczył:

*„Pod ciosami Losu*

*Głowa ma krwawi, ale się nie schyli“.*

— Lubi pan, jak widzę, Henley’a — odezwał się Brissenden, i twarz złagodniała mu nagle ku miękkiej, prześlicznej rzewności. — Rzecz prosta, spodziewałem się tego. Ach, Henley! Dzielnny chłop. Jakże przerósł wszystkich naszych dzisiejszych rympisów — poetów dla gazetek — on, gladiator pośród bandy eunuchów.

— Pan nie uznaje czasopism? — spróbował zlekka Martin.

— Co? Może pan uznaje? — ryknęło mu chrapliwie w odpowiedzi. Martin zmieszał się.

— Ja — ja piszę — to jest właściwie — próbuję pisać dla czasopism... — wyznał zająkliwie.

— No, to już lepiej — odrzekł tamten łagodniej. — Pan próbuje, ale nikt pana nie chce drukować. Szanuję i podziwiam taką przegraną. Wiem, co pan pisze. Domyślam się. Jest w tem wszystkiem pewna nieznaczną przyprawa, która jednak odstrasza wszystkich redaktorów. To żywa krew, czasopisma zaś nie mają nabywców na ten gatunek towaru. Potrzebują mydlin i brudów. O, niema strachu, i na to znajdą się dostawcy. Ale pana między nimi nie będzie.

— Cóż... jestem tylko zwykłym rzemieślnikiem — wtrącił Martin.

— Przeciwnie. — Brissenden przerwał i zuchwałym wzrokiem powiódł po naocznem ubóstwie Martina: niemodnym krawacie, kołnierzyku o brzeżkach stępionych, świecących łokciach palta, nieco przetartych mankietach i wreszcie bladych, zapadłych policzkach — przeciwnie — powtórzył — do rzemiosła panu daleko, tak daleko, że nigdy tam pan nie dobrnie. Cóż, chłopcze drogi, obrazi się pan, jeśli zaproponuję wspólne zjedzenie kolacji?

Martinowi mimowoli krew załala policzki; Brissenden roześmiał się triumfalnie.

— Pełny, doskonały człowiek nie obraziłby się na takie zaproszenie! — zawyrokował.

— Szatanie! — wykrztusił z wściekłością Martin.

— O co chodzi? Przecież pana nie zaprosilem.

— Nie ośmielił się pan.

— Ach taak? Więc zapraszam pana w tej chwili. — Brissenden uniósł się zlekka na fotelu, jakby zamierzając wstać i iść do restauracji.

Martin zacisnął pięści, krew grzmiała mu w skroniach.

— Uwaga! Panowie i panie! Żywcem zjada! Żywcem! — wołał Brissenden, imitując doskonale pożeracza węzów z miejscowego cyrku.

— Niewątpliwie, że takiego jak pan, mógłbym żywcem łyknąć — rzucił z kolei Martin, mierzając zuchwałym wzrokiem mizerną postać tamtego.

— O, nie jestem godzien...

— Przeciwnie — rozstrzygnął Martin — incydent nie jest godzien. — Wybuchnął nagle serdecznym, zdrowym śmiechem. Przyznaję, że wystrychnął mnie pan na dudka. Fakt, że jestem głodny, a pan to zauważył, jest zupełnie zwyczajnem zjawiskiem, a nie żadną hańbą. Widzi pan, próbowałem już drwić sobie z mizernej moralności stada, ale rzucił pan jedno słowo brutalne, choć prawdziwe — i znowu ocknąłem się w sidlach tejże drobno-mieszczkańskiej etyki.

— Tak jest, uważał się pan za obrażonego.

— Byłem nim jeszcze przed chwilą. Przesady wczesnej młodości, uważa pan. Nauczyłem ich się kiedyś no, i pozostały jeszcze pewne szczątki. Spoczywają w osobnym, moim własnym schowku.

— A teraz przynajmniej zamknął je pan na klucz?

— O, tak.

— Napewno?

— Napewno.

— No, to chodźmy co zjeść.

— Dobra! — odrzucił Martin, chcąc płacić za *soda-whisky* resztą drobnych, pozostałych z dwóch dolarów. Kelner jednak, już opłacony, położył drobne zpowrotem na stole.

Martin skrzywił się, wrzucając je do kieszeni, i w tej samej chwili poczuł na ramieniu ciężką, życziwą rękę Brissendena.

## R o z d z i a ł XXXII

Na drugi dzień, o wczesnem popołudniu, Marja wstrząśnięta została widokiem drugiego gościa Martina. Tym razem jednak nie straciła głowy, sadowiąc Brissendena w uroczystym saloniku.

— Mam, nadzieję, że nie pogniewa się pan za najście? — zaczął Brissenden.

— Ależ bynajmniej; — odrzekł Martin, witając się i prowadząc gościa do swojej izdebki. Podał mu jedyne krzesło, sam usiadł na łóżku. — Ciekawym jednak, jak mnie pan odszukał?

— Zatelefonowałem do Morsów — odpowiedziała panna Morse. — Więc oto jestem. — Sięgnął do kieszeni palta, wyciągając małą książeczkę. — Oto wiersze. Proszę przeczytać i zachować książkę. — Martin próbował się bronić, ale tamten przerwał:

— Cóżbym ja robił z książkami? Dziś rano znów miałem krwotok. Nie macie whisky?

— Rozumie się, nie. Poczekajcie chwilę.

Wstał i wyszedł. Martin odprowadził oczyma chudą, wysoką postać, co przeszła z ganeczka i zniknęła za furtką; z bolesnem wzruszeniem patrzył

na ramiona i plecy, co ongiś musiały być proste i szerokie, a pochyliły się teraz i zapadły nad ruiną piersi. Przygotował dwie szklanki i zaczął czytać nową książkę. Był to świeży tom poezyj Henryka Vaughan Marlow.

— Niema szkockiej — oświadczył, wchodząc, Brissenden. — Łajdak sprzedaje tylko amerykańską wódkę. Zato butelczyna spora.

— Poszlę którego z malców po cytryny i przyrządzimy sobie grog — zaproponował Martin. — Ciekawym, ile też wziął za taką książkę Marlow? — dodał, wskazując tomik.

— Z pięćdziesiąt dolarów — brzmiała odpowiedź, — chociaż może się uważać za dziecko szczęścia, że wogóle ruszył z miejsca i nabral wydawcę na takie ryzyko, jak tomik poezyj.

— Więc... czyż nie można utrzymać się z pisania poezyj?

Wyraz twarzy i ton głosu Martina pełne były rozczarowania.

— Rozumie się, że nie. Cóż za warjat w to wierzy? Z rymowania — i owszem. Jest przecie pan Bruce i Virginia Spring i Sedwick. Mają się wcale nieźle. Ale poeci... — — Czy pan wie, z czego żyje Vaughan Marlow? Uczy niesfornych chłopaków w jakiejś szkółce w Pensylwanji, ze wszystkich zaś kręgów piekła ten jest chyba najdokuczliwszy. Nie zamieniłbym się z nim na miejsca, choćby mu było pisane pięćdziesiąt lat życia. A przecież twórczość Marlowa świeci pośród tandety wierszydeł dzisiej-



szych, niby rubin między paciorkami. A zobaczyłbyś pan, jakie zdobył recenzje! Niech lichy porwie całą tę zgraję pigmejów.

— Ludzie, co pisać nie mogą, piszą zbyt wiele o tych, co pisać powinni — potwierdził Martin. — Zdumiony byłem wprost górą bredni, jaką napisano o Stevensonie i jego dziełach.

— Wampiry i harpje! — sarknął Brissenden, zgrzytając zębami. — Znam dobrze to plemię! Byliby go zakłuli dziobami za „*List do Ojca Damiana*“. Analizowali, ważyli.

— Mierzyli miarą własnej nicości — wtrącił Martin.

— Tak, tak — dobrze powiedziane — ośliniali i hańbili na rachunek autora Prawdę, Piękno i Dobro, aż wreszcie poklepali po ramieniu: „Dobry pies, dobry. Ech! Ryszard Realfe powiedział o nich, umierając: „gadatliwe drobnoludki“.

— Porywają się z dziobem na gwiazdy — podtrzymał Martin. — Napisałem kiedyś satyrę na krytyków, a raczej na recenzentów.

— Dawaj pan — poprosił szczerze Brissenden. Martin więc wyszukać musiał pod stołem kopję „*Gwiezdnego Pyłu*“, Brissenden zaś, czytając, parsknął z uciechy, zacierał ręce i zapomniał o swoim grogu.

— Wiecie co? Samiście jak ten pyłek gwiazdny, rzucony na świat ślepych karłów — odezwał się, przeczytawszy. — Rzecz prosta, odrazu pierwsze pismo odrzuciło ten szkic?

Martin przejrzał notesik.

— Odrzuciło go pism 27 — odrzekł.

Brissenden wybuchnął serdecznym, długim śmiechem, któremu nagle położył kres gwałtowny atak kaszlu.

— Słuchajcie, nie będziecie chyba próbowali wmawiać we mnie, że nie flirtujecie z muzą! — uśmiechnął się, schwytawszy oddech. — Pokażcie mi trochę swoich wierszy!

— Dobrze, ale proszę teraz nie czytać — prosił Martin. — Pogadajmy lepiej. Zrobię z nich paczkę, i weźmiecie ją do domu.

— Brissenden, wychodząc, zabrał „*Cykl miłosny*“ oraz „*Peri i Perły*“. Następnego dnia powrócił, przywitawszy Martina słowami:

— Jeszcze, jeszcze, chcę jeszcze.

Brissenden zapewnił Martina, że uważa go za prawdziwego poetę. Martin zaś dowiedział się, że nowy przyjaciel jest nim również. Poezje Brissendena wprowadziły chłopaka w niewypowiedziany zachwyt, połączony z oburzeniem, że nie robiono nigdy najmniejszych prób ich opublikowania.

— Niech to wszystko lichy porwie! — odpowiedział Brissenden, kiedy Martin ofiarowywał się rzucić mu książeczkę na rynek. — Kochajcie Piękno dla niego samego i ciśnijcie do cholery wszystkie druki. Wróćcie do waszych okrętów i waszego morza — Martin Eden — oto moja rada. Czego tu chcecie w dusznych i zgniłych miastach ludzkich? Zabijacie siebie z każdym dniem, który tu marnu-

jecie, próbując prostytuować Piękno na użytek rozmaitych „magazines“. Coście-to cytowali wczoraj... Ach, tak: „Człowiek, ostatnia efemeryda“... Pocóż więc wy, ostatnia efemeryda, uganiacie się za sławą? Jeśli ją zdobędziecie — otruje was. Zbyt prosty jesteś, Martin Eden, zbyt żywiołowy, zbyt wreszcie racjonalny, do licha, żeby prosperować na tej pożywce. Mam nadzieję, że nie sprzedacie ani jednej linijki do gazet. Piękno jest jedynym panem, któremu służyć warto. Służcie mu wiernie i przeklinajcie gawieź! Powodzenie! Gdzież ono jest wreszcie, jeśli nie w samym fakcie stworzenia tego oto sonetu o Stevensonie, sonetu, który przewyższa „Zjawę“ Henley’a, w tym cyklu miłosnym, w tamtych wierszach z morza!? Nie w powodzeniu rzeczy stworzonych leży rozkosz, lecz w samym procesie tworzenia. Cóż mi pan odpowie? he? Wiem, że mam rację. I pan wie o tem. Boli cię Piękno, pali naustannie w głębi piersi, jest jak niegójąca się rana, jak nóż z płomieni. Poco się babrzesz z wydawcami?! Niechże Piękno będzie początkiem i końcem. Pocóż wymieniasz je na złoto? Zresztą, chwalić Boga, nie udaje się nawet; wobec tego nie masz się czem przejmować. Możesz pan przeczytać pisma z tysiąca lat, jeśli masz ochotę. Wszystkie nie będą warte jednej linijki Keats’a. Zostaw sławę, gwizdnij na złoto, zapisz się jutro na okręt, powracaj w morze!

— Nie dla sławy, lecz dla miłości — uśmiechnął się cicho Martin. — Miłość, jak widzę, nie ma miej-

sca w pańskim kosmosie. W moim — Piękno jest tylko służebnicą Miłości.

Brissenden spojrział z politowaniem i podziwem jednocześnie.

— Młodyś jeszcze, chłopaku, tak bardzo młody! Wysokiego pragniesz lotu, ale pamiętaj, że skrzydła masz z najcieńszych błonek, osypane połyskami barw najpiękniejszych. Nie opal ich! Zresztą, zapominam, że już je opalił. Wstyd! „*Cykl miłosny*“ napisany jest ku czci jakiejś uwielbianej i opiewanej spódniczki!

— Ku czci miłości, nietylko spódniczki — zaśmiał się Martin.

— Ech, filozofja szaleństwa — brzmiała odpowiedź. — Ja też wmawiałem to sobie ongiś, wędrując w snach haszyszowych! Strzeż się jednak! Te burżuazyjne miasta zabijają cię! Weźmy chociażby tę norę handlarzy, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zgnilizna, robaczywe próchno — to jeszcze zbyt łagodnie. Niepodobna zachować zdrowia w podobnej atmosferze. Oni są poniżający, demoralizujący! Wszyscy w czambuł, mężczyźni i kobiety, te ożywione żołądki, kierowane przesadami...

Przerwał raptownie i przyjrzał się Martinowi. Olśniło go nagle zrozumienie sytuacji. Na twarz wystąpił wyraz zdumionej zgrozy.

— I pan... pan napisałś swój wspaniały „*Cykl miłosny*“ dla niej — dla tej mizernej, napuszonej samiczki!

W tejże chwili prawa ręka Martina zamknęła się

niby potężne kleszcze na gardle Brissendena i wstrząsnęła wątłem ciałem, aż zaklekotały zęby. Lecz z oczu ofiary nie patrzyła trwoga — tylko zaciekawiony i drwiący szatanek. Martin opamiętał się i rozciągnął Brissendena na łóżku, rozluźniając chwyt.

Brissenden chwycił oddech i pochrząkiwał przez chwilę, wreszcie zaczął się śmiać.

— Czułbym się wieczystym dłużnikiem pańskim, gdybyś był dokończył i zdmuchnął iskierkę — powiedział.

— Nerwy moje są nie w porządku ostatniemi czasy — przeproszał Martin. — Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu bólu. Zaraz przygotuję świeży grog.

— Ach ty, młody Helleńczyku! — ciągnął Brissenden. — Nie wiem, czy jest pan dostatecznie dumny z tego wspaniałego ciała? Pan jest piekielnie silny. Jak młoda pantera, jak lew. Ale poczekaj-no, bratku, zapłacisz ty dobrze za tę siłę.

— Jaki? Dlaczego? — dopytywał się ciekawie Martin, podając szklankę grogu. — Pij pan, daruj i nie gniewaj się.

— Dlaczego? — Brissenden duszkiem wlał w siebie grog i podziękował uśmiechem uznania. — Ano, przez kobiety. Będą ci dokuczać aż do śmierci, dokuczały zresztą zawsze; wiem przecie, co w trawie piszczy. Na nic się nie zda wytrząsanie ze mnie duszy. Powiem swoje, bo chcę. Nie wątpię, że ta miłość, to poprostu cielęcy zachwyt, ale w imię Piękna,

zróbże pan lepszy wybór na drugi raz. Czegóż, na miły Bóg, chcesz pan od tej mieszczaneczki? Uciekaj od filistrów! Znajdź sobie wspaniałą, bujną kobietę-płomień, która śmieje się życiu w twarz, drwi ze śmierci i kocha miłość. Takie kobiety istnieją i kochać cię będą równie chętnie, jak pierwsze lepsze małoduszne stworzonka, wytwór filisterskich ciepłarni.

— Małoduszne? — zaprotestował Martin.

— Tak, a nieinaczej — małoduszne — co tylko potrafią recytować urojone kanony życiowe, które zkolei im samym wyrecytowano ongiś. Takie boją się żyć naprawdę. Będą pana kochały, Martin, nie przeczę, ale bardziej kochać będą swoje kanony. Panu potrzeba wspaniałej beztroski, wielkiej, wolnej duszy, olśniewającego motyla, a nie ubogiej, szarej ćmy. O, wiem, zamęczą cię zczasem kobiety-samice, jeśli, rzecz prosta, będziesz pan miał nie-szczęście żyć długo. Ale niema obawy. Długo żyć nie będziesz. Nie chcesz powrócić do swego morza i swoich okrętów, będziesz więc tkwił w tych miastach, norach zarazy, aż zgnijesz do szpiku kości. Wtedy — umrzesz.

— Wdzięczny jestem za nawracanie, ale wiary nie zmienię — odrzekł Martin. — Ostatecznie sąd pański jest wytworem pańskiego temperamentu, mój zaś — mojego. Oba są równie dobre.

Nie zgadzali się w poglądach na miłość, na cząsopisma i wiele innych rzeczy, lubili się jednak bardzo; ze strony Martina wytworzyło się nawet głębo-

kie przywiązanie. Widywali się codziennie, i Brissenden przynajmniej godzinę spędzał w pokoiku Martina. Nie przychodził nigdy bez swojej butelczyny, kiedy zaś jedli razem obiad na mieście, Martin widział, iż Brissenden systematycznie pijał *whisky-soda* między potrawami. Płacił zawsze Brissenden, i dzięki niemu to Martin poznał wyrafinowany wykwent kuchni, pił pierwszego szampana i skosztował reńskiego wina.

Brissenden pozostał jednak zagadką. Człowiek ten, z twarzą ascety, pożądał rozkoszy i radości całą mocą swej krwi stygnącej. Przed śmiercią strachu nie czuł, gorzko i cynicznie drwił z życia, a przecież umierając, kochał życie, każdy atom życia. Dręczyło go szaleństwo pragnienia, wrażeń, doznań, przeżyć. Chciał zapełnić „nieskończenie małą przestrzeń w pyłe kosmicznym, z którego powstał“, jak sam kiedyś wyraził. Otepiony przez narkotyki, miał się licznych dziwacznych sposobów dla zaznania nowych dreszczów. Opowiadał Martinowi, że kiedyś trzy dni nie pił dobrowolnie wody, poto tylko, żeby doświadczyć wyszukanej rozkoszy zaspokojenia tak silnego pragnienia. Kim i czym był Brissenden, Martin nie dowiedział się nigdy. Jedno widział tylko: był człowiekiem bez przeszłości, przed sobą miał niedaleki i nieunikniony grób, w dniu dzisiejszym zaś gorzką namiętność życia.



## R o z d z i a ł   XXXIII

Martin powoli lecz nieustannie przegrywał bitwę. Przy największej nawet oszczędności honorarja za „wyroby hurtowe“ nie pokrywały wydatków. Przed Świętem Dziękczynienia zmuszony był znowu zastawić czarny garnitur i nie mógł przyjąć na dzień tak uroczysty zaproszenia państwa Morse. Ruth bynajmniej nie była temu rada, co zaś do Martina, to wpadł nieomal w rozpacz. Obiecał panience, że przyjdzie pomimo wszystko; pojedzie do San-Francisco, odnajdzie redakcję „*Transcontinentalu*“, odbierze należne pięć dolarów i wykupi swój garnitur.

Wczesnym rankiem pożyczył dziesięć centów od Marji. Wolałby pożyczyć je od Brissendena, ale dziwak przepadł nagle bez wieści. Martin nie widział go już od dwóch tygodni i napróżno zastanawiał się nad przyczyną obrazu. Pożyczone dziesięć centów umożliwiło Martinowi przeprawienie się przez zatokę do San-Francisco. Idąc Rynkową, chłopak rozważał, co pocznie, jeśli nie zdoła wydobyc należnych pieniędzy. Droga do Oakland zostanie wtedy zamknięta, w San-Francisco zaś nie ma nikogo znajomego, od kogo pożyczyłby można drugie dziesięć centów.

Drzwi redakcji „*Transcontinentalu*“ były uchylone, i Martin, otwierając je, wstrzymany został nagle odgłosem dochodzącej z wewnątrz podnieconejszej rozmowy.

— Nie o to chodzi, panie Ford. (Martin wiedział, że było to nazwisko redaktora). Kwestja polega wyłącznie na tem, czy pan przygotowany jest do płacenia? Gotówką, uważa pan. Nie jestem osobiście zainteresowany prosperowaniem „*Transcontinentalu*“, zamiary zaś pańskie dotyczą roku przyszłego. Co do mnie, życzę sobie być zapłacony za to, co robię, i powiadam panu wyraźnie, że gwiazdkowy numer nie pójdzie pod prasę, dopóki nie dostanę monety do ręki. Żegnam. Proszę mnie odwiedzić, jak tylko będzie pan miał pieniądze.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, jegomość przebiegł obok Martina i ruszył w głąb korytarza, piejąc się ze złości, klnąc i zaciskając pięści. Martin zdecydował nie wchodzić odrazu i z kwadrans chodził po korytarzu. Wreszcie otworzył drzwi. Doświadczenie było nowe. Po raz pierwszy w życiu wchodził do redakcji. Bilety wizytowe były tu widocznie niepotrzebne, albowiem goniec pośpieszył niezwłocznie donieść do sąsiedniego pokoju, że przyszedł jakiś człowiek i chce się widzieć z panem redaktorem. Wróciwszy, chłopak kiwnął Martinowi zdaleka i wprowadził go do Sanktuarjum czyli prywatnego gabinetu redaktora. Pierwszem wrażeniem Martina było stwierdzenie niezwykle nieporządku i niechlujstwa, panującego w pokoju. Następnie

zauważył młodego człowieka z faworytami, siedzącego przy wysokiem zamykanem biurku i przypatrującego się ciekawie przybyszowi. Martina zdziwiła spokojna i beztroska twarz redaktora. Widocznie awantury z drukarzem nie wziął zbytnio do serca.

— Jestem... jestem Martin Eden — rozpoczął interesant. — („Chcę otrzymać swoje pięć dolarów“ — miał ochotę dodać).

Była to jednak pierwsza wizyta u redaktora i w dodatku w mało sprzyjających okolicznościach, Martin więc nie życzył sobie działać zbyt gwałtownie. Tymczasem, ku jego największemu zdziwieniu, redaktor zerwał się z fotela i z okrzykiem: „Ach, czyż być może!“ skoczył ku Martinowi. Za chwilę z całą serdecznością ścisnął jego dłoń obiema rękami.

— Nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo się cieszę, że pana widzę. Często zastanawiałem się, jak też pan wygląda.

Odsunął Martina na odległość ramienia i tkliwem okiem przemknął wzdłuż „nieomal najlepszego“ ubrania Martina, które było zarazem jego najgorszem, i nieco już złachmanionem, chociaż spodnie zachowały niepokalaną linję, nadaną przez Martina żelazkiem Marji.

— Wyznaję, nie przypuszczałem, że pan jest tak młody. Pańska nowela, uważa pan, wykazuje takie natchnienie, siłę, dojrzałość i głębię myśli. Arcydzieło, słowo daję! Wiedziałem o tem już po przeczy-

taniu szczęściu wierszy. Pozwoli pan, że opowiem, jak czytałem ją po raz pierwszy. Albo nie; przedewszystkiem muszę zapoznać pana z moim sztabem.

Nie przestając mówić, pan Ford zaprowadził Martina do kancelarji ogólnej, gdzie zapoznał go z sekretarzem redakcji, panem White, szczupłym, wątłym człowiekiem, którego dłoń była dziwnie chłodna w dotknięciu, jak u chorego na malarję, faworyty zaś lśniące i jedwabiste.

— Pozwoli pan, panie Eden — pan Ends, nasz administrator.

I oto Martin potrzasał znowu jakąś dłonią, tym razem należącą do łysego człowieka o żywych oczach i stosunkowo młodej twarzy, a raczej owej części twarzy, którą dojrzeć było można zpośród śnieżno-białej brody, rozczesywanej troskliwie rączkami samej pani administratorowej — regularnie co niedzielę.

Trzej gentlemani otoczyli Martina i mówić zaczęli równocześnie, i z coraz większem uwielbieniem, aż Martin począł się zastanawiać, czy przypadkiem nie uczynili zakładu, który dłużej wytrzyma.

— Często dziwiliśmy się, dlaczego pan nas nie odwiedza — rzekł pan White.

— Nie miałem na przewóz, a mieszkam po drugiej stronie zatoki — odpowiedział Martin bez ogródek, chcąc w ten sposób wyrazić dosadnie, jak bardzo potrzebuje pieniędzy.

— Zresztą — myślał — malownicze łąchmany

świadczą chyba dostatecznie o mojej nędzy. — Kilkakrotnie próbował wspomnieć o właściwym celu swej wizyty, lecz uszy trzech wielbicieli pozostały głuche. Nie przestawali prawić komplementów, opowiadać co myśleli o utworze na pierwszy rzut oka, co myślą obecnie, co uważają żony ich i cała rodzina, o honorarjum jednak nie czynili najlżejszej nawet wzmianki.

— Czy mówiłem już panu, w jaki sposób po raz pierwszy zapoznałem się z tą śliczną nowelą — zwierzał się pan Ford. — Zapewne jeszcze nie. Otóż wracałem na Zachód z New-Yorku, i kiedy pociąg zatrzymał się w Ogden, służący wagonu sypialnego przyniósł mi bieżący zeszyt „*Transcontinentalu*“.

— Boże — pomyślał Martin, — on może podróżować wagonem sypialnym, a jest mi winien głupie pięć dolarów, mnie, który umieram z głodu! — Zalała go fala gniewu.

Krzywda, wyrządzona przez „*Transcontinental*“, pomnożyła się nagle stokrotnie, w pamięci wstały żywo straszliwe miesiące próżnych oczekiwań, głodu i nędzy, głód obecny zbudził się i zawył we wnętrznościach, i Martin teraz dopiero uprzytomnił sobie, że nie jadł nic od wczoraj, a wczoraj też bardzo niewiele. Przez chwilę czerwone płyty migotały mu przed oczami. Ci ludzie nie byli nawet odważnymi bandytami — byli poprostu kieszonkowymi złodziejaskami. Kłamstwem i obludą wyrwali mu jego pracę. Dobrze więc, dostaną teraz za

swoje. Postanowił całą siłą woli, że nie wyjdzie z tego lokalu, dopóki nie odbierze należności. Przypomniawszy sobie raz jeszcze, że droga do Oakland zamknięta. Opanował się szybko, niedość szybko jednak, żeby ukryć wilczy połysk oczu, zauważony natychmiast przez wesołą trójkę.

Zmieszali się i podwoili uprzejmość. Pan redaktor zaczął znowu opowiadać, jak to czytał po raz pierwszy „*Dźwięk dzwonów*“, pan sekretarz zaś skwapliwie komunikował Martinowi zachwyty swojej siostrzenicy, która to siostrzenica piastuje godność nauczycielki w Alamedzie.

— Teraz zaś pozwolą panowie, że wyjaśnię cel swych odwiedzin — zdołał wreszcie wypowiedzieć Martin. — Przyszedłem odebrać honorarjum za tę nowelę, która tak bardzo podobała się panom. O ile się nie mylę — pięć dolarów jest sumą, którą otrzymać miałem po wydrukowaniu.

Na ruchliwej twarzy pana Forda odbiła się natychmiastowa i uradowana gotowość do usług. Sięgnął po portfel, nagle jednak zwrócił się do administratora, oświadczając z żalem, że niestety pozostawił pieniądze w domu. Imć pan Ends nie był rad z obrotu rzeczy, i Martin zauważył obronny ruch, jakim osłonił odruchowo kieszenie swych spodni. Nie ulegało wątpliwości, że tam właśnie znajdują się pieniądze.

— Bardzo mi przykro — wyrzekł słodko pan Ends — musiałem zapłacić drukarza przed godziną, zabrał mi całą bieżącą gotówkę. Było to może tro-

chę nierozsądnie z mej strony, nie byłem mu przecież nic winien, lecz tak niespodzianie poprosił mnie o zaliczkę jak o łaskę...

Obaj gentlemani zwrócili wyczekujące spojrzenia na pana White, który roześmiał się tylko i wzruszył ramionami. Ten istotnie sumienie miał czyste. Wstąpił do „*Transcontinentalu*“, żeby się zapoznać z techniką wydawniczą, wzamian jednak zaco zapoznawał się przeważnie z kłopotami pieniężnymi. Redaktor winien mu był pensję za cztery miesiące, pan White jednak rozumiał, że drukarz musi być zaspokojony przedewszystkiem.

— Bardzo się nieprzyjemnie złożyło, panie Eden, że zastał nas pan w tak niesprzyjających warunkach — usprawiedliwiał się pan Ford. — To wszystko przez roztargnienie, upewniam pana. Ale powiem panu, jakie znajdziemy wyjście: jutro raniutko wyszlemy panu czek. Pan posiada adres pana Edena, nieprawdaż, panie Ends?

Tak jest, pan Ends adres posiada i bezwarunkowo jutro raniutko wyszle czek. Martin miał słabe pojęcie o manipulacjach bankowych, niemniej jednak nie mógł znaleźć słusznej przyczyny, dla której wypisanie czeku należy odłożyć do jutra.

— A więc postanowione, panie Eden, jutro rano wysyłamy panu czek — streszczał pan Ford.

— Pieniędzy potrzebuję dziś jeszcze — odrzekł tępo Martin.

— Niestety, tak fatalny zbieg okoliczności..., gdyby pan był zaszedł kiedy indziej — zaczął pan



Ford grzecznutko i pozwolił natychmiast przerwać panu Ends, którego żywe oczka świadczyły o pośpędliwości charakteru.

— Pan Ford wyjaśnił już panu sytuację — rzucił Ends z lekkim wyzwaniem w głosie. — Ja wyjaśniłem również. Czek wysłany zostanie jutro.

— Co do mnie, wyjaśniłem również — przerwał Martin. — Dziś jeszcze życzę sobie odebrać pieniądze.

Czuł, że burzy się w nim krew na szorstkość administratora; a jednocześnie wiedział, że tego właśnie ptaszka najtroskliwiej pilnować trzeba, w jego bowiem kieszeni spoczywa niewątpliwie gotówka „*Transcontinentalu*“.

— Bardzo to przykre — zaczął pan Ford.

Lecz w tej samej chwili pan Ends odwrócił się niecierpliwie, jakby chcąc wyjść z pokoju. Martin jak błyskawica poskoczył ku niemu i jedną ręką chwycił za gardło w taki sposób, że śnieżno-biała broda administratora, zachowując ciągle swą niepokalaną a ozdobną falistość, patrzyła ku sufitowi pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Panowie Ford i White ku swej nieopisanej zgrozie ujrzeni, jak ich administratora trzepią niby dywan astrachański.

— Wytrząsaj pan, co masz, łaskawy tępiciele młodych talentów — poradził spokojnie Martin. — Wytrząsaj sam, żebym nie potrzebował wytrząsać ci z kieszeni miedziaka po miedziaku. A wy tam, nie zbliżać się, żebyście sobie przypadkiem nie zaszkodzili — zwrócił się do przestraszonych widzów.

Pan Ends zakrztusił się nieco i dopiero po uspokojeniu gwałtownej chrypki zdolen był przystąpić do realizacji programu wytrząsania. Ostatecznie, po kilkakrotnych wysiłkach, czeluści jego kieszeni wydały na świat cztery dolary i piętnaście centów.

— Wywrócić kieszeń — zakomenderował Martin. Wypadła jeszcze dziesięciocentówka. Martin dla dokładności raz jeszcze przerachował rezultat obławy.

— Na pana kolej! — rozkazał imć panu Fordowi. — Żądam jeszcze siedemdziesięciu pięciu centów.

Pan Ford nie czekał, lecz z własnej inicjatywy wywrócił kieszenie, z mizernym jednak skutkiem sześćdziesięciu centów.

— Napewno wszystko? — zapytał groźnie Martin, biorąc monetę w posiadanie. — A kamizelka?

Na dowód swych najlepszych chęci, pan Ford wywrócił odrazu obie kieszonki. Z jednej wypadł kawałek tektury. Redaktor podniósł go i chciał schować zpowrotem, lecz Martin zawołał.

— Co to? Bilet na prom? Doskonale. Wart jest dziesięć centów. Będę to uważał za pański bilet kredytowy. Odebrałem więc obecnie w poczet honorarium cztery dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów. Pięć centów wciąż jeszcze winna mi jest szanowna redakcja.

Spojrzał uważnie na pana White, kruchy człowieczek jednak wręczał mu już owe pięć centów.

— Uprzejmie dziękuję — rzekł Martin, zwracając się do całej trójki. — Życzę panom wszystkiego najlepszego.

— Bandyta! — zachrypiał ku niemu pan Ends.

— Kieszonkowe złodziejaski! — odrzucił Martin, zamykając za sobą drzwi.

Był w świetnym humorze, w tak świetnym, że przypomniawszy sobie, iż „*Szerszeń*“ nie zapłacił jeszcze piętnastu dolarów za „*Peri i Perły*“, Martin zdecydował pójść natychmiast do redakcji i odebrać swoją należność. Lecz sztab „*Szerszenia*“ składał się z bandy młodzików, pięknie ogolonych i zbudowanych naschwał, profesjonalnych urwisów, rabujących wszystko u wszystkich i wzajemnie u samych siebie. To też po pewnem naruszeniu całości umeblowania udało się redaktorowi (ex-atlecie), wspomaganemu dzielnie przez administratora (byłego impressario), wyprzeć Martina z lokalu i nadać pewną szybkość początkową jego zejściu z pierwszej kondygnacji schodów.

— Proszę nas odwiedzać, panie Eden; zawsze będziemy radzi! — śmiano się ku niemu z wyższego piętra.

Martin wesoło wyszczerzył zęby, doprowadzając się do porządku.

— Fiu, fiu! — zamruczał. — Tamta banda w „*Transcontinentalu*“ to same ciastka, ale wy macie przynajmniej kilku przyzwoitych bokserów.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

— Trzeba przyznać, panie Eden — zawołał re-

daktor, — że jak na poetę, to pan jest też wcale niczego. Czy można wiedzieć, gdzie się pan nauczył tego pięknego *cross'a*?

— Tam, gdzie pan swego *pół-Nelsona* — odrzekł Martin. — A jednakże oko będziesz pan miał sine przez dobre kilka dni.

— Mam nadzieję, że szyja nie będzie panu zbyt dolegała — wyraził swe szczere życzenie redaktor. — A cobyś pan powiedział, gdybyśmy tak wszyscy razem zaszli gdzie na kieliszek?

— Przegrałem, niema rady, pójdę — przyjął Martin.

Tak więc złodzieje pili z okradzionym i zgodzili się szybko a polubownie, iż zwycięstwo osiągnęli silniejsi, to też piętnaście dolarów za „*Peri i Perły*“ należy się prawnie redakcji „*Szerszenia*“.



## R o z d z i a ł   X X X I V

Artur został przy furtce, Ruth zaś weszła na schodki ganku. Słyszała zdaleka szybkie trajkotanie maszyny do pisania i, wszedłszy, zastała Martina nad ostatnią stronicą świeżego rękopisu. Panienka chciała się upewnić, czy Martin przyjdzie na uroczysty obiad w Święto Dziękczynienia, zanim jednak zdążyła poruszyć tę kwestję, chłopak mówić zaczął o tem, co obchodziło go w tej chwili najżywiej.

— Proszę, niech pani pozwoli przeczytać sobie kilka słów — zawołał, oddzielając arkusiki kalki i porządkując rękopis: — Napisałem właśnie teraz i potraktowałem inaczej, niż dotychczas. Nawet tak oryginalnie, że aż się boję; a przecież zdaje mi się uparcie, że wypadło nieźle. Niech pani osądzi sama to opowiadanie z życia hawajskiego. Nazwałem je „*Wiki-Wiki*“.

Twarz chłopaka płonęła radością twórczą, chociaż panna Ruth drżała w zimnej izdebce i pamiętała dobrze chłód jego dłoni przy powitaniu. Słuchała uważnie, Martin zaś, chociaż zauważył niechęć na twarzy panienki — zaryzykował wreszcie pytanie.

— No, szczerze, co pani o tem myśli?

— Ja... ja nie wiem sama — odrzekła. — Czy... czy przypuszcza pan, że uda się to sprzedać?

— Obawiam się, że nie — wyznał. — Za silne dla publiczności, czytającej „magazines“. Ale zato prawdziwe — na honor — prawdziwe!

— Dlaczegoż nie zaprzestanie pan pisać podobnych rzeczy, skoro niema na nie popytu — ciągnęła nieubłagane. — Przecież pisze pan w celu zdobycia utrzymania, tak, czy nie?

— Owszem. owszem; ale ta nowela wybuchnęła ze mnie sama. Nie mogłem jej nie napisać. Kazała się napisać.

— Ależ dlaczego ten bohater, ten „Wiki-Wiki“, mówi tak prostackim językiem? Niewątpliwie będzie to raziło czytelników, i przypuszczam, że właśnie dlatego wydawcy nie przyjmują pańskich utworów.

— Ależ prawdziwy „Wiki-Wiki“ mówiłby właśnie w ten sposób.

— Nie jest to jednak w dobrym smaku.

— To jest życie! — odparł z prostotą Martin. — Realne! Prawdziwe. Muszę opisywać życie tak, jak je widzę.

Panienska nie odpowiedziała. Zapadła długa chwila niezręcznego milczenia. On nie rozumiał, bo kochał, ona zaś nie rozumiała dlatego, że Martin wybiegał daleko poza horyzont jej wzroku.

— Udało mi się odebrać honorarium od „Trans-continentalu“ — odezwał się wreszcie Martin, pró-

bując skierować rozmowę na mniej drażliwe tory. Na wspomnienie wspaniałej trójki redakcyjnej, tak jak ją pożegnał, zaopatrzony w cztery dolary, dziewięćdziesiąt centów i bilet przewozowy — roześmiał się.

— Więc przyjdzie pan! — zawołała radośnie dziewczyna.— Chciałam właśnie przypomnieć panu.

— Przyjdę? — wyjąkał z roztargnieniem. — Dokąd?

— No, na jutrzejszy obiad! Mówił pan, że otrzymawszy honorarium, wykupi pan ubranie...

— Zupełnie zapomniałem — wyznał pokornie.— Widzi pani, dozorca od zajmowania krów, które pasą się bez odpowiedniego pozwolenia, zaaresztował dziś zrana Marji dwie krowy i cielaka i... no, jednym słowem tak się złożyło, że Marja nie miała pieniędzy, więc musiałem jej krowy wykupić. Poszło całe pięć dolarów, czyli „*Dźwięk Dzwonów*“ przeniósł się do kieszeni dozorczy.

— A więc — nie przyjdzie pan?

Chłopak spojrzał na swoje ubranie.

— Nie mogę.

Łzy zawodu i krzywdy zabłysły w błękitnych oczach Ruth; nie odezwała się jednak ani słowem.

— Za rok będziemy ucztowali razem w Delmonico, — rzekł Martin wesoło — albo w Londynie, w Paryżu, gdziekolwiek pani zechce. Wiem o tem!

— Czytałam w gazetach przed kilkoma dniami— oświadczyła nieoczekiwanie,— żeznaczono kilku



nowych urzędników na pocztę. Pan zdał pierwszy, o ile się nie mylę?

Martin zmuszony był wyznać, że istotnie przysłano mu wezwanie, ale je odrzucił.

— Byłem tak pewny... jestem tak pewny, że dopnę celu — zakończył. — Za rok od dnia dzisiejszego zarabiać będę więcej, niż tuzin urzędników pocztowych. Zobaczysz pani. Proszę poczekać jeszcze...

— O! — wyrzekła tylko, gdy skończył. Wstała i wkładać zaczęła rękawiczki. — Muszę już iść. Artur czeka.

Martin objął ją i pocałował. Biernie przyjęła pieszczotę. Nie było tkliwości w ruchu jej ciała, ramiona nie wyciągnęły się do uścisku, wargi poddały się pocałunkowi miękko, nie szukając go i nie pragnąc.

— Gniewa się — zdecydował, wracając od furty. — Ale zaco? Nieszczęście chciało, że dozorca zajął właśnie krowy Marji. To tylko zbieg okoliczności. Nikt nie zawinił. Przecież nie mogło mi nawet przyjść do głowy, żeby postąpić inaczej. No tak, zawiniłem trochę z tym nieszczęsnym urzędem pocztowym. Hm, nadomiar złego nie podobało się jej „Wiki-Wiki“...

Raz jeszcze zszedł ze schodów, tym razem na spotkanie listonosza. Wiecznie żywa gorączka oczekiwania zdławiła Martina, kiedy wziął do ręki kilka wielkich, długich kopert. Wśród nich była jedna mała i cienka. W rogu widniał adres „Przeglądu Nowojorskiego“. Martin pomyślał chwilę, zanim

otworzył. Nie może zawierać zawiadomienia o przyjęciu. Nie posyłał tam żadnego rękopisu. A może — serce stanęło na myśl tak dziką — może zamawiają jakiś artykuł? W następnej chwili jednak odrzucił już tę myśl, jako zbyt nieprawdopodobną.

Koperta zawierała krótki, oficjalny list samego redaktora, taktownie podający do wiadomości odbiorcy, że „Przegląd“, otrzymawszy załączony anonim, czuje się w obowiązku przesłać go, oraz że redakcja „Przeglądu“ nigdy i pod żadnym pozorem nie przywiązuje wagi do listów anonimowych.

Załączony list nabazgrany był niewprawną ręką i zawierał szereg bezsensownych plotek o „tak zwanym Martinie Edenie“, który próbuje sprzedawać utwory swe czasopismom, nie jest zaś wogóle pisarzem, gdyż w rzeczywistości kradnie utwory ze starych tygodników, przepisuje na maszynie i posyła jako własne. Stempel pochodził ze San-Leandro. Martin bez trudności odkrył autora. Ortografia imię Higginbothama, jego sposób wyrażania się, jego rozumowanie. List był przejrzysty. Martin odczuwał w każdym słowie prostacką łapę sklepikarza — kochanego szwagierka.

— Dlaczego? Poco? — zapytywał sam siebie daremnie. Czem obraził Bernarda Higginbothama? Pomyśl był tak bezsensowny, tak bez przyczyny! Nie znalazł wyjaśnienia. Zato w przeciągu tygodnia odebrał około tuzina listów podobnych od rozmaitych czasopism ze Wschodu. Redaktorzy postępują

bardzo szlachetnie — zdecydował Martin. Ani jednemu z nich nie jest znany, a przecież niektórzy piszą nawet z sympatją, widać że brzydzą się anonimami. Zrozumiał, że złośliwa chęć zranienia go — chybiła. W gruncie rzeczy — kto wie — może to nawet lepiej, — ostatecznie kilkunastu redaktorów zapamięta jego nazwisko? I kiedyś, czytając przysłany rękopis, przypomni sobie, że przed tym jego-  
mościem ostrzegano już listem anonimowym. A nuż takie przypomnienie zwróci właśnie uwagę na utwór, każe przeczytać go z zajęciem, a wobec tego — przyjąć?

Owemi czasy zyskał sobie Martin podziw i uwielbienie Marji. Zastał ją pewnego ranka w kuchni, jęczącą z bólu, osłabioną aż do łez i napróżno starającą się manipulować ciężkiem żelazkiem. Martin szybko postawił diagnozę: *la grippe*, zaordynował kobiecie gorące whisky (pozostałe w butelkach, które kupował Brissenden) i kazał iść do łóżka. Marja jednak stawiała opór zacięty. Prasowanie musi być skończone tej nocy, bo inaczej siedmioro małych i głodnych Silwiąt zostanie jutro bez chleba i zupy.

Ku jej najwyższemu zdziwieniu (dziwić się temu nie przestała aż do chwili śmierci) Martin Eden pochwycił gorące żelazko i rzucił krochmaloną strojną bluzkę damską na deskę od prasowania. Była to najpiękniejsza bluzka świąteczna panny Kate Flanagan, ta ostatnia zaś — najszykowniejszą i najstarszanniej ubraną kobietą w całym świątku Marji.

Panna Flanagan prosiła specjalnie, żeby piękna bluzka wykończona została dziś jeszcze. Wszyscy gadali, że zaręczona jest z kowalem, Johnem Collins, Marja zaś wiedziała prócz tego, że młoda para wybiera się jutro do parku u Złotych Wrót. Napróżno jednak próbowała Marja obronić cenny strój. Martin odprowadził ją, chwiejącą się, do krzesła. Zdaleka, mglistemi oczyma, patrzyła, co się dzieje. I — o dziwo — zanim minęła czwarta część czasu, jaki zwykle zużywała na prasowanie tej bluzki — robota była wykończona nie gorzej, niż wykończyłaby sama. Musiała to przyznać.

— Pracowałbym znacznie szybciej — tłumaczył się chłopak — gdyby żelazka były gorętsze.

Co do Marji, nie odważyłaby się nigdy używać żelazek tak gorących.

— Skrapiacie zupełnie nieprawidłowo — ciągnął Martin. — Zaraz wam pokażę, jak należy kropić: chodzi przede wszystkim o nacisk. Skrapiać pod naciskiem — a uprasuje się prędko.

Wynalazł sobie w piwnicy skrzynkę drewnianą, dopasował do niej pokrywę, tę ostatnią zaś obciążył kilkunastoma funtami starego żelastwa, które ród Silvy zbierał dla handlarza. Następnie świeżo skropioną bieliznę ułożył gładko w oczyszczonej skrzynce i poddał ciśnieniu pokrywy, obarczonej żelastwem.

— A jak tylko skończył z prasowaniem, moja pani, wzion się do wełny — opowiadała zczasem kobiecina. — Tak mi peda, moja pani: „Wy, Marja,

robicie kiepsko, ja wam pokażę, jak się pierze wełnę!“ Dobra. No i pokazał! W dziesięć minut wystawił maszynę — beczka, stare koło, dwa drągi — moja pani — i więcy nic!

Martin nauczył się tej sztuki od Joe w pralni przy Gorących Źródłach. Stare koło, a raczej tylko oś ze sprychami, umocowane na pionowym drągu, obracać należało w głębi beczki przy pomocy drugiego drąga, stanowiącego korbę. Szprychy zagarniały, obracały i tarły materiał pogrążony w beczce, napelnionej wodą z mydłem, robotnik zaś, mając jedną rękę wolną, podsuwał tkaninę w miarę potrzeby.

— Jużem ci ni razu wełny na balji nie poniewierała — kończyła zwykle swe opowiadania Marja. — Każę dzieciakom kręcić drągiem w beczce i szlus. O, to jenteligentny męczyzna ten pan Eden!

Niemniej jednak, dzięki swej mistrzowskiej umiejętności prasowania oraz pomysłowemu zaimprovizowaniu pralni kuchennej, Martin spadł o całe niebo w oczach Marji. Aureola romantyczności, która otaczała go dotychczas, zgasła w bezlitosnem świetle faktu, iż tajemniczy pan Eden jest poprostu dawnym robotnikiem z hotelowej pralni. Niezrozumiały jego książki, goście odwiedzający go powozem, albo obładowani butelkami — wszystko straciło odrazu urok, przestało się liczyć. Ostatecznie był to tylko robotnik, człowiek jej sfery i jej pochodzenia. Stał się bliższym i bardziej ludzkim, lecz przestał już być tajemnicą.

Stosunki rodzinne Martina nie polepszały się by-

najmniej. Wkrótce po niesprowokowanym ataku imię Higginbothama — szlachetny Hermann von Szmidt nieomieszkiał wtrącić swoich trzech groszy. Pomyślna sprzedaż kilku nowelek, paru żarcików i wierszy humorystycznych, przyniosła Martinowi trochę pieniędzy, które pokryły część długów i pozwoliły nawet wykupić czarny garnitur i rower. Rower potrzebował drobnej naprawy, Martin więc w dowód życzliwości dla przyszłego szwagra posłał maszynę do sklepu von Szmdta.

Ku uciesze Martina tegoż dnia popołudniu rower dostawiony mu został przez małego chłopaka. Acha. Szmidt akcentuje chęć dobrych stosunków — pomyślał Martin na widok niezwyklej uprzejmości. Naprawione rowery należało bowiem zwykle własnymi siłami odstawiać z warsztatu. Obejrzawszy jednak maszynę, przekonał się Martin, że naprawy nie uskutecznilo wogóle. Wezwał Szmdta do telefonu i dowiedział się, iż jegomość ów nie chce z nim mieć do czynienia „w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem“.

— Słuchaj-no, Hermann von Szmidt — odrzekł Martin wesoło — mam wielką ochotę odwiedzić cię i rozkwasić twój szwabski nos!

— Przyjdź tylko, bratku, do mego warsztatu! — brzmiała odpowiedź. — Poszlę natychmiast po policję! Wyrzucę za drzwi! Znam cię, ptaszku, i nie dam się nabrać. Nie chcę mieć nic wspólnego z takim jak ty. Jesteś włóczęga i leniuch, ale ja też nie ślepy! Nie dam się naciągnąć dlatego tylko, że biorę

twoją siostrę! Możebyś powiedział, dlaczego nie pracujesz jak człowiek? Dlaczego uczciwie nie zarabiasz na życie? Co? Hę? Chciałbym wiedzieć!

Martin przywołał na pomoc cały rozsądek, odegnał wstającą wściekłość i bez słowa powiesił słuchawkę, gwizdnąwszy przeciągle a wesoło. Po wesołości jednak nadeszła reakcja. Gorzka tęsknota zdławiła gardło. Nikt mnie nie rozumie — myślał — nikomu nie jestem potrzebny, nikt nie ma ze mnie pożytku... Jeden Brissenden może, ale ten gdzieś przepadł i nie pokazuje się...

Zmrok już zapadał, kiedy Martin wyszedł ze sklepu i skierował się ku domowi, niosąc swe mizerne paczki. Na rogu przystawał właśnie tramwaj. Z tramwaju wysunęła się znajoma długa sylweta. Serce Martina zabiło radośnie.

— To Brissenden! — W migotliwym świetle okienek tramwajowych Martin zauważył dwie wielkie odstające kieszenie palta, wypchane zapewne książkami i butelką.



## R o z d z i a ł   X X X V

Brissenden nie tłumaczył swej długiej nieobecności, Martin zaś o nic nie pytał. Rad był widzieć przed sobą wychudzoną i trupioblądą twarz przyjaciela poza obłokiem pary, wstającej z wazki grogu.

— Co do mnie, nie próżnowałem również — oświadczył Brissenden, wysłuchawszy sprawozdania Martina. Wyjął rękopis z wewnętrznej kieszeni kurтки i wręczył go Martinowi. Chłopak przeczytał tytuł i ciekawie podniósł oczy.

— Tak, tak — zaśmiał się Brissenden. — Dobry tytułik, co? „*Efemeryda*“ — jedyne słowo! Z wdzięczam je tobie, a raczej twojemu c z ł o w i e k o w i, który jest wiecznie czujną, ożywioną materją, ostatnią i najdoskonalszą efemerydą — stworzeniem, które znika, jeśli rtęć termometru posunie się o centymetr niżej lub wyżej. Opanowała moją głowę i musiałem to napisać, żeby się uwolnić. Czytaj — i powiedz, co o tem myślisz.

Twarz Martina zarumieniła się — potem zbladła na długo. Miał przed sobą najdoskonalsze dzieło

sztuki. Forma triumfowała nad treścią, jeśli triumfem formy nazwać można fakt, iż każdy najdrobniejszy, ledwie uchwytny atom treści, znalazł wcielenie w budowie idealnie właściwej. W miarę jak czytał, począł odczuwać, jak posłusznie wślad rytmu kręcić poczyna się w głowie. Łzy namiętności sparzyły źrenice, chłodny dreszcz przebiegł ciało...

„Efemeryda“ — był to poemat liczący sześćset czy siedemset wierszy, fantastyczny, porywający, niezicmski. Druzgoczący, nieprawdopodobny — a przecież istniejący naprawdę, biegnący szeregiem czarnych literek po białym papierze. Opiewał Człowieka, wiekuiste a ślepe poszukiwania jego ducha, co przemierza otchłanie przestrzeni, wzywając ku świadectwu obce słońca i widma tęcz dalekie zmuszając, by wyznały prawdę. Obląkana orgja wyobraźni płonęła w mózgu umierającego poety. Ledwie w łkaniu bezsilnem dźwignąć mógł własną bujność i wśród szaleńczo pośpiesznych, cichnących już uderzeń serca — żył jeszcze. Poemat spływał majestatycznym rytmem, brzmiał echem potężnych zmagañ międzyplanetarnych, tumultem zwady śródgwiezdnej. Oto zwarły się i roztrzaskały słońca wygasłe, oto płomieniem buchnęły obłoki w czarnej niebios pustce — a poprzez wszystko i wbrew wszystkiemu, nieustający i kruchy, niby srebrne czółenko wpośród bezmiernej tkaniny, snuł się i powracał, snuł i powracał ubogi głos Człowieka — zew słaby a żałośliwy, trwający śród grzmotu strącanych planet i padających w gruzy słońc.

— Nie znam nic podobnego w literaturze! — wyrzekł Martin, kiedy wreszcie zdołał dobyć głosu. — Wspaniale! Bije do głowy jak wino! Upiłem się pięknem! Wielkie, wiekuiste zagadnienie — nazawsze wżera się w mózg. Ów pytający, nieśmiertelny, nieustępliwy, wiecznie powracający, bezsilny, żaloszny, lecz uparty głos człowieka dzwoni mi ciągle w uszach. Jest jak marsz żałobny owada pośród ryku lwów, jak nienasyconość pragnienia, zrodzona w istocie nieskończenie małej. Słuchaj, gadam jak warjat, ale zbyt jestem wzięty! Ty jesteś — sam nie wiem — ty jesteś cud. — Oto wszystko. Ale jakieś ty to napisał? Jak napisałeś?

Martin przerwał odę i natychmiast wybuchnął na nowo.

— Nigdy już nie będę pisał. Powinienem lepić garnki. Tyś pokazać mi dopiero, co znaczy dzieło prawdziwego artysty. Genjusz! Nie, to coś więcej. To prawda, co oszalała. Prawdziwa dusza ludzka w każdym słowie. Nie wiem, czy sam to rozumiesz, ty, dogmatysto! To jasnovidzenie proroka, wydarte czarnemu chaosowi kosmosu i splecione w potężne rytmy dźwięku w jakiejś czarownej kuźni piękna. Dosyć już. Jestem oszołomiony, zdruzgotany. Ale jedno jeszcze: pozwól mi zająć się drukiem!

Brissenden roześmiał się cierpko.

— Niema takiego czasopisma pod słońcem, które odważyłoby się wydrukować coś podobnego — wiesz o tem dobrze.

— Nic nie wiem. Odwrotnie Niema pod słoń-

cem czasopisma, któreby ośmieliło się to odrzucić. Nie codzień zdarza się podobny utwór. Taki poemat nie zjawia się nawet raz do roku. Taki poemat powstaje raz na stulecie!

— Chciałbym powiedzieć: „trzymam cię za słowo“.

— No, no, nie bądź cyniczny — uśmiechnął się Martin. — Nie wszyscy wydawcy są idjotami. Jestem tego pewien. Założę się, o co chcesz, że „*Efemeryda*“ przyjęta zostanie po pierwszej, a najdalej po drugiej ofercie.

— Nie przyjmuję zakładu. — Brissenden milczał chwilę. — Poemat ten jest dla mnie rzeczą wielką i ważną. Najważniejszą w życiu. To moja pieśń łabędzia. Jestem z niego dumny, głęboko dumny. Kocham go. Ubóstwiam. To mocniejsze niż wódka. To spełnienie marzeń — marzeń o wielkości — śnionych ongiś przez naiwnego chłopaka, pełnego słodkich złudzeń i czystych ideałów. Wcieliły się wreszcie. Posiadłem je w ostatnim tchu. Nie będę nimi handlował, nie dam gawiedzi na poniewierkę. Nie przyjmuję zakładu. Poemat należy do mnie. Stworzyłem go i podzieliłem z tobą jednym.

— Ależ reszta świata! — protestował Martin. — Piękno daje tyle szczęścia.

— To piękno należy do mnie.

— Nie bądź samolubny!

— Nie jestem samolubem. — Brissenden zaśmiał się drżącym, leciutkim uśmieszkiem. Czynił tak zawsze, ilekroć ważył jakieś słowo na wąskim wężyku

warg. — Nie jestem samolubny, jak nie jest nim... zgłodniały pies.

Napróżno próbował Martin zachwiać postanowienie przyjaciela, dowodząc mu, że jego nienawiść do wydawców i redaktorów była zbyt nieopanowana i fanatyczna, postępowanie zaś jego równie potępienia godne, jak czyn szalonego, co spalił świątynię Diany w Efezie. Pod gradem zarzutów Brissenden niewzruszenie popijał grog i zgadzał się na wszystko, cokolwiek słyszał, z wyjątkiem poglądu na wydawców czasopism. Nienawiść jego nie знаła granic.

— Chciałbym, żebyś przepisał moje bazgroły na maszynie — powiedział. — Zrobisz to lepiej, niż fachowy maszynista. A teraz chcę ci udzielić paru rad. — Z kieszeni kurtki wydobyl grubý zwój papierów. — Oto twoja „*Hańba Słońca*“. Przeczytałem nie raz i nie dwa razy — to najwyższy wyraz uznania z mej strony. Po wszystkim co mówiłeś o „*Efemerydzie*“, wypada mi milczeć. Powiem ci jedno tylko: ukazanie się w druku „*Hańby Słońca*“ narobi wiele hałasu. Wywoła napaści, dyskusję i zrobi ci sławę.

Martin roześmiał się. — Przypuszczam, że za chwilę poradzisz mi, żebym przesłał rękopis do jakiejś redakcji.

— Bynajmniej — jeżeli oczywiście chcesz ujrzeć go w druku. Zaproponuj go któremu z poważnych towarzystw wydawniczych. Zdarzyć się może, że kierownik literacki którejś z firm będzie dość

szalony, a może dość pijany, i zakwalifikuje taki utwór. Czytałeś książki. Miąsz ich, przetrawiony przez mózg Martina Edena, stworzył treść „*Hańby Słońca*“. Zczasem zaś Martin Eden będzie sławny, i lwia część zdobytej sławy przypadnie temu utworowi. Musisz znaleźć nań wydawcę — im prędzej tem lepiej.

Brissenden opuścił izdebkę Martina późnym wieczorem. Ze schodków ruszającego już tramwaju pochylił się nagle ku przyjacielowi i wcisnął mu do ręki mały, zgnieciony zwitek papieru.

— Weź-no — powiedział szybko. — Poszczęściło mi się dzisiaj na wyścigach.

Tramwaj ruszył, Martin zaś pozostał zdziwiony i zaciekawiony, co też zawierać może tajemniczo zwinięta paczuszka, którą gniótł w palcach. Wróciwszy do domu, rozwinął ją i znalazł stodolarowy banknot.

Bez skrupułów postanowił go zużytkować. Wiedział, że Brissenden ma zawsze pieniędzy wbród, przedewszystkiem zaś był głęboko przekonany, iż niedługo już czekać będzie na powodzenie, a więc i na możność spłacenia długu. Nazajutrz rano wyrównał wszystkie rachunki w sklepikach, zapłacił Marji komorne za trzy miesiące zgóry i odebrał wszystkie rzeczy z lombardu. Następnie kupił piękny prezent ślubny dla Marian, oraz upominki gwiazdkowe dla Ruth i Gertrudy. Wreszcie, zgarnąwszy pozostałą sumę do kieszeni, ruszył do miasta na czele całego stadka Silvy. Obietnica dotrzymana

została po roku — niemniej jednak dnia tego każdy członek rodu Silva, nie wyłączając matki jego, otrzymał parę bucików. Nie brakło też trąbek, bębnow, lalek, zabawek wszelkiego rodzaju i rozmiaru, oraz pudełek z cukierkami i orzechami. Dziecinne ramionka uginały się pod słodkim ciężarem.

Wychodząc wraz z Marją od cukiernika na czele tej malowniczej procesji, poprzedzany przez największą pakę smakołyków, jaką kiedykolwiek ujrzało światło dzienne — Martin niespodzianie spostrzegł Ruth w towarzystwie matki. Pani Morse była zgorszona. Panienkę dotknęło to również; przywiązywała wielką wagę do pozorów, widok zaś narzeczonego ramię przy ramieniu z praczką, kroczącego na czele hordy obdartych Portugalczyków — istotnie nie był wytworny. Najmocniej zabolął jednak panienkę nie skandal towarzyski, lecz brak godności i dumy w narzeczonym. Owa promenada dowodziła raz jeszcze niezbicie, że Martin nie potrafi wyrzec się łączności ze swoją sferą. Stygmat pochodzenia z proletariatu był sam przez się dostateczną przykrością, ale bezwstydné wyzywanie świata, — świata państwa Morse — było doprawdy zbyt niemiłym zuchwalstwem. Chociaż zaręczyny Ruth trzymane były dotychczas w tajemnicy — długo trwała zażyłość młodej pary nie mogła nie zwrócić na siebie ciekawych oczu ludzkich. W cukierni znajdowało się właśnie kilka znajomych osób, uszczypliwie obserwujących pana Edena i jego świtę. Ruth nie lubiła beztroski i rozrzutności Martina, nie mo-



gła też stanąć ponad poglądami swego otoczenia. Czula się dotknięta do żywego i dygotała z upokorzenia i gniewu. To też Martin, odwiedziwszy ją tegoż dnia wieczorem, nie ośmielił się wydobyć upominku z kieszeni i wręczenie go odłożył do pogodniejszej chwili.

Ruth we łzach — łzach złości i zniecierpliwienia — była dla Martina zdumiewającą niespodzianką. Na widok jej cierpienia przekonał się, że postąpił jak brutal, chociaż w głębi duszy niebardzo rozumiał dlaczego. Nigdy nie przychodziło mu do głowy wstydzić się tych, których znał, ufał też, że Ruth w żadnym wypadku nie może wziąć mu za złe tej wyprawy świątecznej z uszczęśliwionemi dziećmi. Po długiej chwili jednak panienska zdołała wyjaśnić narzeczonemu punkt widzenia, Martin zaś spokojnie przyjął go do wiadomości i uznał za drobną słabostkę, jedną z tych, którym ulegają wszystkie kobiety, a więc i najlepsza z kobiet.



## R o z d z i a ł   X X X V I

— Chodź — pokażę ci coś ciekawego — proponował Martinowi Brissenden pewnego styczniowego wieczoru.

Byli razem na obiedzie w San-Francisco i zbliżali się właśnie ku przystani, żeby wrócić do Oakland, kiedy Brissenden powziął nagłą myśl pokazania przyjacielowi tego, co uważał za „sól ziemi”. Zawrócił i poszedł wzdłuż brzegu — długi cień w faldzistem, rozwiewającym się palcie. Martin dostrzymywał mu kroku. W eleganckiej winiarni zaopatrzył się Brissenden w dwie butelki starego portwejnu, poczem z butelką w każdej ręce wpakował się do tramwaju, idącego na ulicę Mission. Martin wsiadł również, obładowany butelkami whisky.

— Gdybyż Ruth zobaczyła! — pomyślał przelotnie, zastanawiając się jednocześnie, na czym też polegała obiecana „sól ziemi”.

— Może nikogo nie zastaniemy — odezwał się Brissenden, kiedy wysiedli z tramwaju i zapuścili w głąb robotniczego ghetto, rozpościerającego się na południe od Rynku. — W takim razie ominęłoby cię to, czego szukasz oddawna.

— Cóż to za rarytas? — zapytał Martin.

— Ludzie, inteligentni ludzie, nie gadatliwe zera, z którymi konwersowałeś tak zajadle w norze handlarzy, czyli, jeśli wolisz, salonach państwa Morse. Czytałeś trochę, umiesz cośnieto — jesteś więc tam samotny. Dzisiaj chcę ci pokazać ludzi, którzy również potrafili czytać. Nigdy już więcej nie poczujesz się osamotniony.

— Nie myśl, że sobie nabijam głowę ich nieskończonemi dyskusjami — powiedział Brissenden po dłuższej chwili. — Suche rozważania nie zaciekawiają mnie wcale. Prostu tylko lubię spotykać inteligentnych chłopców, nie samych opasłych filistrów. Bacność jednak! Nie zgodzisz się z nimi na żaden pod słońcem temat.

— Mam nadzieję, że zastaniemy Nortona — rzucił znów po chwili, opierając się przemocy Martina, który chciał wyręczyć go w niesieniu butelek. — Norton jest idealistą, wychowawcem uniwersytetu Harvarda. Pamięć — niebywała! Idealizm doprowadził go do filozoficznego anarchizmu, wobec czego rodzina pokazała mu drzwi. Ojciec jest królem kolejowym i multimiljonerem, syn zaś „zdycha z głodu“ we Frisco, redagując gazetkę anarchistyczną, za dwadzieścia pięć miesięcznie.

Martin nie znał dokładnie San-Francisco, a już najmniej dzielnicę Południowego Rynku; nie wiedział też zupełnie, gdzie się znajdują.

— Mów dalej — poprosił; — opowiedz mi o nich zawczasu. Co robią? Z czego żyją? Skąd się tu wzięli?

— Hamilton też pewnie przyjdzie. — Brissenden odpoczął chwilę. — Nazywa się właściwie Strawm-Hamilton, podwójne nazwisko, uważasz; pochodzi ze starej rodziny południowej. Jest to włóczęga, najleniwszy człowiek na świecie, chociaż podobno pracuje, czy też stara się pracować w jakiejś kooperatywie socjalistycznej za sześć dolarów miesięcznie. Ale to przysięgły włóczęga. Przywędrował do miasta. Kiedyś cały dzień przesiedział o suchym pysku na ławce ulicznej, a kiedym mu zaproponował kolację w barze, odległym o parę przecznic, oświadczył mi spokojnie: „za dużo kłopotu, mój stary. Kup mi lepiej paczkę papierosów“. Wyznawał był Spencera, dopóki Kreis nie nawrócił go na monizm materjalistyczny. Spróbuję wyciągnąć go na dyskusyjkę o monizmie. Norton jest również monistą, ale nie uznaje nic, prócz ducha. Będzie zresztą dyskutował z Kreissem i Hamiltonem na każdy temat.

— Któż to jest Kreiss? — zagadnął Martin.

— Do niego właśnie idziemy. Był profesor wylany z uniwersytetu — zwykła historja. Umysł ma w rodzaju stalowego potrzasku. Żyje, jak może. Był nawet fakirem ulicznym, kiedy został bez grosza. Skrupułów nie posiada. Ukradłby nawet trupa z mogiły — wszystko. Różni się tem od „sfer wyższych“, że rabuje bez złudzeń. Będzie gadał o Nietzschem, o Schopenhauerze, o Kancie, o wszystkim zresztą, ale jedyną rzeczą, która obchodzi go naprawdę, nie wyłączając Mary — to monizm. Haeckel jest dla

niego bogiem. Jedyńm sposobem ubliżenia mu jest skrytykować Haeckla.

— Otóż i rezydencja. — Zanim weszli na schody, Brissenden postawił swoje butelki, żeby odpocząć. Domek był pospolity, dwupiętrowy, z szynkiem i sklepikiem na dole. — Tutaj mieszka banda — objaśnił Brissenden. — Zajmuje całe pięterko. Każdy obywatel po jednym pokoju. Tylko Kreiss całe dwa. No, chodź.

Na schodach było ciemno, Brissenden jednak poruszał się swobodnie, jak stały bywalec. Przystanął po chwili, żeby zagadać do Martina.

— Jest tu jeszcze jeden chłopak — Stevens, teozof. Robi hałas nielada, kiedy wpadnie w ferior. Tymczasem jest pomywaczem w jakiejś restauracji. Lubi dobre cygara. Widziałem, jak zjadłszy dziesięciocentowy obiad, zapłacił pięćdziesiąt za poobiednie cygaro. Mam dwa dobre w kieszeni, jeśli mały się pokaże.

— Jest jeszcze jeden okaz — Parry — Australczyk, statystyk i chodząca encyklopedia sportowa. Zapytaj go, ile zboża eksportowano z Paragwaju w roku 1903-cim, albo ile płótna wwieźli Anglicy do Chin w 1830-tym, albo też, ile ważył Jimmy Brit w dniu zwycięstwa nad Nelsonem, albo wręszcie, kto był w 68-ym championem lekkiej wagi na Stany Zjednoczone. Otrzymasz dokładną odpowiedź, wyrzuconą z szybkością automatu. Spotkasz tu jeszcze niejakiego Andy, kamieniarza; posiada wyrobione poglądy na każdy temat i znakomicie gra

w szachy. Pozatem jest jeszcze Harry, piekarz, skrajny socjalista i gruba ryba w związku. A propos, pamiętasz głośny strejk kucharzy i kelnerów? To właśnie Hamilton zorganizował związek zawodowy i przyśpieszył strejk — wypracowawszy najszczerzej cały plan, tu oto, w pokojach Kreissa. Zajął się tem wyłącznie dla sportu; lenistwo nie pozwoliło mu pozostać dłużej w związku. Wogóle nie byłoby granic możliwościom jego kariery — gdyby nie to nieprawdopodobne, wspaniałe lenistwo.

Brissenden sunął w ciemnościach, dopóki punkcik światła, widocznego przez dziurkę od klucza, nie wskazał zdaleka zamkniętych drzwi. Stuknięcie — odpowiedź — otworzono — i Martin witał się już z Kreissem, pięknym, śniadym brunetem o lśniących, białych zębach, drobnym, kruczym wąsie i wielkich, płonących, czarnych oczach. Mary, zażywna młoda blondynka, myła naczynia w sąsiednim pokoiku, służącym za kuchnię i jadalnię. Pierwszy pokój był sypialnią i bawialnią. Świeżo uprana bielizna zwieszała się festonami tak nisko nad głową, że Martin w pierwszej chwili nie zauważył dwu mężczyzn, gwarzących za stołem w kącie. Radosnym okrzykiem powitali Brissendena i jego butelki. Po wzajemnem zapoznaniu okazało się, że byli to Andy i Parry. Martin przyłączył się do nich i słuchać począł uważnie opowiadania Parry o walce bokserów, widzianej dnia poprzedniego. Brissenden tymczasem zajął się fachowo przyrządzaniem grogu i podawaniem wina oraz „soda-whisky“. Na

jego komendę „zebrać całą paczkę!“ Andy poszedł zwoływać pozostałych lokatorów.

— Udało ci się, prawie wszyscy w domu — szepnął Brissenden Martinowi. — Oto Norton i Hamilton, chodź, zapoznam cię; Stevensa niema podobno. No, spróbuję nakręcić ich na monizm. Poczekaj, aż łykną trochę i rozgrzeją się.

Z początku rozmowa rwała się nieco. Pomimo to, zdołał Martin ocenić giętkość i przenikliwość umysłów tych ludzi. Każdy z nich miał wyrobione, choć niejednokrotnie sprzeczne poglądy; i chociaż rozmawiali zręcznie i dowcipnie — nie byli bynajmniej powierzchowni. Martin zaobserwował szybko, że ludzie ci na każdy poruszony temat posiadają poważną ilość wiadomości, poglądy na świat i społeczeństwo ugruntowane, pogłębione i logiczne. Nikt nie podsunął im gotowych formuł; wszyscy byli opozycjonistami w swojej dziedzinie, usta ich nie znały banalności ani szablonu. U państwa Morse nie spotkał Martin nigdy takiej zadziwiającej różnorodności tematów. Zdawać się mogło, iż niema na świecie zjawisk, któremi nie interesuje się to dziwaczne towarzystwo. Rozmowa wędrowała od nowej powieści pani Humphry Ward do ostatniej sztuki Shawa, poprzez przyszłość dramatu scenicznego, aż ku wspomnieniom o Nat Goodwinie. Chwalono lub krytykowano gazety, przeskakiwano od warunków pracy w Nowej Zelandji do Hewy Jamesa i Brander Matthews; poruszono kwestję ekspansji Niemiec na Wschód i zagadnienie Żółte-



go Niebezpieczeństwa; dyskutowano o wyborach w Niemczech i ostatniej mowie Bebla; powrócono nareszcie do miejscowych spraw politycznych, ostatnich projektów i nieporozumień w zarządzie Zjednoczonej Partji Pracy i do omawiania tych sprężyn, które puszczono w ruch, żeby złamać strejk robotników portowych. Martina zdumiewała tak dokładna orientacja w polityce wewnętrznej. Ludzie ci wiedzieli mnóstwo szczegółów, niedrukowanych w gazetach — znali wszystkie tajemne sznurki, któremi ukryte ręce poruszały marjonetki na scenie. Ku zdziwieniu Martina, dziewczyna, imieniem Mary, również wzięła udział w rozmowie, wykazując taką inteligencję, jakiej nie spotkał jeszcze u żadnej z niewielu znanych mu kobiet. Wszczęli długą rozmowę na temat Swinburna i Rosettiego, poczem Mary zagnała Martina w kozi róg swą znajomością literatury francuskiej. Zemścił się, kiedy zaczęła bronić Maeterlincka, i puścił w ruch szereg argumentów, użytych w „*Hańbie Słońca*“.

Weszło jeszcze kilku mężczyzn, powietrze zbłękitniało od dymu. Brissenden załopotał wreszcie czerwoną płachtą.

— Masz świeżą zdobycz dla twego topora, Kreiss, — odezwał się nagle — oto ledwie opierzony młodzieniaszek, pałający uwielbieniem dla Herberta Spencera. Zrób z niego wyznawcę Haeckla... jeśli potrafisz.

Kreiss zbudził się jak gdyby i zabłysnął cały, niby namagnetyzowany metal, Norton zaś spojrzał

z sympatją na Martina, uśmiechnąwszy się jakoś po dziewczęcemu, oczyma przyrzekając jak najdalej idące podtrzymanie.

Kreiss zwrócił się wprost ku Martinowi, Norton jednak co chwila wkraczał w dyskusję, dopóki obaj z Kreissem nie skrzyżowali szpad w namiętnej i błyskotliwej szermierce. Martin słuchał i uszom nie wierzył. Było to wręcz nieprawdopodobne, zwłaszcza tu, w robotniczym ghetto Południowego Rynku. Książki żyły w mózgach tych ludzi. Spierali się z ogniem i entuzjazmem, natężenie zaś myśli podniecało ich tak bardzo, jak zwykle czyni to alkohol albo gniew. To, co obecnie dane było słyszeć Martinowi, nie kończyło się na suchem przeżuwanu drukowanego słowa, napisanego ongiś przez jakichś odległych półbogów Kanta lub Spencera. Była to filozofja żywa, tętniąca ciepłą krwią, wcielona w dwóch zapaśników. Coraz to ktoś z obecnych przyłączał się do dyskusji; zawzięcie kręcono papierosy; twarze rumieniły się, zapalały oczy. Idealizm nigdy zbyt nie pociągał Martina, w tej chwili jednak w ustach Nortona brzmiał niby objawienie prawdy. Logiczna wyrazistość jego syllogizmów przemówiła do umysłu Martina, — Kreiss jednak i Hamilton zdawali się jej nie spostrzegać i wymyślali Nortonowi od metafizyków, zaco on odwzajemniał im się tem samem. *Phenomenon* i *noumenon* przelatywały jak piłka pośród grających. Dwaj przeciwnicy zarzucili Nortonowi, że próbuje tłumaczyć pojęcie świadomości jako takiej.

Norton zaś zarzucał im żonglowanie słowami i prowadzenie rozumowania od słów do teorji, zamiast od faktów do teorji. Tego było im za wiele! Przecież zasadniczą cechą ich sposobu myślenia było właśnie opieranie się na faktach i nazywanie faktów po imieniu.

Kiedy Norton zagłębił się w labirynt filozofji Kanta, Kreiss przypomniał mu, że wszystkie kruche niemieckie systemy filozoficzne, po zbankrutowaniu w ojczyźnie, wędrowały do Oxfordu. Po chwili Norton ze swej strony wypomnił im ulubione przez Hamiltona prawo ekonomji wysiłków, którego zastosowanie widzieć chcieli tamci w każdym własnym procesie myślowym. Martin słuchał i nie posiadał się z radości. Norton jednak nie był zwolennikiem Spencera i ze swej strony napastował Martina, starając się niemniej przekonać nowego, jak i dwóch dawnych przeciwników.

— Czy wiecie, że Berkeley'emu nikt dotychczas nie odpowiedział? — mówił, patrząc wprost na Martina. — Herbert Spencer podszedł ku prawdzie najbliżej, lecz jeszcze niedostatecznie blisko. Najwierniejszy nawet wyznawca Spencera nie pójdzie dalej. Parę dni temu czytałem rozprawę Saleeby'ego, który przyznał Spencerowi najwyżej to, że nie o m a l zdołał dać odpowiedź Berkeley'emu.

— A wiesz, co powiedział Hume? — zagadnął Hamilton. — Norton skinął głową, Hamilton jednak przytoczył dla wiadomości innych. — Hume

twierdzi, że argumenty Berkeley'ego nie przekonywują i wogóle nie wymagają odpowiedzi.

— Tak jest, nie przekonywały Hum'a. Hume zaś posiadał umysł podobny do twojego, z tą różnicą, że był dość rozumny, aby przyznać, że można nie odpowiadać Berkeley'emu.

Norton był wrażliwy i łatwopalny, chociaż nigdy nie tracił miary w uniesieniu, Kreiss jednak i Hamilton przypominali dwóch bezlitosnych barbarzyńców, którzy spokojnie szukają słabych miejsc przeciwnika, żeby pchnąć i zranić. Późnym wieczorem, Norton, ugodzony częstokrotnem podejrzeniem o metafizykę, ostatnim wysiłkiem trzymający w cuglach swoją popędliwość, z oczyma płonącemi i nagle zmęźniałą dziewczęcą twarzą — rzucił się do generalnego ataku na okopy wroga.

— Dobrze, dobrze, ślepi wyznawcy Haeckla! — wołał. — Według was, ja rozumię jak znachor — ale — proszę — jakże rozumujecie wy?! Nie macie się na czem oprzeć, ciemni dogmatyści, z całym balastem waszej wiedzy pozytywnej, którą zawsze staracie się wtłoczyć tam właśnie, gdzie znajdować się nie powinna. Na długo już przed zbudowaniem koncepcji monizmu materialistycznego grunt został tak przeorany, że niesposób na nim coś trwałego fundować. Zrobił to Locke — John Locke. Dwieście zgorą lat temu w swoim „*Szkicu o rozumieniu człowieka*“ dowiódł, że idee wrodzone nie istnieją. Najlepsze, że tego właśnie staracie się dowieść dzisiaj. Przecież przez cały wieczór wmawiacie we

mnie tylko jedno wkółko: „idee wrodzone nie istnieją“... Cóż to znaczy? Znaczy, że nigdy nie osiągnięcia prawdy ostatecznej. Dusza wasza przy urodzeniu jest pusta — „tabula rasa“. Dostrzeganie zjawisk czyli *phenomena* — oto wszystko, co umysł wasz otrzymać może od waszych pięciu zmysłów. A więc *noumena*, z którymi nie przychodzicie na świat, nie mają sposobu przedostania się do waszych mózgów...

— Nie uznaję... — spróbował przerwać Kreiss.

— Poczekaj, aż skończę — bronił się Norton. — Znać więc możecie tę tylko część złożonej gry materji i energji, która w ten czy inny sposób odbija się na waszych zmysłach. Jeśli teraz, uważasz, zgody się na chwilę przypuścić, że istnieje wyłącznie materja, to biję cię własnym twoim argumentem, albowiem i ty i Hamilton już od urodzenia jesteście predestynowani, ażeby nie móc pojąć żadnej filozoficznej abstrakcji.

Dobrze. A cóż pozwala wam wiedzieć o materji wasza bezcenna „wiedza pozytywna“? Pozwala wam znać ją tylko z obserwacji zjawisk zewnętrznych, *phenomena*. Uświadamiacie sobie wyłącznie zmiany zachodzące w materji, a ściślej mówiąc, takie jej zmiany, które powodują zmiany w waszej świadomości. Wiedza pozytywna zajmuje się tylko faktami przyrodniczymi, mimo to jednak macie nierozsądną śmiałość zapuszczania się w badanie abstrakcyj! Wiedza więc odrzucająca wszystko,

prócz zjawisk zewnętrznych — nie może tych zjawisk przerastać.

— Nie możecie odpowiedzieć Berkeleyemu, nawet jeśli zanulujecie Kanta. A przecież siłą rzeczy przyjąć musicie, że Berkeley się myli, kiedy twierdźcie, że naukowo dowieść można nieistnienia Boga, a zwłaszcza — tego bowiem chcecie przede wszystkim — istnienia materji.

Co do mnie, uznałem istnienie materji poto tylko, żeby rozumować w sposób dla was dostępny. Zostańcie sobie wyznawcami wiedzy pozytywnej, jeśli macie ochotę; porzućcie jednak entologję, bo w takim razie nie macie na nią miejsca. Spencer rozumuje słusznie, dopóki chodzi mu o agnostycyzm, lecz tenże Spencer...

Nadchodziła przecież chwila odejścia ostatniego promu do Oakland, więc Brissenden i Martin wysliznęli się pocichu, zostawiając Nortona rezonującego coraz goręcej, Hamiltona zaś i Kreissa sprężonych do skoku, niby rozjuszony psy.

— Pokazałeś mi krainę baśni — odezwał się Martin już na promie. — Życie nabiera wartości, jeśli spotkać można takich ludzi. Mózg mam zupełnie przeorany. Nigdy przedtem nie ceniłem idealizmu. Dotychczas zresztą nie mogę przyjąć go bez zastrzeżeń. Wiem, że zawsze zostanę realistą. Taki już jestem. Co prawda znalazłbym parę słów sprzeciwu dla Kreissa i Hamiltona, z Nortonem zaś również podyskutowałbym z przyjemnością. Nie widzę też bynajmniej, żeby zaprzeczono Spencerowi. Zato

podniecony jestem, jak dzieciak po pierwszej bytności w cyrku. Widzę, że trzeba będzie jeszcze dużo przeczytać. Przedewszystkiem tę rozprawę Saleeby'ego. Wciąż jeszcze zdaje mi się, że Spencer jest niedościgniony, i na przyszły raz obiecuję sobie wziąć udział w dyskusji.

Lecz Brissenden nie słuchał; oddychając boleśnie, schował podbródek w fałdy podniesionego kołnierza, oparł głowę na zapadłej piersi i, owinięty w długie palto, kiwał się za każdym uderzeniem koła.



## R o z d z i a ł   X X X V I I

Dzień następny rozpoczął Martin od przeciwstawienia się zarówno radzie jak rozkazowi Brissendena. Przepisał „*Hańbę Słońca*“ i posłał do redakcji „*Akropolis*“. Wierzył, iż znajdzie przyjęcie w którymś z czasopism, co w dalszym ciągu ułatwi drogę do towarzystw wydawniczych. „*Efemerydę*“ przepisał i wysłał również. Pomimo wstrętu Brissendena do wszelkich „*magazines*“ (co graniczyło już z manją) Martin pewien był, iż wielki poemat niezwłocznie wydrukowany zostanie. Nie miał zresztą zamiaru dawać go do druku bez pozwolenia autora, pragnął tylko walczyć o zgodę Brissendena, mając już zapewnionego wydawcę.

Tegoż dnia rozpoczął Martin opracowywanie powieści, której plan naszkicował był oddawna i która natarczywie domagała się wcielenia. Pozornie była to sensacyjna powieść morską, „*roman d'aventure*“ dwudziestego wieku, malująca prawdziwe charaktery, żywych ludzi, realne warunki. Tok barwnej fabuły krył jednak coś, czego mógł nie zauważyć powierzchowny czytelnik, a co zresztą w żadnym razie nie zmniejszyłoby dlań żywości i uroku opowiadania. Ów nurt ukryty, nie zaś sama fabuła, nęciła

Martina i domagała się wcielenia. Zwykle zresztą jedynie pewien motyw ogólnoludzki, pewien podkład ideowy stawał się Martinowi natchnieniem do pisania. Znalazłszy go, wybierał już świadomie z czasu i przestrzeni odpowiednich ludzi i stosowne okoliczności, aby za ich pomocą wyrazić swą ideę. Nowe dziełko zwało się „*Spóźniony*“ i wynosić miało około sześćdziesięciu tysięcy słów — drobiazg dla wspaniałej płodności Martina. Od pierwszego dnia zanurzył się w pracę z rozkoszną świadomością opanowania narzędzi. Nie bał się już, że jakieś ostre kanty wybryków i omyłek zniekształcą dzieło. Długie miesiące usilnej pracy przyniosły owoce. Mógł teraz zaufać samemu sobie i pozwolić się unieść bujności tworzonego tematu; pracując dzień po dniu długimi godzinami, Martin czuł wyraźnie, jak nigdy przedtem, potęgę chwytu, którym ujmował i wiązał w szponach życie i jego sprawy. „*Spóźniony*“ wyrazi prawdę poszczególnych charakterów, istniejącą w pewnych warunkach; lecz wyrazi jednocześnie — był tego pewien — ogólne syntezy, co pozostaną prawdą po wszystkie czasy, na wszystkich ziemiach i morzach. — Dzięki Spencerowi — dodawał w myśli Martin, podnosząc na chwilę głowę z nad pisania. — Tak, tak, dzięki Spencerowi i teorii ewolucji, temu wszechmocnemu kluczowi do tajemnic życia, kluczowi, który Spencer włożył do rąk człowieka.

Martin czuł, że pisze rzecz wielką. „Pójdzie! Pójdzie! Musi pójść!“ — jak refren dźwięczało mu

w uszach. Wydrukują napewno. Wreszcie pisze powieść, o którą dobijać się będą czasopisma. Miał ją całą przed oczyma w płomiennych zgłoskach. Pewnego dnia przerwał ciągłość pracy, żeby w osobnym zeszycie napisać jeden rozdział. Będzie to końcowy rozdział „*Spóźnionego*“, całość bowiem tak precyzyjnie ukształtowała się w myśli, że Martin napisać mógł ostatni rozdział na parę tygodni przed skończeniem książki. Porównał powieść swą — choć nieskończoną jeszcze — z większością powieści morskich i uznał, że znacznie przewyższa wszystkie tamte. „Jeden jest tylko człowiek, co umie pisać o morzu — szeptał do siebie Martin — to Conrad. — Ale myślę, że mógłby wyciągnąć do mnie rękę i powiedzieć: „Wcale nieźle, Martin, mój chłopcze“.

Pracował cały dzień, zorjentowawszy się dopiero w ostatniej chwili, że zaproszony jest na obiad do Morsów. Dzięki Brissendenowi czarne ubranie wykupione zostało z zastawu, i Martin mógł znowu bywać wieczorami u narzeczonej. Dotarłszy do centrum miasta, wstąpił do czytelnicy i szukać począł książek Saleeby'ego. Znalazł „*Cykl Życia*“ i zaraz w tramwaju zabrał się do wspomnianego przez Nortona szkicu o Spencerze. W miarę czytania — unosił się gniewem. Twarz mu zapłonęła, zacisnęły się szczęki, pięść zwierała i rozwierała, jakby chwytając i dławiąc coś nienawistnego, z czego wydrzeć chciał życie. Wysiadłszy z tramwaju, kroczył ulicą jak człowiek wyprowadzony z równowagi, do pań-

stwa Morse zaś zadzwonił z taką wściekłością, że aż się nią samą wytrzeźwił i odrazu wpadł w doskonały humor, pokpiwając z siebie dobrodusznie. Zanim wszedł jednak — przygnębiecie zdławiło go znowu. Spadł z wyżyn, na których unosiły go dzień cały skrzydła natchnienia. „Filistry“, „nora handlarzy“ — brzęczały w uszach epitety Brissendena. — Cóż z tego wreszcie? — irytował się chłopak. — Żenię się przecie z Ruth, nie z jej rodziną.

Ruth zaś nie widział nigdy jeszcze tak pięknej, olśniewającej i uduchowionej, a zarazem zdrowej i świeżej. Rumieniec barwił jej lica, oczy zaś nęciły i pociągały nieodparcie, oczy, w których po raz pierwszy wyczytał był nieśmiertelność. Oddawna zresztą zapomniał o nieśmiertelności; książki naukowe, któremi się otoczył, odbiegły od niej daleko; tu przecież, w oczach Ruth, czytał bez słów dowody, co przerastały wszelkie rozumowania ziemskie. W źrenicach kobiety widział to, wobec czego każdy spór sam przez się wygasa — miłość. Martin również miłość miał w oczach. Ta zaś niezaprzeczalna jest i niezwalczona.

Pół godziny, które spędził z panienką zanim przeszli na obiad, dało Martinowi poczucie wspaniałego szczęścia i zadowolenia z życia. Niemniej jednak przy obiedzie opanowała go nieunikniona po całym dniu ciężkiej pracy reakcja wyczerpania. Czuł, że ma oczy zmęczone i że denerwuje się łatwo. Pamięć, zbudzona nagle, szepnęła, że przy tym stole, przy którym teraz nudził się tak często lub uśmiechał

gorzko — ucztował ongiś po raz pierwszy w towarzystwie ludzi ucywilizowanych, których stroił w wyobraźni aureolą wzniosłości i kultury. Przypominał sobie własną nieomal patetyczną sylwetę pół-świadomego barbarzyńcy, który pocił się wszystkimi porami skóry od zbytniego napięcia uwagi, bał się zdumiewającej mnogości przyrządów do jedzenia, znosił tortury na widok ludożercy-lokaja, pragnął jednym skokiem osiągnąć poziomu społecznego tych ludzi i wreszcie postanowił pozostać samym sobą, nie udając wykształcenia ni oglady, których nie posiadał.

Spojrzał na Ruth, jakby chcąc sprawdzić rzeczywistość, niby podróżny, co strwożony nagłą myślą o możliwej katastrofie, upewnia się, czy koła ratunkowe są na zwykłym miejscu. Są — są. Ruth i miłość. Wszystko pozostałe nie wytrzymało probierza książek; Nie ulewały się tylko Ruth i miłość; dla nich obu znalazły książki sankcję biologiczną. Miłość była najwyższym wyrazem życia, najsilniejszym jego napięciem. Martin czuł, że natura stworzyła go, zarówno jak wszystkich ludzi normalnych, przez miłość i dla miłości. Zużyła z dziesięć tysięcy wieków, — o, sto tysięcy, milion wieków, żeby dojść do człowieka, i jest on najlepszym tworem, jaki uczynić potrafiła. W człowieku zaś najsilniejszą uczyniła miłość, zwiększywszy stokrotnie jej potęgę darem wyobraźni, i wysłała go w znikomość i przemijanie, ażeby drżał z wzruszenia, pożądał i współżył. Ręka chłopaka odnalazła dłoń Ruth, siedzącej obok przy

stole. Gorący uścisk został odwzajemniony. Dziewczyna spojrzała przelotnie, słodkimi, promiennymi oczyma. Chłopaka przebiegł nagły dreszcz; w źrenicach zajaśniało głębokie wzruszenie. Nie wiedział, że wzruszeniem tem właśnie wywołał słodycz i promiennność oczu kobiecych.

Naprzeciw Martina, po prawej ręce pana domu, siedział sędzia Blount, członek miejscowego sądu najwyższego. Martin spotykał go kilkakrotnie, ale nie potrafił polubić. Pan Morse wszczął z sędzią rozmowę o polityce związków zawodowych, o sytuacji miejscowej, wreszcie o socjalizmie, przyczem uporczywie wciągał do dyskusji Martina. Wreszcie sędzia Blount spojrzał przez stół z wyrazem pożałowanej litości ojcowskiej. Martin uśmiechnął się cicho.

— Wyrośnie pan z tego, młodzieńcze, — rzekł sędzia słodko. — Czas najlepiej temperuje wybryki młodości. — I, zwracając się do pana Morse, dodał: — Dyskusja nie wydaje mi się właściwa w podobnym wypadku. Zwiększa tylko dolegliwość pacjenta.

— Pan sędzia ma zupełną rację — przyznał poważnie zagadnięty. — Słusznem jest przecież zawczasu ostrzec pacjenta o jego stanie.

Martin uśmiechał się wesoło, lecz z wysiłkiem. Dzień był zbyt długi, trud dnia zbyt natężony, szpony zmęczenia zbyt dotkliwe.

— Nie wątpię, iż obaj szanowni panowie są doskonałymi lekarzami — powiedział, — lecz jeśli

choć trochę dbacie o opinię samego pacjenta, pozwólcie oświadczyć sobie, iż diagnoza postawiona została niezbyt trafnie. W rzeczywistości obaj panowie chorujecie na przypisywaną mi dolegliwość. Co do mnie, jestem w tym wypadku uodporniony. Filozofja socjalistyczna, którą panowie usilnie przyswoić się staracie, mąci wam jeszcze krew w żyłach, do mnie zaś nie ma dostępu wogóle.

— Mądrze, bardzo mądrze — mruknął sędzia. — Sprytny sposób obrony: odwrócenie sytuacji.

— Pan to właśnie czyni. — Oczy Martina zabłysły, ale opanował się jeszcze. — Widzi pan, panie sędzio, miałem przyjemność słyszeć przemówienia pańskie w czasie kampanji wyborczej. W sposób oryginalny wmawia pan samemu sobie wiarę w system współzawodnictwa i w zwycięstwo silniejszego, równocześnie zaś uświęca pan wszelkie środki, zmierzające do odarcia silnego z jego siły.

— Mój chłopcze...

— Proszę nie zapominać, że słyszałem pańskie mowy przedwyborcze — ostrzegał Martin. — Jest rzeczą znamionną, iż poglądy pańskie na usystematyzowanie handlu pomiędzy poszczególnymi stanami, na uregulowanie trustu kolejowego i T-wa Standard Oil, na konserwację lasów, wreszcie na tysiąc i jeden środków, ograniczających samozaradność i inicjatywę — są w pełnem tego słowa znaczeniu socjalistyczne.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan nie uznaje konieczności uregulowania w społeczeństwie



przejawów sił różnorodnych i nieraz potwornych?

— Nie o tem mówimy. Chcę jedynie dowieść, iż pan sędzia postawił co do mnie diagnozę niesłuszną. Chcę dowieść, iż bakterje socjalizmu nie tknęły mnie zupełnie. Chcę dowieść również, iż właśnie pan sędzia ulega niszczącemu działaniu tych bakteryj. Co do mnie, jestem zdecydowanym przeciwnikiem socjalizmu, równie dobrze, jak przysięgłym wrogiem pańskiej półkrwi demokracji, która nie jest niczem innem, jak pseudo-socjalizmem, zamaskowanym płaszczkiem innej nazwy, co sprawdzić możemy w pierwszym lepszym słowniku.

Co do mnie, jestem reakcjonistą — reakcjonistą tak zawziętym, iż stanowisko moje pozostać musi niezrozumiałe dla ludzi żyjących we mgle kłamstwa naszego ustroju społecznego i nie posiadających wzroku dość silnego, by mgłę tę przeszyć. Ludzi pan siebie i słuchaczy, iż wierzy pan w przewagę silniejszego i w rządy siły. Ja zaś wierzę istotnie. Oto różnica. Kiedy byłem jeszcze pustym młodzikiem — dobre parę miesięcy temu — poglądy pańskie i pańskich adherentów wystarczały mi najzupełniej. Przekonałem się jednak, że rządzą nami w najlepszym razie tchórzliwi kupcy i handlarze, którzy przez wszystkie dni swoje grzebią i żerują przy korycie. Zrozumiawszy to, nabrałem poglądów — jeśli pan pozwoli — arystokratycznych. Jestem przy tym stole jedynym indywidualistą z przekonania. Nie cenię społeczeństwa jako takiego. Cenię jedynie człowieka silnego, pierwotnego ryce-

rza bez trwogi, który sam jeden może ocalić ustrój dzisiejszy od jego spróchniałej nicości.

Nietzsche miał rację — nie będę tracił czasu na wyjaśnianie panu, kim był Nietzsche. Dość, że miał rację. Świat należy do silnych, twierdził: do silnych, którzy są przytem szlachetni i nie lubują się w korycie. Świat należy do prawdziwych arystokratów, do potężnych *blonde Bestie*, co kompromisów nie znają i znają jedno tylko niewzruszone „tak”. I oni wyprą się was, socjalistów zatrwożonych socjalizmem i drapujących się w indywidualizm. Niska i chwiejna moralność niewolnicza nie zbawi was bynajmniej. O, wiem dobrze, że to wszystko brzmi jak niemieckie kazanie, i nie chcę już więcej trudzić tem panów. Ale proszę pamiętać jedno: w Oakland jest najwyżej pół tuzina indywidualistów, Martin Eden zaś jest jednym z nich.

Martin dał do zrozumienia, że pragnąłby uważać dyskusję za wyczerpaną, i zwrócił się do Ruth.

— Jestem dziś przemęczony nerwowo — rzekł półgłosem. — Chciałbym już móc milczeć i tylko kochać.

Udał, że nie słyszy słów pana Morse:

— Nie zostałem bynajmniej przekonany. Wszyscy socjaliści mają jezuickie sposoby dyskusowania. Trzeba im to przyznać.

— No, no, zrobimy jeszcze z pana dobrego republikanina — pocieszał się sędzia Blount.

— Rycerz bez trwogi przybędzie wcześniej — odparował Martin wesoło i zwrócił się ku Ruth.

Pan Morse jednak nie był zadowolony. W swoim przyszłym zięciu, którego poglądów nie uznawał, natury zaś nie pojmował — nie mógł też lubić oburzającego lenistwa i dziwnej niechęci do poważnej a przyzwoitej pracy. Wobec tego skrzył rozmowę na Spencera. Sędzia Blount sekundował mu zřęcznie, i oto Martin, który nastawił uszy przy pierwszej wzmiance o uwielbianym filozofie, musiał teraz wysłuchać poważnej choć pobłażliwej nagany, udzielanej Spencerowi przez czcigodnego męża. Pan Morse od czasu do czasu spoglądał na Martina, zdając się mówić oczyma: „Widzisz, mój chłopcze, widzisz“.

— To dopiero piły! — mruknął Martin i nie przestawał gawędzić z Ruth i Arturem.

Lecz cały dzień pracy i długie dyskusje poprzedniej nocy nadwyrężyły jego nerwy; przytem artykułik, przeczytany w tramwaju, wciąż jeszcze dokuczał nieznośnie.

— Co się stało? — zapytała nagle Ruth, zdumiona wyrazem twarzy Martina; widać było, że chłopak ostatnim wysiłkiem próbuje opanować uniesienie.

— Niemasz Boga prócz Niepoznawalnego, a Herbert Spencer jego prorok — recytował właśnie sędzia Blount.

Martin zwrócił się ku mówiącemu.

— Sądzę dość tani — wyrzekł spokojnie. — Słyszałem go po raz pierwszy w Parku Ratuszowym z ust robotnika, który powinienby lepiej wiedzieć,

co mówi. Odtąd słyszałem to niejednokrotnie i zawsze mierziła mnie beznadziejna płytkość tego popularnego „aforyzmu“. W gruncie rzeczy pan sędzia powinienby się rumienić, powtarzając coś podobnego. Imię tego wielkiego i szlachetnego człowieka na ustach pańskich jest niby kropla rosy w szafliku. Obrzydliwość!

Piorun uderzył w stół. Sędzia Blount miał taką minę, jakby za chwilę porazić go miał atak apopleksji. Zaległo niepokojące milczenie. Pan Morse cieszył się w gruncie rzeczy. Widział, że Ruth była zaskoczona i zgorszona. Tego właśnie pragnął: wydobyć wrodzoną brutalność z człowieka, którego nie lubił.

Palce Ruth błagalnie ścisnęły pod stołem rękę Martina, ale chłopaka krew już poniosła. Oburzała go do żywego bezczelność i pretensjonalność wielkich tego świata. Sędzia Sądu Najwyższego! Zaledwie parę lat temu patrzył z prochu na wyżyny tych nadętych nicości i miał je za półbogów.

Sędzia Blount zdołał się opanować i próbował zwrócić się do Martina z pewnym odcieniem grzeczności, przyobleczonej wyłącznie ze względu na obecność pań. To doreszty rozgniewało Martina. Więc już niema uczciwej szczeroci na świecie?!

— Nie może pan dyskutować ze mną na temat Spencera — zawołał. — Wie pan o nim akurat tyle, co niejeden z jego rodaków. Nie jest to zresztą pana wina, przyznaję. Taka już jest moda w tych przeraźliwie ignoranckich czasach. Zetknąłem się

nieraz z szeregiem ataków podobnych. Jadąc tutaj, czytałem artykuł Saleeby'ego o Spencerze. Powinienby pan to przeczytać. Dostępne dla wszystkich. Można kupić w każdej księgarni i pożyczyć w każdej czytelnicy. Zawstydyłby się pan, zestawivszy swoją bezbrzezną ignorancję w dziedzinie filozofji z sądami panu podobnych, zebranymi przez Saleeby'ego. To już jest rekord wstydu, który zdoleni byłby upokorzyć nawet wstyd pański.

„Mistrzem niedouczoney“ nazwał Spencera pewien filozof od akademickich rozważań, niegodny oddychać z Nim jednym powietrzem. Nie przypuszczam, żeby pan sędzia zechciał być poznać którą z książek Spencera, ale możemy się pocieszyć, że niejeden tak zwany fachowy krytyk, który nie przeczytał go również, publicznie zabierał głos i zapewniał czytelników, że w dziełach Spencera niema wogóle żadnej wartościowej myśli; w dziełach Spencera — człowieka, który wycisnął piętno swego genjuszu na całej dziedzinie myśli współczesnej i naukowych dociekań; Spencera — ojca psychologji, reformatora pedagogji; Spencera — według wskazań którego uczy się dziś czytać każde dziecko chłopskie we Francji. A rozmaite małoludki śmiały beczczyć pamięć wielkiego człowieka, żerując równocześnie na odpadkach jego myśli. Całą wartość swych drobnych zresztą umysłowości — jemu zawdzięczają w wielkiej mierze. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie prace Spencera, wszystko, co jest do-

rzeczne i prawidłowe w głowach tych papug, nie byłoby tam nigdy przeniknęło.

Drugi przykład: Pan Fairbank, największa figura w Oxfordzie, człowiek zajmujący stanowisko wielokrotnie wyższe niż pan, panie sędzio — uważa, iż Spencer zostanie uznany przez przyszłe pokolenia raczej jako marzyciel i poeta, niż jako myśliciel. Karły i ujadacze! „*Pierwsze zasady*“ nie są pozbawione pewnej wartości literackiej“ — wyrokuje jeden z nich. Inni zaś ośmielają się utrzymywać, że Spencer był raczej zdolnym plagjatorem, niż oryginalnym twórcą. O karły! Karły i ujadacze!

Martin urwał nagle pośród martwego milczenia. Wszyscy członkowie rodziny Morsów uważali sędziego Blounta za człowieka powagi i czynu. Wybuch Martina przejął ich zgrozą. Reszta obiadu minęła niby uroczystość pogrzebowa. Sędzia i pan Morse gawędzili półgłosem, inni rzucali od czasu do czasu słówko pełne przymusu. Po obiedzie między Ruth a Martinem doszło do gwałtownej sceny.

— Pan jest niemożliwy! — szlochała dziewczyna.

Uniesienie chłopaka dymiło jeszcze, więc mruknął tylko:

— Barbarzyńcy! Barbarzyńcy!

Kiedy zaś panienska poczęła karcić go, że ośmielił się obrazić sędziego Blounta, Martin rzucił ostro:—

— Mówiąc mu prawdę w oczy?

— Wszystko mi jedno, czy to była prawda — nastawała Ruth. — Istnieją pewne granice, których

się nie przekracza, i pan nie ma prawa nikogo obrażać.

— A więc, dłużej sędzia ma prawo obrażać prawdę? — zapytał Martin. — Przypuszczam, że większym grzechem jest obraza prawdy, niż obraza jakiegoś karła, co ośmielił się uwłaczać czci wielkiego a nieżyjącego człowieka. O barbarzyńcy, barbarzyńcy!

Ucichły gniew zawrzał w nim znowu. Panienska złąkla się nie na żarty. Pierwszy raz widziała Martina w takim podnieceniu, które zresztą wydało jej się równie niezrozumiałe jak niedorzeczne. A przecież poprzez jej trwogę prawdziwą biegły dreszcze uroku, który zawsze i nawet w tej chwili pociągał ją ku Martinowi, i który wreszcie kazał dziewczynie zbliżyć się cicho i ręce zarzucić w uniesieniu a bezwolnie na męską szyję. Ruth czuła się dotknięta i obrażona tem, co zaszło przy stole, a jednak, drżąc, leżała w ramionach Martina, który wciąż jeszcze szeptał: „Barbarzyńcy! Barbarzyńcy!“ I nie wysunęła się z tych ramion, kiedy powiedział: — Nie będę już siadał do waszego stołu, kochanie. Rodzina twoja nie lubi mnie, i nie chcę narzucać im swojej przykrej obecności. Zresztą ich obecność równie przykra jest dla mnie. Ba! Więcej niż przykra. I pomyśleć tylko, że ja w swojej bezbrzeżnej naiwności myślałem, że ludzie umieszczeni wysoko w hierarchji społecznej, mieszkający w pięknych domach i ongiś posyłani do szkoły, mają przez to samo jakąś wartość!



## R o z d z i a ł XXXVIII

— Chodź, pójdziemy na wiec! — mówił Brissenden, osłabiony jeszcze przez krwotok, który napadł go przed półgodziną; był to już drugi krwotok podczas ostatnich trzech dni. Nieodstępna szklanka whisky, z której pociągał łyk po łyku, tkwiła w drżącej ręce.

— A pocóż mi ten cały socjalizm? — zagadnął Martin.

— Gościom dozwolone są pięciominutowe przemowy — namawiał chory. — Wstawaj i idź! Powiedz im, dlaczego jesteś wrogiem socjalizmu, powiedz, co myślisz o nich i ich etyce. Ciśnij im w twarz Nietzsche'go i walcz o swoją wiarę. Poturbuj ich trochę, to dobrze zrobi. Zarówno ty, jak oni potrzebujecie starcia poglądów. Eh, stary, chciałbym cię widzieć socjalistą, zanim umrę. To jedno może ci dać rację i cel istnienia. To jedno może cię zbawić w czasach gorzkiego rozczarowania, które już nadchodzi.

— Nigdy nie mogę się dość nadziwić, że ty, ty właśnie, jesteś socjalistą — przeciwstawił się Martin. — Tak bardzo nienawidzisz tłumu. I cóż u licha

w całej tej hołocie podoba się tobie, tobie, este-to!? — wskazał szklankę, którą Brissenden napel-niał raz jeszcze. — Mam wrażenie, że nie socjalizm to służy ci za zbawienie.

— Chory jestem, bardzo chory, — brzmiała odpo-wiedź. — Ale ty, to rzecz inna. Jesteś zdrow, i życie przed tobą. Musisz się uzbroić, żeby jakoś dożyć. Dziwisz się, dlaczego jestem socjalistą? Zaraz ci wytłumaczę. Dlatego tylko, że socjalizm jest nieu-nikniony; dlatego, że obecny docna przegniły i irra-cjonalny ustrój nie może potrwać długo; dlatego, że zapóźno już na twego „rycerza bez trwogi“. Niewolnicy nie zechcą dlań pracować. Zbyt są liczni i, chcąc niechcąc, powalą wspaniałego jeźdźca, zanim zdoła wjechać w szranki. Nie ujdiesz im. Przeł-knąć musisz w całości moralność niewolniczego tłu-mu. Przyznaję, nie jest to smaczny kęsek. Ale na-warzyło się piwa i trzeba je wypić. Jesteś archidi-luwjalnym zabytkiem, razem z twoim Nietzschem. Przeszłość minęła nazawsze, i kłamie ten, kto twier-dzi, że historia się powtarza. Rzecz prosta, nie po-ciąga mię tłum, ale cóż mam począć, biedne czło-wieczysko? Twój „rycerz bez trwogi“ jest zgoła nieprawdopodobny, wolę zaś wszystko inne, niż dzi-siejsze panowanie tchórzliwych wieprzy. No, ale chodź, chodź, stary! Nie powinienem już pić; jeśli tu sam zostanę, wstawię się bez wątpienia. Wiesz przecie, co mówi lekarz, mój prześladowca? Mam ochotę wystrychnąć go na dudka.

Był to niedzielny wieczór, i małą salkę zapelnili

po brzegi miejscowi zwolennicy socjalizmu, przeważnie robotnicy. Mówca, jakiś bardzo inteligentny żyd, wzbudził w Martinie podziw, a równocześnie zaostrzył jego antagonizm. Chude, zgarbione plecy i zapadła pierś tego człowieka świadczyły wyraźnie o jego pochodzeniu z niewolniczego tłumu, i przed oczyma Martina wyrosła odrazu wiekuista historja słabych, występnych niewolników, buntujących się przeciw pańskiej mocy człowieka o silnych rękach, który panował nad tłumem zawsze i panować będzie po wiek wieków. To mizernie wyrosłe stworzenie ludzkie wydało się Martinowi symbolem, symbolem całych litości godnych rzesz słabych nędznych i wydziedziczonych, co zgodnie z odwiecznymi prawami natury giną w śmiertelnych zapasach o życie. To odpadki. I niezależnie od ich sprytnej filozofji, od ich zrodzonej wbrew woli skłonności do współdziałania, odrzuca ich Natura, wyróżniając człowieka silnego. Z nieskończonego obfitego posiewu życia, który rzuca w swej hojności, przyroda wybiera jedynie ziarna najlepsze. Czyni to w podobny sposób jak człowiek, co naśladując ją, hoduje rasowe konie i szlachetne gatunki melona. Bez wątpienia nie zaszkodziłoby, gdyby Stworzyciel kosmosu wybrał był metodę lepszą; ale stworzenie, żyjące w danym świecie, zgodzić się musi z rządzącymi nim prawami. Rzecz prosta, ofiary, ginące w walce o byt, skarżą się i protestują wniebogłose tak, jak czynią to wszyscy socjaliści, jak czyni mówca i jego tłumni a podnieceni słuchacze, nawet w tej chwili, kiedy

zgromadzili się, by radzić o nowych sposobach ułatwienia ciężkiego żywota i oszukania praw natury.

Tak myślał Martin i tak właśnie przemówił, kiedy Brissenden zmusił go, żeby „zadał im bobu“. Podszedł do estrady i, wedle zwyczaju, zwrócił się do przewodniczącego. Mówić począł cicho, beznamietnie, wstrzemięźliwie, porządkując myśli, zrodzone w czasie przemówienia żyda. Każdemu mówcy udzielano na meetingach zaledwie pięciu minut, Martin jednak po pięciu minutach był właśnie w pełnym biegu, doprowadziwszy zaledwie do połowy atak swój na socjalizm. Zdolał jednak wzbudzić zainteresowanie sali, która przez akłamację zażądała, by przewodniczący przedłużył Martinowi czas przemówienia. Publiczność uznała widocznie, że ma przed sobą godnego współzawodnika, słuchała więc z napięciem, bacząc na każde słowo. Martin mówił gorąco i z przekonaniem, nie łagodząc bynajmniej ataków na niewolników, moralność ich i taktykę. Wyznawał też bez ogródek, że właśnie zebranych tu uważa za helotów. Przytaczał Spencera i Malthusa, szkicował biologiczne prawa rozwoju.

— Tak więc — kończył, reasumując skwapliwie — żadne społeczeństwo, złożone z niewolników, nie może być trwałe. Stare prawo rozwoju nie przestanie istnieć. W walce o byt, jak wykazałem, silny i potomstwo silnego ma szanse zwycięstwa, słaby zaś i potomstwo słabego, może jedynie niszczyć i ginąć. W rezultacie wyłącznie silny i jego potomstwo utrzymują się przy życiu, to też siła każdego

pokolenia wzrasta, dopóki trwa wyścig i walka. Oto jest ewolucja. Wy zaś, niewolnicy — smutno jest być niewolnikiem, przyznaję — marzycie o społeczeństwie, w którym prawa ewolucji przestałyby istnieć, w którym słabi i nierozwinięci nie ginęliby w walce, w którym każdy obywatel miałby prawo jeść cały dzień, i wreszcie wszyscy silni i słabi kojarzyliby się i rozmnażali dowoli. I cóż z tego wyniknie? Przestanie wzrastać siła i wartość życiowa pokoleń. Przeciwnie, zaczną się zmniejszać. Oto jest nieubłagana Nemezys waszej filozofji niewolnictwa. Wasze społeczeństwo niewolników musi słabnąć, kruszyć się i wreszcie rozsypać, tak jak życia istot, co je tworzyć mają, rozkruszą się i zmarnieją. Zważcie, mówię o prawach przyrody, nie o sentymentalnej etyce. Społeczeństwo niewolników trwać nie może.

— A cóż pan powiesz o Stanach Zjednoczonych? — rozległ się okrzyk z widowni.

— O Stanach? Bardzo proszę! — zawołał w odwet Martin. — Trzyście kolonij zrzuciło jarzmo swoich władców i utworzyło tak zwaną Republikę. Niewolnicy stali się panami samym sobie. Innych panów nad tłuszczą nie było. Nie mogliście jednak obyć się bez takich lub innych władców i przyjęliście pięć nowych panów, co powstałi z pośród was samych, już nie wielkich, dzielnych, szlachetnych ludzi, lecz chytrych a przewrotnych handlarzy i lichwiarzy. Ci owdąnęli wami na nowo — lecz nie

otwarcie i szczerze, przemocą wydobytej broni, jak uczyniliby rycerze bez trwogi i zdrady, lecz skrycie, tajemnie, pochlebstwem, kłamstwem, oplątując w sieci jak pająki. Kupili waszych niewolników-sędziów, obalamucili waszych niewolników-prawodawców, wymyślili okrucieństwa straszliwsze niż dawne niewolnictwo dla waszych synów i córek. Dwa miliony waszych dzieci pracuje dzisiaj ciężko w tej oligarchji handlarzy, zwanej Stanami Zjednoczonymi. Dziesięć milionów was, niewolników, chodzi w strzępach i przymiera głodem.

Wracajmy jednak do punktu wyjścia. Starałem się wykazać kruchość niewolniczego społeczeństwa, gdyż społeczeństwo takie żyćby musiało wbrew prawom przyrody. Już w chwili powstania poczęłoby chylić się ku upadkowi, zawierając w samym sobie bakterje rozkładu. Łatwo jest przeczyć prawu ewolucji, ale gdzież jest inne prawo przyrody, co podeprze waszą budowlę? Sformułujcie je. Może już sformułowane? Proszę, słucham.

Martin schodził z estrady pośród nieopisanego zgiełku. Kilkunastu mężczyzn zerwało się z krzeseł i natarczywie domagało głosu. I kolejno jeden po drugim, z entuzjazmem i wściekłą gestykulacją odpierali atak intruza, zachęcani namiętnymi oklaskami widzów. Był to wieczór szalony szaleństwem umysłów, dzika walka o idee. Niektórzy mówcy traktowali rzecz ogólnie, zasadniczo, większość jednak wręcz odpowiadała Martinowi. Bili weń policzkami nowych myśli i sformułowań, i otwierali mu

dalekie perspektywy nie nowych praw przyrody, lecz nowego zastosowania praw starych. Traktowali rzecz zbyt serjo, żeby zastanawiać się nad grzecznością, to też przewodniczący kilkakrotnie przywoływać ich musiał do porządku.

Przypadkowo na widowni znalazł się jakiś młody reporterzyna, wysłany zapewne przez jakieś żądne nowin i sensacyj pisemko. Nie był to żaden znakomity reporter, ale chłopak dość gładki i pełen tupetu, nie tak jednak naiwny, żeby zbyt uważnie przysłuchiwać się dyskusji. Napawał się zresztą wygodnem złudzeniem, że sam stokrotnie przerasta tych gadatliwych manjaków z proletariatu. Przytem żywił niezbędny respekt dla możnych świata, co z wyżyn swoich dyktują nakazy narodom i prasie. Wreszcie, posiadał pewien ideał: osiągnąć doskonałość prawdziwego reportera — zrobić coś, a nawet wielkie coś — z niczego.

Niebardzo wiedział, o czem mówiono. Ale to nie szkodzi. Usłyszane słowo „rewolucja“ dało mu klucz do prawdy. Niby paleontolog, co potrafi odbudować cały szkielet z jednej małej kostki — reporterzyna zdolny był zrekonstruować całą mowę ze słowa „rewolucja“. Uczynił tak owego wieczora, a starał się usilnie. Ponieważ zaś wystąpienie Martina narobiło najwięcej hałasu, Martinowi więc przypisał duchowe przewodnictwo zebrania, uczyniłszy główną osobę widowiska arcy-anarchistą i zmieniwszy jego reakcyjny indywidualizm na najczerwieńszy, najbardziej zaciekle propagowany so-



cjalizm. Młody reporter był artystą, zamaszystym więc pędzlem podmalował tło rodzajowe: dzikookich, długowłosych mężczyzn, zdegenerowane typy neurasteników, głosy drżące namiętnością, pięści wzniesione do ciosu, a wszystko to przeplecione krzykiem, wyciem, obelgami i przekleństwami rozjuszanej tłuszczy.

## R o z d z i a ł   X X X I X

Nazajutrz przy śniadaniu przeglądał Martin poranną gazetę. Na czele pierwszej strony natrafił na własne swoje nazwisko, wydrukowane ogromnemi, tłustemi czcionkami. Wrażenie było nowe i niespodziewane. Niemniej niespodziewana była wiadomość, że jest najpopularniejszym przywódcą miejscowych socjalistów. Przeczytał pośpiesznie namiętne przemówienie, włożone w jego usta przez młodego reporterzynę; z początku chwycił go gniew na niedorzeczne insynuacje, po chwili jednak zmiął gazetę i odrzucił ze śmiechem.

— Pijany był, albo djabelnie złośliwy — odezwał się popołudniu Martin ze swego gniazda na łóżku, kiedy Brissenden wszedł i runął ciężko na krzesło.

— Czy ci nie wszystko jedno? — zapytał gość. — Nie przypuszczam, żebyś dbał specjalnie o opinie filistrów, czytających dzienniki.

Martin pomyślał chwilę, poczem odrzekł:

— Nie; w gruncie rzeczy nie dbam ani trochę. Z drugiej jednak strony może to utrudnić w znacznej mierze stosunki moje z rodziną Ruth. Ojciec jej twierdził zawsze, że jestem socjalistą, a to nędzne piśmidło przypieczętuje jego przekonanie.

Nie o to idzie, czy dbam o opinię, ale wogóle dlaczego? poco? No, przeczytam ci dzisiejszą robotę. Jestem właśnie w połowie „*Spóźnionego*“.

Zaczął czytać głośno, kiedy nagle Marja otworzyła drzwi i wprowadziła nieznanego młodego człowieka o bystrem spojrzeniu i czyściutko wypolowanej aparycji. Wzrok jego odnalazł najpierw nąftówkę i kuchenkę, potem dopiero padł na Martina.

— Proszę siadać — odezwał się Brissenden.

Martin posunął się, robiąc gościowi miejsce na łóżku, i czekał na wyjaśnienie sytuacji.

— Słyszałem mowę pańską zeszłego wieczora, panie Eden, i przyszedłem prosić o interview — zaczął gość.

Brissenden parsknął serdecznym śmiechem.

— Towarzysz socjalista? — zagadnął reporter, obrzucając Brissendena szybkim spojrzeniem, które zdawało się badać kolorystyczną wartość tego pół-człowieka, pół-trupa.

— Aha, to on napisał artykuł o mnie — odezwał się łagodnie Martin. — Dzieciak jeszcze!

— Czemuż go nie szturchniesz, jak należy — pytał Brissenden. — Dałbym z tysiąc dolarów, żeby mieć w tej chwili swoje dawne płuca i pięści.

Reporterzynę zmieszała nieco ta głośna rozmowa o nim i przy nim, choć ponad jego głowę prowadzona. Ponieważ jednak w redakcji pochwalono go za efektowny opis wiecu socjalistów i polecono w dalszym ciągu zdobyć osobisty wywiad u Martina Edena, przywódcy zorganizowanych mocy piekielnych,

grożących społeczeństwu — młodzieniec czuł się odkomenderowany służbowo i nie spuszczał z tonu.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko zdjęciu, panie Eden? — zapytał. — Fotograf redakcyjny czeka przed domem i uważa, że lepiej byłoby zrobić zdjęcie teraz, dopóki słońce jest wysoko. Porozmawiać zdążymy później.

— Fotograf, — rozważał zwolna Brissenden. — Dajże mu choć raz, Martin — no, dalej!

— Zestarzałem się już widocznie — brzmiała odpowiedź. — Wiem, że należałoby, ale właściwie nie chce mi się. Prostu nie warto.

— Jego matka byłaby ci prawdziwie obowiązana — jęknął Brissenden.

— Nie jest to argument bez znaczenia — odrzekł powoli Martin. — Ale gra nie warta świecy. Nie chce mi się mobilizować energii, — a przyznasz, że potrzeba nieco energii, żeby należycie wyboksować gościa. A zresztą, naco to się przyda?

— Wyśmienicie, z tej właśnie strony należało przystąpić do rzeczy — oświadczył młody człowiek swobodnie, chociaż zaczął już ukradkiem poglądać ku drzwiom.

— Przecież ani słowa prawdy nie było w tem, co napisał — ciągnął Martin, zwracając się wyłącznie do Brissendena.

— O poprostu ogólnikowy opis, pan rozumie — zaryzykował żółtodziób; — pozatem zaś, jest to dla pana świetna reklama. To ma zawsze swoją wartość. To panu doskonale zrobi.

— Świetna reklama, zauważ Martin, stary chłopie — powtórzył uroczyście Brissenden.

— I doskonale mi to zrobi, uważasz — odrzekł Martin.

— A więc, panie Eden... pan pozwoli.... miejsce urodzenia? — zagadnął młodzieniec, przybierając wyraz natężonej uwagi.

— Widzisz, nawet nie notuje — odezwał się Brissenden. — Wszystko zapamięta...

— Wystarcza mi słyszeć. — Gość ukrywał rosnące zmieszanie. — Żaden wykwalifikowany reporter nie ma potrzeby obciążania się notatkami.

— Wystarczyło istotnie... zeszłego wieczoru. — Brissenden jednak, nie wyznając kwietyzmu, nagle i ostro zmienił ton: — Słuchaj, Martin, jeśli natychmiast nie wyboksujesz tego smarkacza, zrobię to na własną rękę, choćbym miał zaraz potem paść trupem.

— Myślisz, że tęgi klaps dobrze zrobi? — zapytał Martin.

Brissenden rozważył kwestję, poczem skinął głową.

W chwilę potem Martin siedział już na brzegu łóżka, trzymając między kolanami reporterzynę twarzą wdół.

— No, tylko proszę nie kasać — ostrzegł Martin, — inaczej musiałbym zająć się również buzią. A wielka byłaby szkoda! Taka ładna twarzyczka.

Wzniesiona ręka Martina opadła wdół, poczem wznosić się i opadać poczęła jednostajnym ryt-

mem. Żółtodziób wyrywał się, kłął i popiskiwał, ale kasać nie próbował.

Brissenden patrzył z powagą i spokojem, lecz wreszcie wzburzył się, chwycił za butelkę whisky i zawołał: „Dajno i mnie choć raz!“

— Niestety, już mi się ręka zmęczyła — rzekł Martin, rozluźniając wreszcie kleszczy. — Całkiem do niczego.

Podniósł szczeniaka i posadził na łóżku.

— Cze... czekajcie, zaaresztuję was zato! — buntował się uwolniony, ze łzami chłopięcego oburzenia na rozognionych policzkach. — Odpokutujecie wy za swoje! Zobaczycie!

— Ładna historia! — zauważył Martin. — Malec nie zdaje sobie widocznie sprawy, że wszedł na śliską ścieżkę. Przecież jest nieuczciwie, nierzetelnie, nie po męsku nafabrykować kłamstw o swoim bliźnim; on to zrobił i wcale o tem nie wie.

— Właśnie przyszedł do nas, żeby się dowiedzieć — dorzucił Brissenden po chwili.

— Tak jest; przyszedł do mnie, którego oczernił i obraził. Że sklepiki odmówią mi teraz kredytu — głupstwo. Ale najgorsze jest to, że biedny malec pójdzie po raz obranej drodze, dopóki nie zostanie dziennikarzem pierwszej klasy, a co zatem idzie, szelmą pierwszej klasy.

— O, jeszcze pora zawrócić — pocieszał Brissenden. — Kto wie? Może ty właśnie przeznaczony mu zostałeś, jako narzędzie zbawienia. Eh, dlaczego nie pozwoliłeś mi dać chociażby jednego klapsa! Ja

również rad byłbym przyłożyć ręki do dzieła nawrócenia.

— Każę was zaaresztować obu, wy, drapieżniki, barbarzyńcy! — lkała zbłąkana dusza.

— Nie, doprawdy, cóż za delikatne i piękne usteczka! — Martin żałośnie pokiwał głową. — Obawiam się, że naopróżno sforsowałem sobie rękę. Młodzieniec nie jest do nawrócenia. Wielkie stanowisko dziennikarskie — zapewnione. Sumienia — ani krzty. To jedno wystarczy do zrobienia kariery.

Podczas tych słów reporterzyna wycofał się ku drzwiom, poglądając trwożliwie, czy też Brissenden nie zdzielił go po plecach butelką, z którą się nie rozstawał.

Nazajutrz w porannej gazecie wyczytał Martin o sobie wiele rzeczy nowych i zajmujących. „Jesteśmy przysięgłymi wrogami społeczeństwa“ — cytowano jego słowa w kolumnowym wywiadzie. „O, nie, nie jesteśmy anarchistami, lecz socjalistami“. Kiedy zaś reporter spróbował zaznaczyć, iż różnica między temi dwoma szkołami wydaje mu się nader mała, Martin Eden wzruszył ramionami na znak milczącego potwierdzenia. Twarz jego opisana została jako niesymetryczna i nosząca wyraźne piętno zwyrodnienia. Szczególnie godnemi uwagi były potwornie wielkie ręce i ogniste błyski w krwią nabiegłych oczach.

Dowiedział się również Martin, iż co wieczór przemawiał do robotników w Parku Ratuszowym, oraz, że pośród agitatorów anarchistycznych, co za-



palają umysły ludu, on właśnie jest najpopularniejszy, zaś jego mowy najbardziej wywrotowe. Szczeniak-reporter odmalował jaskrawo wewnątrz ubogiej izdebki, maszynkę naftową, jedyne krzesło i jedynego przyjaciela, włączę o trupiej twarzy, który wygląda, jak gdyby przed chwilą zakończył karę dwudziestoletniego ciężkiego więzienia.

Szczeniak był zmyślny. Węszył, gdzie mógł, i wywęszył stosunki rodzinne Martina, sprokurowawszy sobie nawet fotografię sklepu spożywczego imię Higginbothama, ozdobioną podobizną właściciela w całej jego okazałości. Gentleman ten przedstawiony był jako inteligentny, godny szacunku kupiec, który brzydzi się wywrotowymi poglądami szwagra i nim samym, scharakteryzował Martina jako leniucha, co źle skończy, gdyż nie raczył przyjąć pracy, kiedy mu ją proponowano. Herman von Szmidt, mąż Marian, również zaszczycony został wywiadem. Nazwał Martina parszywą owcą w rodzinie i wypierał się wszelkiej znajomości. — Próbował mnie nabierać, ale go odrazu odstawił — oświadczył von Szmidt reporterowi. — Już tu teraz do mnie ani zajrzy. Człowiek, co nie chce pracować, to, uważa pan, nic nie wart i już.

Tym razem Martin rozgniewał się nie na żarty. Brissenden patrzył na całą sprawę, jako na dobry kawał, nie potrafił jednak uspokoić Martina. Chłopak wiedział zbyt dobrze, jak trudno będzie wytłumaczyć się pannie Ruth. Pewien był również, iż pan

Morse uszczęśliwiony jest z obrotu rzeczy i uczyni, co potrafi, żeby zerwać zeręczyny. A jak wiele potrafił — przekonać się miał Martin niezwłocznie. Popołudniowa poczta przyniosła list od Ruth. Martin otworzył go, drżąc w przeczuciu katastrofy, i odczytał, stojąc w otwartych drzwiach, tak, jak go był dostał z rąk listonosza. Czytał, a ręka odruchowo przetrząsała kieszeń kurtki, szukając tytoniu i bibułki, niby za dawnych dobrych czasów. Nie zdawał sobie sprawy, że kieszeń jest pusta, nie wiedział nawet, że wogóle czegoś szuka.

List nie był gniewny. Ani złości, ani wykrzykników. Tylko w każdym zdaniu, od pierwszego do ostatniego, dźwięczał ból i rozczarowanie. Spodziewała się po Martinie czegoś lepszego. Przypuszczała, że wyrósł już ze swojej młodzieńczej dzikości; przypuszczała, że miłość jej, Ruth, warta była tego, żeby zacząć żyć poważnie i rozsądnie. Obecnie rodzice postawili się ostro i zażądali kategorycznie zerwania zaręczyn. Ona ze swej strony nie może nie uznać słuszności ich rozkazu. Związek z Martinem nie mógłby nigdy być szczęśliwy. Niefortunny był zresztą od samego początku. Jeden jedyny wyrzut przedarł się przez słowa listu, ale jakżeż dla Martina gorzki! „Gdybyż pan zgodził się być na przyjęcie jakiegokolwiek bądź posady i spróbował zrobić coś ze siebie, dojść do czegoś!” — pisała panna. „Ale to było niemożliwe. Przeszłość pana zbyt była burzliwa i niezrównoważona. Rozumiem, iż w gruncie rzeczy potępić pana nie można. Mógł

pan postępować jedynie zgodnie z wrodzonymi skłonnościami i nabytem przyzwyczajeniem. Więc nie potępiam bynajmniej. Proszę pamiętać. Poprostu zaszła omyłka. Zdaniem moich rodziców, nie byliśmy dla siebie stworzeni i, na szczęście, przekonaliśmy się o tem w porę...” „Proszę nie próbować mnie widzieć — kończyła panienka — spotkanie byłoby ciężkie dla nas obojga, dla mojej matki również. Czuję, że przyczyniłam jej zbyt dużo przykrości i troski. Będę potrzebowała wiele czasu i wysiłku, żeby to złagodzić”.

Martin odczytał cały list uważnie po raz drugi, poczem zasiadł i odpisał. Naszkicował uwagi, które wypowiedział był na wiecu socjalistów, podkreślając, iż były one przeciwieństwem tego, co gazety włożyły mu w usta. Pod koniec listu jednak stał się chłopak znów tylko „bogów kochankiem szalonym”, namiętnie wołającym o miłość. „Odpisz“, prosił, „i powiedz mi jedno tylko: czy kochasz? Oto wszystko. Na to jedno pytanie odpowiedz!”

Odpowiedź jednak nie nadeszła ani nazajutrz, ani dnia następnego. „*Spóźniony*“ leżał nietknięty, codziennie zaś rosła pod stołem góra rękopisów. Po raz pierwszy w życiu zawiodła Martina wspaniała zdolność spania; bezsenność dręczyć poczęła w długie, niespokojne noce. Trzykrotnie próbował dotrzeć do państwa Morse, ale lokajowi zabroniono go wpuszczać. Brissenden leżał w swoim pokoju hotelowym chory i zbyt słaby, żeby wyrzeć na świat, i chociaż

Martin odwiedzał go często, nie śmiał przecież niepokoić swemi troskami.

Trosk bowiem miał niemało. Postępek szczeniaka-reportera zatoczył szersze kręgi, niż przewidzieć było można narazie. Sklepikarz-portugalczyk odmówił dalszego kredytu, zieleniarz zaś, Amerykanin, dumny ze swej przynależności państwowej, nazwał Martina zdrajcą ojczyzny i odmówił wszelkich dalszych z nim stosunków — posuwając patryjotyzm swój aż do tego, że zniszczył cały rachunek Martina i zabronił mu nawet zgłaszać się kiedykolwiek z zapłatą. Plotki i pogwarki sąsiedzkie odzwierciadlały ten sam nastrój; oburzenie rosło szybko. Nikt nie chciał mieć nic wspólnego ze zdrajcą socjalistą. Biedna Marja pełna była trwogi i zwątpienia, lecz pozostała lojalna. Dzieciaki z sąsiedztwa ocknęły się z nabożnej czci, wywołanej ongiś pojawieniem wspaniałego powozu, i z bezpiecznej odległości przezywały Martina „włóczęgą“ i „nicponiem“. Ród Silvy jednak bronił zawzięcie lokatora, przyjąwszy niejedną krwawą bójkę za jego honor, wobec czego podbite oczy i zakrwawione nosy stały się zjawiskiem codziennem, ku większemu jeszcze pomnożeniu utrapień Marji.

Razu pewnego spotkał Martin Gertrudę na ulicy i dowiedział się — w co zresztą nie wątpił — iż Bernard Higginbotham był nań wściekły za zhańbienie rodziny w oczach świata i że wymówił mu dom.

— Dlaczego nie wyjedziesz, Martin? — pytała

blagalnie siostra. — Wyjedź, weź jaką robotę i ustal się gdziekolwiek. Zczasem, kiedy tu ucichnie, będziesz mógł wrócić.

Martin potrząsnął głową, ale nie próbował nic wyjaśniać. Jakżeż to można wytłumaczyć? Przerażała go przepaść, rozwartą między nim a krewnymi. Nie zdoła nigdy przekroczyć jej i dać pojęć własnego stanowiska nietzscheańskiego wobec socjalizmu. W języku świata nie istniały słowa zdolne wytłumaczyć tym ludziom zarówno poglądy jak postępowanie Martina. Ich najwyższy imperatyw w stosunku do prześladowanego brzmiał: wziąć posadę. Oto było pierwsze i ostatnie słowo. Zamykało świat cały. Zabrać się do roboty! wziąć posadę! Biedni, głupi niewolnicy! — myślał chłopak, słuchając rad siostry. Nic dziwnego, że świat należy do silnych. Niewolników gnębi ich własna niewolniczość. Posada, — oto złoty cielec, któremu składają hołd, padając na twarz.

Raz jeszcze potrząsnął głową, gdy Gertruda proponowała mu trochę pieniędzy, chociaż wiedział, że w dniach najbliższych czeka go wędrówka do lichwiarza.

— Nie pokazuj się teraz Bernardowi na oczy — upominała siostra. — Przyjdź dopiero za kilka miesięcy, jak stary ochłonie; jeślibyś chciał, mógłbyś się zgodzić u nas do jeżdżenia furgonem po towary. A jeśli będziesz mnie potrzebował, zawsze możesz przysłać! Ja przylecę! Nie zapomnij.

Odeszła, popłakując głośno, chłopak zaś poczuł

gorzkie ściśnięcie serca na widok jej ociążałej postaci i niezdarnych ruchów. Im dłużej zaś patrzył, tem wyraźniej chwiała się misternie skonstruowana budowla nietzscheanizmu. W abstrakcji „klasa niewolników“ mieściła się doskonale. Nie zadowalniała jednak, kiedy chodziło o własną rodzinę... A przecież, jeśli istniał niewolnik zgniebiony przez silniejszego, niewolnikiem tym była właśnie jego siostra Gertruda. Gorzko i dziko roześmiał się z paradoksu. Ładny mi wyznawca Nietzschego, jeśli pozwala, żeby potężna struktura pojęć zachwiała się od jednego podmuchu sentymentu — ech, od oddechu tejże moralności niewolniczej, albowiem właśnie moralnością niewolniczą była jego litość dla siostry. Prawdziwie silny człowiek stanąć powinien ponad litością i współczuciem. Litość i współczucie poczęte zostały w przyziemnych norach niewolnictwa i były jedynie przedśmiertnym potem nędznego tłumu słabych.



## R o z d z i a ł X L

„*Spóźniony*“ wciąż jeszcze leżał nietknięty. Wszystkie inne pozwracane rękopisy poniewierały się pod stołem. Jedna tylko „*Efemeryda*“ Brissendena kursowała jeszcze. Rower i czarne ubranie Martina były znowu u lichwiarza, właściciel zaś maszyny do pisania coraz natarczywiej upominał się o należność. Drobiazgi te nie obchodziły przecież Martina. Zaprzątnięty był poszukiwaniem nowego stosunku do świata. Dopóki nie znajdzie — życie stać musi na martwym punkcie.

Po kilku tygodniach to, naco czekał — stało się nareszcie. Na ulicy spotkał Ruth. Co prawda towarzyszył jej Norman i co prawda oboje starali się nie zauważyć Martina, Norman próbował nawet nie pozwolić mu podejść.

— Jeśli pan ośmielisz się napastować moją siostrę, przywołam policję — groził Norman. — Ruth nie życzy sobie z panem mówić, a natarczywość pańska jest obelgą.

— Jeśli pan masz zamiar mi przeszkadzać, istotnie nie pozostaje nic innego, jak przywołać policję, ale wtedy nazwisko państwa trafi do gazet — odrzekł Martin ostro. — A teraz proszę ustąpić z dro-



gi i iść po policję, jeśli wola. Będę rozmawiał z Ruth.

— Chcę usłyszeć to z własnych ust pani — zwrócił się do dziewczyny.

Stała blada i drżąca, lecz pewna siebie; spojrzeniem rzuciła mu pytanie.

— To, o co pytałem w liście — nastawał.

Norman poruszył się niecierpliwie, lecz Martin wstrzymał go bystrym rzutem oka.

Potrząsnęła głową.

— Czy wszystko stało się z własnej pani woli? — pytał jeszcze.

— Tak jest — mówiła głosem niskim, cichym, stanowczym, pełnym rozwagi. — Z mojej własnej woli. Pan skompromitował mnie tak bardzo, że wstyd mi pokazać się ludziom. Imię moje jest dziś na ustach wszystkich, wiem o tem. To tylko moge powiedzieć. Unieszczęśliwił mnie pan, i nie chcę pana znać i widzieć.

— Ludzie! Plotki! Nieporozumienia gazetarskie! Czyż to wszystko silniejsze jest od miłości? Pozostaje mi tylko uwierzyć, że nigdy nie byłem kochany.

Nagły rumieniec zmiotł bladość lic.

— Po wszystkim, co zaszło pomiędzy nami? — wyrzekła cicho Ruth. — Martin, pan chyba nie rozumie, co mówi. Nie jestem przecież jakąś...

— Widzisz pan przecie, że siostra nie chce mieć z panem nic wspólnego — wybuchnął Norman, ruszając naprzód wraz z panną.

Martin stanął na uboczu, patrzył, jak odchodzili, i nieświadomie szukał w kieszeni tytoniu i bibułki, których tam od tak dawna nie było. Długa jest droga do północnego Oakland, lecz dopiero wszedłszy na schody i zamknąwszy się w swoim pokoju, Martin zrozumiał, że przeszedł ją pieszo. Siedział oto na brzegu łóżka i patrzył przed siebie jak przebudzony lunatyk. Zauważył rękopis „*Spóźnionego*“, leżący na stole, przysunął sobie krzesło i wziął za pióro. Uległ wrodzonemu dążeniu do wszelkiej skończoności. Miał oto przed sobą coś niedokończonego, co odłożył dla zakończenia czegoś ważniejszego. Obecnie owo ważniejsze zostało zakończone, i oddać się należy temu oto rozpoczętemu dziełu — aż do jego końca. Co zrobi potem — Martin nie wiedział. Wiedział jedynie, że osiągnął w życiu jakiś moment kulminacyjny, dotarł do jakiegoś punktu zwrotnego, i że przebyć go należało po męsku — w pracy. Nie ciekaw był przyszłości. Zdąży jeszcze zbyt wcześnie dowiedzieć się, co mu tam przeznaczono. Cokolwiek było — było obojętne. Jak wszystko zresztą, jak wszystko.

Przez pięć dni pracował zawzięcie nad „*Spóźnionym*“, nigdzie nie wychodząc, nikogo nie widując, odżywiając się nędznie. Szóstego dnia rano listonosz przyniósł mu cienką kopertę z redakcji „*Parthenonu*“. Rzut oka wystarczył: „*Efemeryda*“ została przyjęta. „Daliśmy rękopis do przeczytania panu Cartwright Bruce — pisał redaktor — ocena zaś jego wypadła tak pomyślnie, że poemat przyj-

mujemy natychmiast. Dowodem naszej skwapliwej radości niechaj służy fakt, iż „*Efemerydę*“ przeznaczylśmy do sierpniowego numeru, ponieważ lipcowy był już złożony. Za łaskawem pośrednictwem pana pozwalamy sobie oświadczyć panu Brissendenowi wdzięczność naszą i uznanie. Prosimy o jak najspieszniejsze przysłanie jego fotografji i danych biograficznych. Jeśli honorarjum nasze jest niedostateczne, zechciej pan natychmiast telegraficznie oznaczyć warunki“.

Ponieważ przesłane honorarjum wynosiło trzysta pięćdziesiąt dolarów, Martin uważał, że telegrafować nie warto. Pozatem, należało jeszcze otrzymać zgodę autora. Cóż, ostatecznie Brissenden nie miał racji. Są widocznie redaktorzy, znający się na prawdziwej poezji. Honorarjum było również wspa-  
niałe, nawet za poemat jaki zdarza się raz na sto lat. Cartwright Bruce zaś — wiedział Martin — był jedynym krytykiem w Stanach, dla którego Brissenden żywił pewien szacunek.

Martin udał się tramwajem do centrum miasta i, patrząc na migające przed oczyma domy i przecznice, nie mógł opanować żalu, że nie potrafi już cieszyć się powodzeniem przyjaciela, ani własnem zwycięstwem. Jedyny poważny krytyk w Stanach wyraził się pochlebnie o „*Efemerydzie*“, Martin zaś dowiódł swego twierdzenia, iż prawdziwe dzieło sztuki wywalczy sobie drogę. Lecz źródło entuzjazmu bić przestało, i Martin czuł więcej niepokoju przed zobaczeniem Brissendena, niż radości z powo-

du dobrych nowin. List z redakcji przypomniiał mu, że przez pięć dni, poświęconych „*Spóźnionemu*“, nie słyszał nic o Brissendenie, ani nawet nie myślał o nim. W tej chwili dopiero zrozumiał Martin, jak bardzo pochłonięty był sobą, i poczuł wstyd, że zapomniiał o przyjacielu. Lecz nawet wstyd nie palił go już mocno.

Nie reagował na żadne wrażenia z wyjątkiem wrażeń artystycznych, żywych jeszcze przy pracy nad „*Spóźnionym*“. Wobec wszelkich spraw innych zachowywał się niby pogrążony w śnie hypnotycznym. Jechał również jak półuśpiony. Życie, przecinane pędem elektrycznego wagonu, zdawało się Martinowi dalekie i mgliste, i gdyby nawet wielkiej kamiennej dzwonnicy mijanego kościoła spodobało się nagle rozsypać w proch — Martin nie odczułby zapewne zbyt mocnego zdziwienia ani przerażenia.

Przybywszy do hotelu, poszedł na górę do Brissendena, lecz prędzej jeszcze zdążał nadół. Pokój był pusty. Rzeczy ani śladu.

— Czy pan Brissenden nie zostawił swego adresu? — rzucił Martin portjerowi, który przez chwilę przyglądał mu się ciekawie.

— Czyż pan nie wie o niczem? — zapytał.

Martin potrząsnął głową.

— Jakto, przecież gazety były tego pełne. Znalezione go nieżywego w łóżku. Samobójstwo. Przestrzelił sobie czaszkę.

— Czy już po pogrzebie? — Martin usłyszał swój głos niby cudzy, dochodzący zdaleka.

— Nie. Ciało odwieziono statkiem na wschód po dopełnieniu formalności. Zajął się tem adwokat, przysłany przez rodzinę.

— Pośpieszyli się, — mruknął Martin.

— O, nie. Minęło już pięć dni.

— Pięć dni?

— Tak jest, pięć dni.

— A! — wyrzekł Martin, odwracając się i wychodząc.

Na rogu ulicy zaszedł do filji telegrafu i zadeszował do „*Partenonu*“, zezwalając na druk „*Ephemerydy*“. Miał w kieszeni tylko pięć centów na tramwaj powrotny, więc depeszę wysłał płatną przez adresata. Znalazłszy się w swoim pokoju, powrócił natychmiast do pisania. Mijały dni i noce — Martin siedział przy stole i pisał. Odwiedzał tylko lichwiarza, jadał systematycznie, jeśli był głodny i miał co ugotować, nie jadał równie systematycznie, jeśli śpizarnia była pusta. Chociaż plan powieści ułożony już był dawniej, rozdział po rozdziale, Martin obmyślił jeszcze i opracował wstęp dla wzmożenia wyrazistości utworu, chociaż w tym celu napisać musiał dodatkowe dwadzieścia tysięcy słów. Nie uczynił tego nawet w imię jakiegoś żywego pragnienia doskonałości dzieła — lecz poprostu tylko dla zadośćuczynienia własnym wymaganiom artystycznym. Pracował w nieustającym transie, dziwnie oderwany od otaczającego świata, niby widmo zatrzymane siłą pośród spraw własnego minionego życia. Przypomniiał sobie, jak ktoś powiedział kiedyś,

że widmo jest duszą człowieka, który już umarł, a jeszcze nie zdołał tego zrozumieć; na chwilę odłożył pióro, żeby pomyśleć, czyż naprawdę umarł już i dotychczas o tem nie wiedział?...

Nadszedł dzień, kiedy „*Spóźniony*“ dobiegł końca. Zjawił się agent po maszynę i, siedząc na łóżku, czekał, aż Martin skończy wybijać ostatnie słowa ostatniego rozdziału. „Koniec“ — napisał wreszcie wielkimi literami, i dla niego był to istotnie koniec. Z uczuciem ulgi patrzył, jak wynoszono maszynę za drzwi, potem spokojnie położył się na łóżku. Słaby był z głodu. Nie miał nic w ustach od trzydziestu sześciu godzin, ale nie myślał o tem. Leżał nawznak, z zamkniętymi oczyma, bez myśli, a dziwny sen ostatnich tygodni zalewał go wciąż rosnącą falą, przesycając świadomość. Napół przytomnie wymawiać począł głośno słowa nieznanego poety, które cytować lubił Brissenden. Marja, słuchając niespokojnie za drzwiami, przeraziła się tej upartej a monotonnej litanji. Słowa same przez się nic dla niej nie znaczyły. Wiele jednak znaczył fakt, że wymawiał je Martin: „Skończone“ — brzmiał refren.

*Skończone*  
*Strzaskalem lutnię. —*  
*Jak chmury wiatrem niesione*  
*Nad pola ścierni czerwone*  
*Minęła pieśń.*  
*Skończone —*  
*Strzaskalem lutnię.*

*Pieśń, która była, jak dzwonek,  
Jak rojnym rankiem skowronek  
W ciemności milczącej zbladła,  
Nieme się struny rozpadły  
I echo umarło smutnie.  
Strzaskalem lutnię.  
Skończone. —*

Marja nie mogła wytrzymać dłużej, pobiegła do piecyka, nalala pełną miskę gorącej zupy, wrzucając prawie całe mięso i jarzyny, jakie były w garnku. (Mięsa tego i jarzyn wolno było każdemu z dzieci nabierać tylko potroszeczek). Martin wstał, usiadł i zaczął jeść, upewniając Marję pomiędzy jednym łykiem a drugim, że bynajmniej nie ma gorączki, i że wcale nie mówił przez sen.

Kiedy odeszła, pozostał na brzegu łóżka, zmęczony, otępiały, zgarbiony, patrząc przed siebie zamglonemi, pustemi oczyma. Siedział tak długo, aż widok rozdartej koperty jakiegoś *magazine*, co nadzedł ranną pocztą i leżał nieczytany, rzucił iskierkę świadomości w mózg zaciemniony. — „To „*Partenon*“ — pomyślał Martin — sierpniowy „*Partenon*“, pewnie zawiera „*Efemerydę*“. Gdybyż Brissenden mógł to widzieć“.

Przewracał zwolna kartki miesięcznika, gdy nagle — przestał. „*Efemeryda*“ obciążona była majestatycznym nagłówkiem i popstrzona na marginesach winietami w stylu Beardsley'a.

Po jednej stronie nagłówka widniała fotografia



Brissendena, po drugiej podobizna pana Johna Value, ambasadora Wielkiej Brytanji. Redaktor zawiadamiał w krótkich słowach wstępu, iż „*Efemeryda*“ jest odpowiedzią „*Partenonu*“ na twierdzenie pana Value, jakoby Ameryka nie posiadała poetów: „Oto proszę, masz pan jak na dłoni, panie John Value!“ Cartwright Bruce opisany został przy okazji, jako największy krytyk Stanów Zjednoczonych. Zacytowano jego zdanie, iż „*Efemeryda*“ jest największym poematem, jaki kiedykolwiek wydała Ameryka. Nareszcie, słowo wstępne redaktora kończyło się w sposób następujący: „Dotychczas jeszcze umysły nasze nie są zdolne ocenić należycie zalet „*Efemerydy*“; może nigdy nie potrafimy tego uczynić. Odczytaliśmy jednak poemat ten kilkakrotnie, podziwiając piękno wyrazów i ich zestawień, oraz nie mogąc pojąć, skąd pan Brissenden wziął słowa takie i w jaki sposób zdołał je powiązać“. Potem następował poemat.

— Dobrześ zrobił, umierając, Briss, mój stary— mruknął Martin. Miesięcznik ześliznął mu się z kolan na podłogę.

Wulgarność i taniość efektów była wstrętna. Lecz Martin zauważył apatycznie, że nie czuje mocno nawet wstrętu. Chciałby się rozgniewać, nie ma jednak dość energii, by gniew odczuć. Martwy był i otepiały. Krew zamarzła zbyt głęboko, żeby wewnętrzny nurt oburzenia przerwać mógł jej lody. Ostatecznie, o cóż chodzi? Czy nie harmonizuje to

w zupełności ze wszystkim, zaco Brissenden nie-  
nawidził tak mocno burżuazyjnego społeczeństwa?

— Biedny Briss! — ciągnął Martin. — Nie da-  
rowałby mi nigdy.

Podniósłszy się z wysiłkiem, sięgnął po skrzynkę,  
co zawierała dawniej papier do maszyny. Przerzu-  
cając kartki, odnalazł jedenaście wierszy, napisa-  
nych ongiś przez przyjaciela. Przedarł je starannie  
wzdłuż i wpoprzek i cisnął do kosza. Czynił to po-  
woli i uważnie, skończywszy zaś, siadł znowu na  
brzegu łóżka, patrząc przed siebie pustemi oczyma.  
Siedział tak, sam nie wiedząc jak długo, gdy nagle  
przed niewidzącemi źrenicami zarysowała się dłu-  
ga, biała, pozioma linja. To było ciekawe. Martin  
patrzył, jak wizja przybierała coraz dokładniejsze  
kształty, i pojął, że widzi rafę koralową, a wzdłuż  
niej białawą pianę Pacyfiku. Nieco bliżej na fali  
dojrzał wąskie czółno, pirogę. Na rufie młodego  
bożka z bronzu, w kształtnej przepasce na biodrach  
i połyskliwem wiosłem w ręku. Poznał. To Moti,  
najmłodszy syn Tati, wodza. A wyspa — Tahiti!  
Poza tą rafą leży słodki kraj Papara i stoi trzcino-  
wa chata wodza przy ujściu rzeki. Dzień ma się ku  
końcowi, a Moti wraca do domu z połowu. Czeką  
właśnie na podrzut wielkiej fali, żeby przeskoczyć  
rafę. Potem ujrzał Martin samego siebie, siedzą-  
cego w łódce twarzą w kierunku ruchu, jak często  
siadywał był niegdyś. Z wiosłem w ręku czekał na  
rozkaz Moti, żeby jak szalony uderzyć o wodę  
w chwili, gdy wielka turkusowa fala wstanie poza

czółnem. Potem przestał już być widzem; cały i żywy znalazł się w łodzi; oto Moti wykrzyknął rozkaz; obaj zawzięcie zatrzepotali wiosłami, wspinając się w pędzie na stromą ścianę płynnego turkus. Woda szeleściła wzdłuż opadu przegiętej fali niby fontanna; powietrze perliło rozpylonemi kroplami. Wreszcie nagle zgięcie wód, przełamanie, rzut w przepaść, głuchy łoskot, grzmot potoczysty — i łódka wpływa cicho na gładką przezrocz laguny. Moti śmieje się, otrząsa z oczu słoną wodę. Wiosłując teraz razem ku brzegowi z koralowego piasku, gdzie w świetle zachodu, poprzez gałęzie pni kokosowych złocą się ściany trzciny domu Tati.

Wizja pierzchnęła, przed oczy wrócił na nowo nieład nędznej izdebki. Daremnie próbował Martin ujrzeć raz jeszcze Tahiti. Wiedział: śpiew brzmi tam, pośród drzew, i dziewczęta płasają w świetle księżyca. Ale już ich widzieć nie mógł. Widział tylko stół zarzucony papierami, puste miejsce po zabranej maszynie i niemyte szyby okien. Z jękiem zamknął oczy i zasnął.

## R o z d z i a ł  XLI

Przespał noc snem kamiennym i obudził się dopiero wtedy, gdy wszedł listonosz z pocztą poranną. Zmęczony i słaby, obojętnie przejrzał listy. Cienka koperta od jednego z najbardziej skąpych „*magazines*“ zawierała czek na dwadzieścia dwa dolary. Czeku tego oczekiwał z wytężeniem przez półtora roku. Dziś apatycznie odczytał sumę. Dawny dreszcz, towarzyszący odebraniu listu od wydawcy, zniknął. Czek ten nie niósł, jak dawne, obietnicy wielkiej przyszłości. Był tylko i wyłącznie czekiem na dwadzieścia dwa dolary. Kupi się coś do zjedzenia. Oto wszystko.

Równocześnie pewien tygodnik z New-Yorku nadesłał inny czek, jako honorarium za parę wierszy humorystycznych, przyjętych przed kilkoma miesiącami. Opiewał dziesięć dolarów. Martin zastanowił się spokojnie przez chwilę. Nie wiedział jeszcze, co z tem zrobi, i nie śpieszył się z decyzją. Jakoś żyć trzeba, coś trzeba jeść. Pozatem — tyle długów. Czyby się nie opłaciło nakleić marki na cały stos rękopisów pod stołem i wysłać je w podróż raz jeszcze? Może jeden czy drugi zostanie przyjęty.

Toby pomogło wyżyć. Martin zdecydował ten wkład ostatni i, podniósłszy pieniądze w którymś z banków w Oakland, kupił marek pocztowych za całe dziesięć dolarów. Myśl o powrocie do domu i gotowaniu śniadania wydała mu się odpychająca. Po raz pierwszy w życiu nie chciał pamiętać o długach. Wiedział, że w domu przyrządzić sobie może pożywne śniadanie za piętnaście do dwudziestu centów. Lecz zamiast tego, wszedł do „Café Forum“ i obstałował śniadanie za dwa dolary. Kelnerowi dał 25 centów, za 50 kupił paczkę egipskich papierosów. Zapalił po raz pierwszy od czasu, kiedy Ruth prosiła, żeby przestał. Nie widział teraz przyczyny, dla której miałby sobie tego odmawiać, a zresztą poprostu chciało mu się palić. Cóż bowiem znaczyły pieniądze? Za pięć centów można skręcić czterdzieści papierosów z najtańszego tytoniu i brązowej bibułki — ale poco? Pieniądz nie ma już teraz żadnego znaczenia. Można zań kupować to, naco się właśnie ma ochotę. Ech, płynąć bez mapy, bez steru, gdy żaden port już nie wzywa. Nie walczyć o życie, jeśli ono właśnie sprawia ból.

Dni przemijały. Martin sypiał teraz systematycznie po osiem godzin dziennie. Chociaż tymczasem, czekając na dalsze czeki, jadał w japońskich restauracjach, gdzie podawano potrawy po dziesięć centów — wychudłe ciało nabierało wagi, a zapadłe policzki wracały do normy. Martin nie wycieńczył się już skąpym snem ani przepracowaniem. Nie pisał; książki leżały zamknięte. Odbywał dalekie spacer

zamejskie, długie godziny spędzał leniwie w cichych parkach. Nie miał dawnych przyjaciół ani znajomych, nie poszukiwał nowych. Brakło ochoty. Czekał na jakiś impuls, niewiadomo skąd zresztą, któryby pchnął znów naprzód zamarłe życie. W międzyczasie płynęło jak chciało, bezcelowe, puste i leniwe.

Pewnego razu wybrał się do San-Francisco, do owego klubu socjalistów. W ostatniej chwili jednak, wchodząc już na schody, zastanowił się, zawrócił i uciekł pośpiesznie przez mrowiące ghetto. Przerażała go myśl, że mógłby słuchać dyskusji filozoficznej, uciekał więc skwapliwie, drżąc ze strachu, że któryś ze znajomych może spotkać go i poznać.

Niekiedy przeglądał gazety i „magazines“, żeby zobaczyć jak znęcano się nad „Efemerydą“. Istotnie narobiła hałasu. Ale jakiego hałasu! Każdy ją czytał i każdy czuł się w obowiązku dyskutować, czy była to prawdziwa czy też nieprawdziwa poezja. Miejscowe gazety natychmiast zwęszyły „temat“, i odtąd codziennie pojawiały się całe kolumny „krytyki naukowej, dowcipów redakcyjnych oraz poważnych listów od czytelników“. Helena Della Delmar (ogłoszona przy dźwięku trąb i biciu w bębny za największą poetkę Stanów Zjednoczonych) nie raczyła ustąpić Brissendenowi miejsca na skrzydlatym Pegazie obok siebie i pisała do publiczności płomienne odezwy, dowodząc, iż Brissenden nie był poetą.

Następny numer „*Partenonu*“ ukazał się dumny i bardzo rad ze siebie; pyszny rozgłosem, jaki uczynić zdołał, wyrażał się z ironją o panu Johnie Value i eksploatował śmierć Brissendena z niemiłosiernym i zgola bezwstydnym zmysłem handlowym. Jakieś pismo, bijące pół miliona egzemplarzy, ogłosiło oryginalny a natchniony poemat Heleny Della Delmar, drwiący i pokpiwający z Brissendena. Ona również była autorką parodji „*Efemerydy*“.

Martinowi nie brakło przyczyn do cieszenia się ze śmierci przyjaciela. Brissenden tak zajadle nie nawidził tłumu, a oto teraz, ku uciesze gawiedzi ciśnięte zostało to, co miał najpiękniejszego i najświętszego. Wiwisekcja Piękna trwała dalej. Każdy błazen w kraju domagał się głosu w wolnej prasie, aby przed oczyma widzów wynurzyć swoje mizerne *ja*, wyrzucone na powierzchnię falą cudzej wielkości. Oto cytaty z gazet: „Otrzymaliśmy list od pewnego gentlemena, który donosi nam, iż poemat podobny, (choć znacznie lepszy) napisał był niedawno...“ Inny artykuł z zabójczą powagą gniewał się na Helenę Della Delmar za jej parodję: „Nie wątpimy, iż panna Delmar napisała to w chwili żartobliwego podniecenia, a bynajmniej nie powodując się szacunkiem, jaki każdy wielki poeta żywić powinien ku drugiemu poecie, kto wie, czy nie większemu. Niezależnie jednak od tego, czy panna Delmar zazdrości czy nie zazdrości człowiekowi, który stworzył „*Efemerydę*“ — pewne jest, że wraz z tysiącem innych pozostaje pod wrażeniem tego poematu,



i przyjdzie chwila, kiedy spróbuje tworzyć strofy równie piękne“.

Księża przemawiać poczęli przeciwko „*Efemerydzie*“, jeden zaś, który poważił się jej bronić, uznany został za heretyka. Pozatem wielki poemat wykorzystano jako źródło wesołości publicznej. Humoryści i karykaturzyści wzięli się do dzieła i fachowo pękali ze śmiechu, w rubryce zaś kroniki towarzyskiej donosiły sobie dowcipnie rozmaite tygodniki, jakoby p. Charley Frensham zwierzył się w zaufaniu p. Archie Jennings, iż pięć wierszy „*Efemerydy*“ przypawić może człowieka o taniec św. Wita, dziesięć zaś prowadzi niewątpliwie na brzeg głębokiej rzeki.

Martin nie śmiał się już i nawet nie zgrzytał zębami. Czuł tylko wielki, nieprzezwyyczajny smutek. Gdy runie cały świat wraz ze szczytem swym — miłością — utrata szacunku dla publiczności czytającej i zaufania do pism nie jest doprawdy bolesną katastrofą. Brissenden zupełnie słusznie osądzał gazety, on zaś, Martin, zmarnował kilka lat ciężkich i daremnych, żeby dojść do tego samego wniosku. Tak jest. Pisma były tem wszystkiem, co mówił o nich Brissenden, a może czemś gorszem jeszcze. „No, ale teraz już koniec“ — pocieszał się Martin. Zaprzęgnie gwiazdy do swego wozu i pozwoli się unieść w podróż Zatracenia. Obrazy Tahiti, czystego, słodkiego kraju Tahiti, napływały coraz częściej, coraz natarczywiej. Widział płaskie Paumoty i górzyste Marquesas; coraz częściej widywał sa-

mego siebie na pokładzie skunerów handlowych lub małych, kruchych kutrów, ślizgających się o zachodzie pośród raf Papeete i wędrujących długo między perłowemi atollami aż do Nuka — hira i zatoki Taiohae. Wódz Tamari — Martin był tego pewien — zabije wieprza na przyjęcie gościa, córki zaś jego, uwieńczone kwieciami, chwycą się za ręce, aby wśród śmiechu i śpiewu opleść girlandami młodzieńca. Morza południa wzywały słodko, i Martin wiedział, że prędzej czy później wezwania posłucha.

Tymczasem pozwalał dniom przemijać. Odpoczywał po długiej wędrówce przez krainę księżek. Kiedy „*Partenon*“ nadesłał czek na trzysta pięćdziesiąt dolarów, Martin wręczył go miejscowemu adwokatowi, który na prośby rodziny Brissendena zajmował się sprawami zmarłego. Martin wziął kwit na wręczoną sumę, sam zaś wydał piśmienne poświadczenie, iż winien jest Brissendenowi sto dolarów.

Wkrótce przestał Martin uczęszczać do japońskich restauracyj. W tej samej chwili, kiedy zaprzestał walki — zawróciła fala. Lecz zawróciła zbyt późno. Bez drżenia otworzył cieką kopertę od redakcji „*Millennium*“, z czekiem na trzysta dolarów, i skonstatował, że było to honorarium za „*Przygodę*“. Wszystkie długi Martina, włącznie z procentami lichwiarza, nie sięgały stu dolarów. Kiedy więc uregulował wszystko do ostatniego centa i wykupił od adwokata swój kwit na sto dolarów, pozostało mu jeszcze w kieszeni zgorą sto dolarów. Obstało-

wał ubranie u doskonałego krawca i jadał w najlepszych restauracjach. Sypiał wciąż jeszcze w małej izdebce u Marji, lecz widok nowego ubrania zmusił dzieciaki z sąsiedztwa do zaprzestania wyzwisk w rodzaju: „włóczęga“, „darmozjad“, rzucających z okienek strychu lub z poza parkanów.

Nowelę hawajską „*Wiki-Wiki*“ zakupił „*Miesięcznik Warrensa*“ za cenę dwustu pięćdziesięciu dolarów. „*Przegląd Północny*“ wziął artykuł „*Kolebka Piękna*“, zaś „*Mackintosh Magazine*“ przyjął „*Wróżbiarkę*“ — wiersz napisany dla Marian. Wydawcy i czytelnicy powrócili z wywczasów letnich, rękopisy przyjmowano skwapliwie. Martin nie mógł się jednak nadziwić, co za niezrozumiały pęd każe nagle wydawcom przyjmować masowo to wszystko, co tak uparcie odrzucali przez dwa lata. Nic przecie jeszcze nie wydrukowano. Nazwiska jego nie znano nigdzie poza granicami Oakland, ci zaś w Oakland, którym się zdawało, że go znają, mieli go za skrajnie czerwonego socjalistę. Niczem więc nie można było sobie wytłumaczyć tego nagłego popytu na jego towar. Uśmiech fortuny, igraszka losu — nic więcej.

„*Hańba Słońca*“, kilkakrotnie odrzucana przez czasopisma, rozpoczęła teraz wędrówkę po towarzystwach wydawniczych stosownie do dawnej rady Brissendena. Kilku wydawców odpowiedziało odmownie, wreszcie jednak firma Singleterre, Darnley i S-ka przyjęła rękopis, obiecując wydrukowanie w całości. Kiedy jednak Martin upomniął się

o zadatek, odpowiedziano, że nie leży to w zwyczaju firmy, że zresztą książki tego typu opłacają się rzadko, oraz że jest rzeczą wątpliwą, czy wogóle pójdzie nawet tysiąc egzemplarzy. Martin próbował obliczyć, ile wobec tego przyniesie mu książka. Cena jeden dolar, procent piętnasty — dochód sto pięćdziesiąt dolarów. Zdecydował spokojnie, że gdyby jeszcze kiedykolwiek zarabiać miał piórem, ograniczy się do powieści. Za czterokrotnie krótszą „Przygodę“ redakcja „*Millennium*“ zapłaciła przecież dwa razy więcej. Przepisy o honorarjach, które czytał był niegdyś, mówiły prawdę. Pierwszorzędne czasopisma płacą natychmiast po przyjęciu i płacą dobrze. Nie dwa, lecz cztery centy za wyraz zapłacił np. „*Millennium*“. Pozatem zaś, kupują widocznie i rzeczy dobre, bo czyż nie kupili jego prac? — Tę ostatnią myśl okrasiał sobie gorzkim uśmiechem.

Napisał do formy Singleterre, Darnley i S-ki, proponując im nabycie pełnych praw do „*Hańby Słońca*“ za sto dolarów, ale firma wolała nie ryzykować. Narazie nie brakło Martinowi pieniędzy, ponieważ kilka wczesnych opowiadań przyjęto i opłacono zgóry. Otworzył więc rachunek w banku, na którym miał kilkaset dolarów, nie będąc nikomu na świecie winien ani centa. „*Spóźniony*“ po długiej wędrówce dotarł nareszcie do portu w firmie Meredith-Lo-well. Martin przypomniał sobie pięć dolarów, które podarowała mu Gertruda, i postanowienie zwrócenia ich jej, pomnożonych stokrotnie. Napisał więc do firmy o przysłanie pięciuset dolarów zadatku. Ku

wielkiemu swemu zdziwieniu, odwrotną pocztą otrzymał istotnie czek na pięćset dolarów oraz projekt umowy. Martin podjął w banku całą sumę w stu złotych pięciodolarówkach i zatelefonował do Gertrudy, że chciałby ją zobaczyć.

Przybiegła zadyszana z pośpiechu. Przypuszczając, że stało się coś złego, schowała do torebki te mizerne kilka dolarów, które posiadała. Była pewna, że nieszczęście spotkało brata, więc nie pytała już o nic i tylko, płacząc głośno, rzuciła się w jego ramiona, wtykając mu równocześnie torebkę.

— Byłbym sam przyszedł — tłumaczył się Martin, — ale nie miałem ochoty na awanturę z panem Higginbothamem, a nie obeszłoby się bez tego.

— Uspokoi się po pewnym czasie — upewniała brata Gertruda, zastanawiając się tymczasem, jakie mianowicie nieszczęście mogło mu się przydarzyć. — Co prawda byłoby lepiej, żebyś przedtem wziął posadę i jakoś się ustalił. Bernard lubi widzieć każdego przy uczciwej pracy. To, co pisało w gazecie, strasznie go zezłościło. Nigdy nie widziałam, żeby tak się wściekał.

— Nie, posady nie wezmę — odrzekł Martin z uśmiechem. — Możesz mu to powtórzyć ode mnie. Nie potrzebuję już posady — oto masz dowód.

Wysypał jej na kolana sto złotych monet dzwięcynym, połyskliwym strumieniem.

— Czy pamiętasz tę pięciodolarówkę, którą mi dałaś swego czasu, kiedy nie miałem na tramwaj? Patrz, oto ona, a wraz z nią dziewięćdziesiąt dzie-

więć siostrzyczek różnego wieku, lecz tej samej wartości.

Jeśli Gertruda była przestraszona, wszedłszy do pokoju brata, to obecnie ogarnęło ją paniczne przeżenie. Trwoga ta była równocześnie pewnością. Gertruda przestała już podejrzewać. Wiedziała na pewno. Ze zgrozą spojrzała na brata, a zmęczone kolana ugięły się pod ciężarem złota, które zdawało się palić żywym ogniem.

— To twoje — śmiał się Martin.

Wybuchnęła łkaniem i zaszlochala głośno: „Mój biedny chłopcze, mój biedny, biedny chłopcze!”

Martin przez chwilę stał zdumiony. Potem nagle zrozumiał przyczynę tego uniesienia i podał siostrze list od firmy Meredith-Lowell, dołączony do czeku. Wodziła oczyma po literach, co chwila ocierając łzy; skończywszy czytać, wyrzekła:

— Czy to ma znaczyć, że do pieniędzy tych doszedłeś uczciwą drogą?

— Uczciwszą niż loterja; zarobiłem je własną pracą.

Powoli Gertruda nabierała zaufania i raz jeszcze starannie odczytała list. Martin zużyć musiał wiele czasu, żeby wytłumaczyć siostrze rodzaj transakcji, dzięki której te oto pieniądze stały się jego własnością, a jeszcze więcej, żeby przekonać kobiecinę, że obecnie należą naprawdę do niej, on zaś, Martin, nie potrzebuje ich bynajmniej.

— Złożę je do banku na twój rachunek — oświadczyła wreszcie.

— Nie zrobisz nic podobnego. Należą do ciebie i masz z nimi zrobić, co ci się podoba. A jeśli nie chcesz, oddam je Marji. Już ona będzie dobrze wiedziała, jak ich użyć. Radziłbym jednak, żebyś najęła służącą i zrobiła sobie porządne wakacje.

— Opowiem wszystko Bernardowi — powiedziała jeszcze, odchodząc.

Martin skrzywił się, a potem dodał z gorzkim uśmiechem.

— Opowiedz, opowiedz. Może zechce znowu zaprosić mnie na obiad.

— O tak, zaprosi, jestem pewna, że zaprosi! — wykrzyknęła z zapalem Gertruda, gorąco ściskając brata.





## Rozdział XLII

Pewnego dnia Martin zrozumiał, że się nudzi. Był zdrow, silny i nie miał nic do roboty. Porzucenie pisania, śmierć Brissendena i zerwanie z Ruth pozostawiło wielką pustkę w jego życiu; życie zaś protestowało przeciwko redukowaniu do smacznych obiadów i egipskich papierosów. Prawda, ciepłe Morza Południowe kusiły z oddali, Martin jednak czuł, że gra rozpoczęta tu, w Stanach, nie rozegrała się jeszcze do końca. Dwie książki miały się wkrótce ukazać, ale książek gotowych do druku miał przecie więcej. Mógł wydobyć z nich dużo pieniędzy, to też wolał poczekać i pełny mieszek zabrać ze sobą na południe. Znał pewną dolinę na wyspach Marquesas, którą nabyć było można za tysiąc dolarów chilijskich. Dolina biegła od łukowatej, spokojnymi brzegami zamkniętej zatoki, aż do stóp zawrotnych, czapami chmur krytych szczytów. Rozpościerała się na przestrzeni dziesięciu tysięcy akrów i pełna była fauny i flory podzwrotnikowej. Nie brakło tam kuropatw ani odyńców, od czasu do czasu przelatywał tabun dzikiego bydła rogatego, w górach zaś kryły się stadka kozic, tropione przez

zgraje rudych psów. Dolina była dzika i niezamieszkała. Ją to wraz z zatoką nabyć mógł Martin na własność za tysiąc dolarów chilijskich.

Zatoka, o ile przypomnieć sobie zdołał, była wspa-  
niała. Dość głęboka, żeby gościć największe stat-  
ki, a tak cicha i bezpieczna, że władze Południowe-  
go Pacyfiku polecały ją usilnie jako najlepsze schro-  
nienie dla statków na setki mil wokół. Kupi so-  
bie skuner, — taki w rodzaju yachtu, obity mie-  
dzą, śmigły jak sam djabeł — i będzie handlował  
kopra i perłami pośród wysp. Zatokę i dolinę uczy-  
ni kwaterą główną. Pobuduje sobie niby Tati  
patrjarchalny pałac z trzciny, a dolinę, dom i sta-  
tek napelni służbą czarnoskórą. Gościć tam będzie  
agentów z Taiohae, kapitanów wędrownych okrę-  
tów handlowych i całą śmietankę towarzyską połu-  
dniowego Pacyfiku. Poprowadzi dom otwarty i po-  
dejmować potrafi gości, niby udzielny książę. Za-  
pomni o świecie, co był tylko złudzeniem, i o za-  
trutych książkach, które poważyl się otworzyć.

Żeby jednak zdobyć to wszystko — trzeba pozo-  
stać w Kalifornji i napelnić mieszek. Pieniądze  
istotnie poczęły napływać strumieniem. Jak tylko  
pierwsza książka narobi hałasu, będzie można sprze-  
dać odrazu wszystkie rękopisy, oraz zebrać w to-  
my rozproszone nowele. Wtedy zapewni sobie do-  
linę, zatokę i skuner. Pisać nie będzie już nigdy.  
To jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości.  
W międzyczasie jednak, czekając na wydanie, war-

toby zająć się czemś więcej ponad spędzanie dni w osłupiałym i zwierzęcym pólśnie.

Pewnego niedzielnego poranku dowiedział się Martin, że dziś właśnie odbędzie się majówka związku kamieniarzy w parku Shell Mound. Poszedł. Bardzo często bywał dawniej na zabawach ludowych, wiedział doskonale, jak wyglądają. Nie oczekiwał nic nowego. A jednak, wszedłszy do parku, poczuł, jak ożywają dawne wrażenia. Przecież, pomimo wszystko, to właśnie byli jego ludzie! Pośród nich się urodził, pośród nich żył i chociaż odszedł na długo, dobrze było ku nim powrócić.

— Niechże mię, jeśli to nie Mart! — posłyszał czyjś głos tuż obok; za chwilę ciężka przyjazna ręka klepała Martina po ramieniu. — Gdzieżeś tkwił tyli czas? Morzami cię nosiło, hę? Chodźno, napijemy się razem po starej znajomości.

Martin odnalazł całą dawną paczkę, choć paru kolegów brakło i kilku nowych przybyło. Nie byli to kamieniarze, ale uczęszczali na pikniki niedzielne wszystkich związków, dla tańców, boksu i niespodzianek. Martin napił się w kompanji i raz jeszcze poczuł, że żyje. — Eh, głupi byłem, żem porzucił tych ludzi — myślał. — Byłbym dziś znacznie szczęśliwszy, gdybym zostawił w spokoju książki i tamtych, co siedzą na wyżynach. — A przecież, piwo nie tak już dobre, jak niegdyś. Smakuje inaczej. Brissenden zepsuł mi smak tanich trunków; czyż książki zepsują mi również zabawę z dawnymi przyjaciółmi? Martin zdecydował mocno, że tego

jednego zepsuć sobie nie pozwoli, i poszedł z całą paczką do pawilonu tańców. Spotkał tam Jimmy, co terminował u kanalizatora, bawiącego wysoką jasnowłosą dziewczynę, która czemprędzej porzuciła towarzysza dla Martina.

— He, he, jak za dawnych czasów — tłumaczył Jim całej paczce, która wybuchnęła śmiechem na widok odpływającej w walcu pary: — blondynki z Martinem. — Nawet się nie złoścę. Wściekłem rad, że bestja wrócił. Widzita go, jak tańczy? Sam jedwab, co? Któraby mu się oparła!

Lecz Martin zwrócił blondynkę Jimmowi, i we troje, wraz z półtuzinem znajomków przyglądali się wirującym parom, śmiejąc się i żartując. Wszyscy radzi byli powrotowi. Nie wyszła jeszcze żadna jego książka; nie miał więc w oczach tych ludzi narzuconej przez opinię wartości. Lubili go dla niego samego. Czuł się jak król po powrocie z wygnania i cieszył stęsknione serce garnącą się ku niemu życzliwością. Dzień stał się szalony weselem, Martin używał. Nadomiar wszystkiego, miał pełną kieszeń pieniędzy i pozwolił im płynąć swobodnie, jak za dawnych dobrych czasów po powrocie z morza.

Nagle w pawilonie tańców spostrzegł Lizzie Connolly, wirującą w objęciach jakiegoś młodego robotnika. Nieco później, okrążywszy salę, odnalazł dziewczynę przy bufecie. Kiedy przebrzmiały wykrzykniki zdziwienia i powitania, Martin poprowadził ją wgląd parku, gdzie nie przeszkadzała muzyka. Od pierwszego słowa Lizzie należała do nie-

go. Wiedział to. Okazywała to dumną pokorą oczu, każdym pieszczotliwym ruchem hardej postaci, sposobem chwytania jego słów. Nie była już dziewczątkiem, które znał niegdyś. Stała się kobietą, i Martin zauważył, że jej dzika, wyzywająca uroda wzrosła jeszcze, nie tracąc nic z dzikości, lecz opanowaniem gasząc ogień i zuchwałość. — Piękność, doskonała piękność! — szeptał z zachwytem. Wiedział, że ją posiada, i że wystarczy zawołać: „Chodź!” a pójdzie, gdzie zechce, choćby na kraj świata.

W tej samej chwili, kiedy przemknęło mu to przez myśl, otrzymał potężny cios w czaszkę, który nieomal nie zwałił go z nóg. Był to cios pięści, wymierzony przez mężczyznę tak ślepego z impetu i nienawiści, że kulał nie trafił w szczękę, choć w szczękę właśnie mierzył. Martin, chwiejąc się cały, zdołał spojrzeć poza siebie i ujrzał pięść, raz jeszcze podniesioną z wściekłością. Błyskawicznie uchylił się w bok, i cios przeleciał mimo, pociągając za sobą napadającego. Martin natarł lewą, popartą całym ciężarem ciała. Tamten zwałił się bokiem, lecz natychmiast skoczył na nogi i znowu jak szalony runął do ataku. Martin dostrzegł twarz nieznanego, wykrzywioną przez namiętność, i zdziwił się, co go tak gniewa? Dziwiąc się, nie omieszkiał jednak znowu uderzyć lewą i znowu przerzucić na nią całego ciężaru ciała. Napastnik zwinął się wtył i padł nawznak. Jimmy nadbiegał już z całą paczką.

Martin drżał. Oto wróciły dobre stare dni, z ich bójkami, tańcem, zemstą i przygodą. Nie spuszcza-

jąc pokonanego z oka, zdążył jednak spojrzeć na Lizzie. Zwykle dziewczęta zaczynały piszczeć, kiedy chłopcy stawali do walki, Lizzie jednak milczała. Przyglądała się z zapartym oddechem, nieco podana naprzód z wielkiego zaciekawienia, jedna ręka cisnęła pierś, policzki płonęły, oczy błyszczały głębokiem, zdumionem uwielbieniem.

Napastnik zerwał się i próbował odepchnąć kilka par powstrzymujących go ramion.

— Czekala na mnie! Czekala aż wrócę — wołał głośno do każdego, kto chciał słuchać, — a wtedy lichy przyniosło tego ptaszka! Zabrał, jak swoją! Puście, powiadam, puścież, do cholery ciężkiej! Ja mu kości porachuję!

— Co cię ugryzło, stary? — pytał Jim, pomagając trzymać rozgniewanego chłopaka. — Ten ptaszek to Mart Eden. Rączków koronkowych nie ma, pozwól, że ci rzeknę, iż zje cię, brachu, na surowo, jak mu się będziesz podwijał.

— Nie dam jej sobie ukraść! — ryczał tamten.

— Ależ on położył Latającego Holendra! Co? możeś go nie znał?! — ciągnął pojednawczo Jim. — I tylko w pięć rundów, uważasz, co? Ty mu nie wytrzymasz pięciu minut, żebyś wiedział.

Informacja ta wywarła zbawienny skutek, albowiem zirytowany młody człowiek obdarzył Martina badawczem spojrzeniem.

— Wcale nato nie patrzy — warknął. Ale warknięcie nie było już wściekle.

— To samo właśnie myślał Latający Holender—



upewnił Jimmy. — A teraz chodź, brachu; odwalimy stąd razem. Dziewcząt, chwalić Boga, nie brakuje. No, idziem.

Chłopak dał się poprowadzić w stronę pawilonu. Paczka ruszyła za nimi.

— Kto to jest? — zapytał Martin dziewczyny. — I o co chodziło właściwie?

Podniecenie walki, dawniej tak ostre i trwałe, zamierało już zwolna, i Martin zauważył, że analizuje samego siebie zbyt uparcie, żeby móc cieszyć się pierwotnem życiem, znającym jeden tylko poryw i cios jeden. Lizzie niecierpliwie poruszyła główką.

— O, to jest nikt! — odrzekła. — Przystawiał się poprostu. Ja... ja pozwalałam nato — wyznała po chwili. — Tak było nudno i smutno. Ale nie zapomniałam nigdy. — Głos jej zniżył się do szeptu; patrzała uparcie wprost przed siebie. — Odpalę go w każdej chwili... jeśli zechcesz.

Martin, rzuciwszy okiem na twarz, broniącą się spojrzeniem, zrozumiał, że wystarczy sięgnąć i zerwać dziewczynę jak kwiat. Wtedy począł mimowoli zastanawiać się, czy subtelny i literacki sposób mówienia posiada faktycznie jakąś wartość istotną i — zapomniał odpowiedzieć.

— Jakeś ty go chwacko odstawił! — powiedziała kusząco i roześmiała się.

— Chłop jak dąb, swoją drogą — przyznał wspinałomyślnie Martin. — Gdyby go tamci nie zabrali w porę, miałbym kłopot.



— Kto była ta pani, z którą spotkałam cię kiedyś na ulicy? — zapytała nieoczekiwanie Lizzie.

— O, poprostu znajoma pani — brzmiała odpowiedź.

— Bardzo to dawno — posłyszał Martin szept zamyślony. — Widzi mi się, jakby z tysiąc lat.

Nie chciał jednak podtrzymywać tematu. Spró-  
ził rozmowę na inne tory. Zjedli obiad w restauracji, gdzie Martin kazał podać kosztowne frykasy, a potem tańczył z Lizzie w pawilonie i tylko z nią jedną, dopóki się nie zmęczyła. Dziewczyna tańczyła doskonale i, oparłszy głowę o ramię Martina, wirowała w jego objęciu niby w niebie rozkoszy, marząc, żeby trwało to w nieskończoność. Pod wieczór odpoczywali w cieniu drzew, na trawie, przyczem Martin dawnym zwyczajem położył głowę na kolanach dziewczyny. Leżał, napół drzeмиąc, ona zaś pieściła jego włosy, spoglądała wdół na przymknięte oczy i kochała, kochała bez miary. Spojrzawszy nagle w górę, chłopak pojął rzewne wyznanie dziewczęcej twarzy. Powieki spłoszone opadły; potem nagle otworzyły się oczy i popatrzały wprost w męskie źrenice z pokornem wyzwaniem.

— Nie miał mnie nikt przez te lata — rzuciły usta szeptem podobnym do westchnienia.

I Martin pojął, że była to prawda, cudu bliska prawda. Zdjęła go pokusa. W jego mocy było przecież uczynić tę dziewczynę szczęśliwą. Sam pozbawiony szczęścia, czemużby miał ją pozbawiać?

Mógł zaślubić i zabrać ze sobą na wyspy Pacyfiku.

Pragnienie to przemówiło w nim mocno, lecz mocniej jeszcze zabrzmiał rozkaz wewnętrzny, aby tego nie czynić. Naprzekór samemu sobie wciąż jeszcze wierny pozostał Miłości. Minęły czasy dawne wolności. Nie mógł przywołać ich ku sobie, nie potrafił już do nich powrócić. Był zmieniony — i tak bardzo zmieniony, zrozumiał dopiero teraz.

— Ja tam nie do żeniaczki, kochanie — uśmiechnął się lekko.

Dłoń, pieszcząca jego włosy, zatrzymała się na chwilę, potem gładzić poczęła znowu, tem samem serdecznem dotknięciem. Widział, jak twarz dziewczyny stygła, lecz stygła tylko w postanowienie, albowiem jasny rumieniec nie uchodził z policzków, nie znikąca promiennosc ni miękkość spojrzenia.

— Nie miałam tego na myśli — zaczęła, lecz urwała natychmiast. — A zresztą, wszystko mi jedno! Wszystko jedno! — powtórzyła. — Jestem dumna, że jestem twoją przyjaciółką, i już. Wszystkobym zrobiła dla ciebie. Już tak mnie widocznie Pan Bóg stworzył.

Martin usiadł. Ujął dłonie dziewczyny. Świadomie ujął je ciepło, lecz bez namiętności. Ciepło to zmroziło jej kobiecość.

— Nie mówmy o tem — powiedziała.

— Jesteś dobrą i szlachetną kobietą — mówił Martin. — To ja dumny być powinienem, że wolno mi znać ciebie. I jestem dumny. O, jestem! Tyś niby promień słońca na ciemnym, bardzo ciemnym

świecie. Lecz będę z tobą szczery, jak tyś była szczerą.

— Nie dbam o to, czy będziesz szczery. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz. Możesz rzucić mnie o ziemię i zdeptać nogami. Tobie jednemu na świecie wolno wszystko — dodała nagle z wyzwaniem. — Sama sobie jestem panią od maleńkości i o nic nie dbam.

— Właśnie dlatego chcę być jak najszczerzy — wyrzekł miękko. — Jesteś tak szlachetna, tak wspa-  
niałomyślna, że zmuszasz mnie do równej szlachet-  
ności. Nie zamierzam się żenić, a — kochać ina-  
czej — nie potrafię, chociaż dawniej pozwalałem  
sobie na niejedno. Żałuję szczerze, że tu dziś  
przyszedł, i żeśmy się spotkali. Niema już rady, i ni-  
gdybym nie przypuszczał, że tak dziwnie się wszy-  
stko splecie. Posłuchaj jednak, Lizzie! Nie będę ci  
mówił, jak bardzo cię lubię. Więcej nawet niż lu-  
bię. Szanuję cię i zachwycam się tobą. Jesteś cu-  
downie szlachetna i cudownie dobra. Ale nacóż  
puste słowa? Chciałbym coś zrobić dla ciebie. Mia-  
łaś takie trudne życie. Pozwól, żebym ci je ułatwił.  
(Radosny płomień zajaśniał w oczach kobiecych,  
lecz zgasł natychmiast). Jestem pewny, że w krót-  
kim czasie otrzymam dużo, bardzo dużo pieniędzy...

W jednej chwili wyrzekł się marzenia o zatoce  
i dolinie, o pałacu trzcinowym i pięknym białym  
statku. Ostatecznie, czyż nie wszystko jedno? Od-  
płynąć może — jak niegdyś — na pokładzie, jakim  
bądź okrętem, w jakimkolwiek kierunku.

— Chciałbym je przeznaczyć dla ciebie. Masz zapewne jakieś życzenie — może chcesz skończyć szkołę, może nawet kursy handlowe. Może spodoba ci się nauka, może wyuczysz się jakiego rzemiosła, chociażby stenografji. Mógłbyś ci to wszystko urządzić. A może żyją twoi rodzice? Wartoby osadzić ich gdzieś na stałe, kupić im sklep spożywczy, albo coś innego. Powiedz, naco miałabyś ochotę, zrobię wszystko, co każesz.

Nie odrzekła ani słowa. Patrzała przed siebie suchemi oczyma, wyprostowana, nieruchoma, lecz z gardłem tak zdławionem męką, że Martin odczuł to po bólu, który przeszył go wskroś. Żałował, że zaczął mówić. To, co ofiarował, wydało się nagle nędzne i brutalne w porównaniu z tem, co ofiarowano jemu. Dawał rzecz obcą, którą dzielić się mógł bez żalu. A ona? Oddawała samą siebie, z całym ciężarem nieszczęścia, wstydu, grzechu, z całym niebem nadziei.

— Nie mówmy już — powiedziała ze skurczem w głosie, który pokryła czemprędzej. Wstała. — Chodźmy. Pora iść. Zmęczona jestem.

Dzień miał się ku końcowi, majówkowi goście przeważnie odjechali już do miasta. Lecz kiedy Martin i Lizzie wyszli zpośród drzew, zobaczyli czekającą na nich grupę ludzi. Martin zrozumiał odrazu. Zanosilo się na awanturę. „Paczka“ miała pełnić przy nim straż przyboczną. Przeszli przez bramę parku, a za nimi w pewnej odległości, druga paczka — przyjaciele nieszczęśliwego wielbiciela

Lizzie, gotowi mścić jej porwanie. Kilku policemenów i specjalnie przywołany starszy, przeczuwając coś złego, starało się zapobiec awanturze i odprowadzało obie paczki oddzielnie do podmiejskiego pociągu — niby owczarki oganiające stado. Martin oznajmił Jimmowi, że wysiądzie przy ulicy Szesnastej, żeby złapać tramwaj idący do Oakland. Lizzie była zupełnie spokojna i nawet nie zainteresowana tem, co się działo. Pociąg podszedł do ulicy Szesnastej, gdzie czekał właśnie tramwaj, z niecierpliwie dzwoniącym konduktorem.

— Dobra nasza, jest wagon — wołał Jim. — Walcie prędko, a już my zatrzymamy tamtych. No, prędzej! Zabieraj dziewczynę i łap tramwaj!

Wroga paczka była w pierwszej chwili zaskoczona manewrem; potem wysypała się z wagonu i rzuciła w pościg. Stateczni i trzeźwi mieszkańcy Oakland, zapelniający tramwaj, prawie nie zauważyli młodzieńca i dziewczyny, co pośpiesznie wsiedli do wagonu i zajęli miejsca na przedzie. Nie połączyli też bynajmniej tej pary z osobą Jimmy, który skoczył na stopnie i krzyknął do konduktora.

— Wal tam żywo, brachu, żebyśmy strząsnęli całe to tałatajstwo!

W tej samej chwili Jim wykonał obrót na miejscu, i pasażerowie ujrzeni ku swemu zdziwieniu, jak pięść jego padła na twarz jakiegoś mężczyzny, co właśnie wskakiwał do wagonu. Lecz — o dziwo — z długich schodków tramwaju kilka pięści jednocześnie uderzyło w twarze kilku wchodzących. Tak

oto Jimmy i jego kompanja odpierali atak przeciwników. Tramwaj ruszył, dzwoniąc przeraźliwie, koledzy zaś Jimmy, odparłszy pierwsze natarcie wroga, wyskakiwali kolejno, żeby na stałym lądzie dokończyć dzieła. Tramwaj popędził, zostawiając poza sobą rozgwar bitwy, a osłupiałym pasażerom nie przyszło nawet na myśl, żeby milczący młodzieniec i piękna robotnica, siedzący spokojnie w kącie, mieli być przyczyną zajścia.

Martina po dawnemu rozweseliła bijatyka, po chwili jednak wesołość zgasła, a na jej miejsce napłynął głęboki smutek. Poczuł się bardzo stary — o setki lat starszy od beztroskich towarzyszy młodości. Zawędrował daleko — zbyt daleko, żeby móc powrócić. Ich życie, które niegdyś było jego życiem — dziś nie mogło mu już smakować. Obcy był i daleki. Nie. Jak tanie piwo stało się dlań zbyt prostackie, tak dzisiaj dawne towarzystwo było nużące i niemiłe. Setki otwartych książek rozdzieliło ich na zawsze. Martin wygnał sam siebie z kraju młodości. Odszedł w świat daleki ludzkiej myśli i nie potrafił już wrócić do domu. A przecież był tylko człowiekiem, zwykłym człowiekiem, i pragnienie przyjaźni wołało w nim niezaspokojone. Nowego domu nie znalazł. Tak, jak nie rozumieli go towarzysze, walczący w tej chwili za niego, tak nie rozumiała go własna rodzina, tak samo nie rozumieli ucywilizowani filistrzy i nie zrozumie również ta piękna dziewczyna, siedząca obok. Nie zrozumie

nawet, zaco i dlaczego ceni ją tak bardzo. Rozmyślał — i smutek jego zwolna nasiąkał goryczą.

— Postaraj się z nim pogodzić — poradził Lizzie na pożegnanie, kiedy stanęli przed wielką, koszarową kamienicą, zamieszkałą przez robotników, na rogu Szóstej i Rynku. Myślał o młodym chłopaku, którego miejsce zajął był na dzień dzisiejszy.

— Nie mogę już... teraz — odrzekła.

— O, głupstwo! — uśmiechnął się. — Wystarczy ci gwizdnąć, przyleci natychmiast.

— Nie o tem myślałam — odparła z prostotą. Wiedział dobrze, o czem myślała.

Ponieważ mieli się pożegnać, Lizzie przyłgnęła miękko ku Martinowi. Bez pokusy, bez wyzwania, ciepło tylko i pokornie. Wzruszony był do głębi serca. Wrodzona głęboka miłość ku wszystkiemu, co ludzkie, ożyła nagle. Objął dziewczynę i ucałował, wiedząc, że na wargi jego kładzie się w tej chwili najczystszy, najwierniejszy pocałunek, jaki kiedykolwiek otrzymał mężczyzna.

— O, Boże! — załkała. — Mogłabym umrzeć dla ciebie! Mogłabym umrzeć dla ciebie!

Wyrwała się gwałtownie i wbiegła na schody. Poczul, że oczy ma pełne łez.

— Eh, Martin Eden, bracie — zwierzał się sobie po chwili. — Nie jesteś zwierzęciem, ale zato jesteś kiepskim wyznawcą Nietzschego. Mógłbyś ożenić się z nią i biedne serce po brzegi napęłnić



słodyczą. Ale nie możesz, nie możesz! I wstyd mi za ciebie...

— Biedny stary włóczęga rozpowiada swoje biedne, stare troski — mruknął, wspomniawszy na Henley'a. — Życie jest błędem i hańbą. Tak — hańbą i błędem.



## R o z d z i a ł XLIII

„*Hańba Słońca*“ ukazała się w październiku. Martin rozpakował przesyłkę pocztową, wysłaną ekspresem, położył na stole sześć pierwszych egzemplarzy autorskich — i ciężki, przytłaczający smutek padł mu na serce. Myślał o ostrej radości, którąby odczuł, gdyby chwila taka nadeszła wcześniej, i radość tę niezaznaną porównywał z obecną chłodną obojętnością. Oto książka, jego własna pierwsza książka! A przecież tętno krwi nie przyśpiesza uderzeń nawet o najdrobniejszą część sekundy! Smutek tylko, smutek głęboki! Pierwsza książka nie ma już wartości. Jedyną jej wartością są pieniądze, które przyniesie, a jakżeż mało dba Martin o pieniądze!

Zaniósł jeden egzemplarz do kuchni i ofiarował go Marji.

— Moja własna książka — tłumaczył, widząc jej zdziwienie. — Napisałem ją w tym pokoju i myślę, że jest w niej spora część zasługi waszej zupy jarzynowej. Weźcie książkę, to dla was. Tak sobie, na pamiątkę...

Nie miał zamiaru chwalić się, ani wywyższać. Chciał tylko, żeby Marji było przyjemnie, żeby mo-

gła być z niego dumna, żeby nareszcie jej uparte zaufanie, niezachwiana wiara znalazły usprawiedliwienie. Marja umieściła książkę w „salonie“, tuż obok Biblii rodzinnej. Książka lokatora była rzeczą świętą: była fetyszem przyjaźni. Łagodziła zarazem fakt, że autor pracował niegdyś w pralni. Chociaż więc Marja nie rozumiała ani jednego zdania, wierzyła niezbitcie, że każde posiadało znaczenie ogromne. Była sobie prostą, ciężko pracującą kobieciną, lecz serce miała pełne wiary.

Równie obojętnie, jak przyjął był pierwsze egzemplarze „*Hańby Słońca*“ — przeglądał teraz Martin recenzje i krytyki, nadsyłane mu przez biuro wycinków. Książka narobiła hałasu. Nie ulegało to wątpliwości. Ale zarazem znaczyło tylko: więcej pieniędzy. Martin mógłby już teraz zapewnić byt Lizzie, dotrzymać wszystkich swoich obietnic i pomimo to wcielić w życie pałac trzciny.

Singleterre, Darnley i S-ka przezornie odbili książkę w tysiącu pięciuset egzemplarzach, lecz już pierwsza krytyka pchnęła pod prasę drugie, dwukrotnie większe wydanie; zanim je rozprzedano, bić poczęto trzecie, w ilości pięciu tysięcy. Pewna firma londyńska umawiała się telegraficznie o wydanie angielskie, wkrótce zaś potem nadeszły zawiadomienia o przygotowywanych we Francji, Niemczech i Skandynawji tłumaczeniach. Trudno było znaleźć moment bardziej sprzyjający dla zaatakowania szkoły Maeterlincka. Rozgorzała namiętna dyskusja. Saleeby i Haeckel stanęli w obronie

„*Hańby Słońca*“, znalazłszy się przypadkowo w tym samym obozie. Crookes i Hallace byli przeciwnego zdania, zaś Sir Oliver Lodge próbował pogodzić obie strony, wynalazłszy złoty środek, odpowiadający jego własnym teorjom kosmicznym. Zwolennicy Maeterlincka uszeregowali się wiernie pod sztandarem mistycyzmu, Chesterton pobudził cały świat do śmiechu, ogłaszając szereg doskonale umotywowanych, lecz nawzajem przeczących sobie szkiców. Lecz wszyscy razem, obrońcy i napastnicy, zdruzgotani zostali odrazu grzmiącym głosem Jerzego Bernarda Shaw'a. Nie trzeba chyba dodawać, że na arenie uwijały się również figurki pomniejsze, co zwiększało kurz, hałas i zamieszanie.

„Nadzwyczajne zjawisko“ — donosiła Martino-wi firma Singletterre, Darnley i S-ka, — „dzieło filozoficzno-krytyczne idzie jak powieść. Nie mógł pan wybrać lepszego tematu, okoliczności zaś, towarzyszące wydaniu, złożyły się również wyjątkowo pomyślnie. Śpieszymy zapewnić pana, że nie omieszkamy kuć żelaza póki gorące. Dotychczas sprzedaliśmy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zgórą czterdzieści tysięcy egzemplarzy, obecnie zaś przygotowujemy nowe wydanie w ilości dwudziestu tysięcy. Z trudnością jesteśmy w stanie podołać obstalunkom. Co prawda, staraliśmy się usilnie o ich wywołanie. Ogłoszenia kosztowały nas do pięciu tysięcy dolarów. Nie wątpimy, że powodzenie książki pańskiej pobije wszelkie rekordy. Pozwalamy sobie załączyć proponowany przez nas schemat kon-

traktu na następną książkę pana. Prosimy zechcieć zauważyć, że honorarjum pańskie podnieśliśmy do dwudziestu procent, t. j. do najwyższej normy, jaką zaofiarować może solidna firma. Jeśli oferta nasza dogadza panu, prosimy o wypełnienie pustej rubryki tytułem książki. Nie robimy żadnych zastrzeżeń co do jej rodzaju. Weźmiemy każdą, na dowolny temat. Jeżeli posiada pan coś gotowego w tece, tem lepiej. Teraz mamy właśnie najpomyślniejszą konjunkturę.

Z chwilą otrzymania podpisu pańskiego na kontrakcie będziemy mieli zaszczyt przesłać panu zadek w sumie pięciu tysięcy dolarów. Jak pan widzi — pokładamy w nim nieograniczone zaufanie. Pragnęlibyśmy również przystąpić do omówienia warunków, na których raczyłby pan odstąpić nam na szereg lat — powiedzmy na lat dziesięć — wyłączne prawo ogłaszania drukiem wszystkich swych utworów. Narazie jednak odkładamy to do najbliższej przyszłości“.

Martin odczytał list i, pomnożywszy w pamięci piętnaście centów przez sześćdziesiąt tysięcy, doszedł do wniosku, że wyniesie to ni mniej ni więcej jak dziewięć tysięcy dolarów. Wypełniwszy pustą rubrykę tytułem „*Dym wesela*“, podpisał nowy kontrakt i przesłał go wydawcom wraz z dwudziestoma nowelami, napisanemi jeszcze za dobrych czasów, to znaczy przed wynalezieniem formuł literackich, które otwierają wstęp do czasopism. Poczem z szybkością, do jakiej tylko poczta Stanów

Zjednoczonych jest zdolna — nadszedł czek na pięć tysięcy dolarów.

— Chciałbym Marjo, żebyście dziś poszli ze mną na miasto około drugiej po południu — poprosił Martin natychmiast po odebraniu czeku. — Albo, lepiej, przyjdźcie około drugiej na róg Broadway i Czternastej. Będę na was czekał.

Marja zjawiła się punktualnie. „Buty“ — było jedyne wyjaśnienie tajemnicy, na jakie zdobyć się mogła, odczuła więc nawet wyraźny zawód, kiedy Martin minął, jakby umyślnie, piękny sklep z obuwem i wprowadził ją do rejenta. To, co zaszło później, pozostało w jej wspomnieniach czemś podobnem do majaków sennych.

Eleganccy panowie uśmiechali się ku niej życzliwie, rozmawiając z Martinem i pomiędzy sobą; maszyna do pisania klekotała pośpiesznie; złożono podpisy na jakimś imponującym dokumencie; właściciel domku, w którym mieszkała, znalazł się tu również i również coś podpisał. A kiedy wszystko skończyło się szczęśliwie, i Marja wyszła na ulicę, gospodarz podszedł do niej, mówiąc: — „A więc, kochana Marjo, nie potrzebujecie już płacić mi siedmiu i pół dolarów komornego za ten miesiąc“.

Marja była zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć.

— Ani za następny, ani za następny, ani za żaden — mówił dalej gospodarz.

Podziękowała mu niezdarnie, jak za wielką łaskę. I dopiero powróciwszy do Oakland i porozumiewszy się z sąsiadkami, a przede wszystkim ze sklepi-

karzem Portugalczykiem, zrozumiała Marja, że stała się istotnie prawą właścicielką domku, w którym mieszkała i za który tak długo płaciła komorne.

— Dlaczego nie kupuje pan nic u mnie? — zagadnął tegoż dnia sklepikarz, wyszedłszy na spotkanie Martina, wysiadającego z tramwaju.

Martin wyjaśnił grzecznie, że teraz nie gotuje już w domu, i przyjął zaproszenie na szklaneczkę wina. Pijąc, zauważył, że było to najlepsze wino, jakie posiadać mógł sklepikarz w swej piwnicy.

— Marjo, — oświadczył Martin tegoż wieczora, — wyprowadzam się od was. Wy sami również wkrótce stąd wyjedziecie. Będziecie mogli wynająć ten domek komu innemu i sami pobierać komorne. Macie, zdaje się, brata mleczarza w San Leandro, czy w Hayward. Życzę sobie, żebyście odesłali klientom bieliznę niepraną — rozumiecie? niepraną, i zaraz jutro pojechali odwiedzić brata. Niech przyjedzie rozmówić się ze mną. Zastanie mnie w hotelu Metropol, na południowej stronie miasta. Będzie zapewne mógł mnie poinformować o jakiej dobrej fermie mlecznej do sprzedania.

Tak oto stała się Marja właścicielką domu i fermy mlecznej, gdzie dwaj robotnicy spełniali za nią trudniejszą robotę, oraz posiadaczką rachunku bieżącego w banku; rachunek ten wzrastał stale, chociaż cały ród Silvy chodził codziennie w bucikach i uczęszczał do szkoły. Niewielu ludzi spotyka w życiu swego wyśnionego królewicza z bajki, lecz Ma-



rja, co pracowała ciężko, skołatana miała głowę i nigdy o królewiczach nie śniła — spotkała swego w postaci eks-robotnika z pralni. Po świetle tymczasem zaczęto już pytać „kim jest Martin Eden?“ Odmówił, co prawda, wszelkich danych biograficznych wydawcom, lecz reporterom dziennikarskim nie mógł się opędzić. Oakland było rodzinnem miastem Martina, z łatwością więc wywąchano mnóstwo ludzi, którzy mogli udzielić informacji. Wszystko, czem Martin był i czem nie był, co czynił, a głównie to, czego nigdy czynić nie zamierzał, rzucono teraz ku uciechu publiczności, zaopatrując w portrety, dostarczone przez miejscowego fotografa, u którego swego czasu zdjęt się był Martin, i który obecnie nie omieszkiał poodbijać fotografii i skwapliwie rzucić na rynek. Z początku wstręt do gazeciarstwa i całego mieszczańskiego społeczeństwa zmuszał Martina do walki z szaleńcami reklamy, zczasem jednak poddał się, ponieważ poddać się było łatwiej. Uważał, że niepodobna odmawiać widzenia specjalnym korespondentom, którzy przyjeżdżali zdaleka dla jednej rozmowy. Pozatem, dzień każdy tyle miał godzin — od czasu, gdy nie wypełniało go czytanie i pisanie — że należało przecie spędzić je w jaki bądź sposób. Przewyciężył więc niechęć, udzielał licznych *interviewów*, wypowiadał poglądy na temat literatury i krytyki, a nawet przyjmował zaproszenia burżuazji. Zapadł w dziwaczny, lecz nader wygodny stan. Nie dbał o nic. Niczego nie pragnął. Przebaczył wszystkim,

a szczeniakowi reporterowi, co ongiś wymalował go na czerwono, udzielił nawet wywiadu na całą kolumnę ze specjalnie pozowanemi fotografjami.

Od czasu do czasu spotykał Lizzie, która najwidoczniej czuła żal do losu za to, że zesłał Martinowi sławę. Zwiększało to jeszcze dzielącą ich przepaść. Kto wie, może właśnie dla zasypania tej przepaści zgodziła się wysłuchać próśb Martina i uczęszczać do szkoły handlowej i na kursa wieczorowe, a nawet ubierać u pierwszorzędnego krawca — prawdziwego artysty, który zdzierał zresztą bajońskie sumy. Z dnia na dzień robiła wyraźne postępy, aż wreszcie Martin zastanawiać się zaczął, czy należy podsycać jej zapal. Wiedział bowiem, że wszystkie starania dziewczyna czyni przez miłość i dla miłości. Chciała nabrać wartości w oczach człowieka kochanego. Wartości takiej, którą on zapewne ceni. Nie podtrzymywał jednak złudzenia: traktował ją po bratersku i widywał zrzadka.

„*Spóźniony*“ ukazał się nakładem firmy Meredith-Lowell, w momencie, gdy popularność Edena sięgała zenitu. Jako powieść, zdobył jeszcze większe powodzenie niż „*Hańba Słońca*“. Mijały tygodnie, a Martin wciąż jeszcze poszczycić się mógł tem niebywałem zjawiskiem, że obie jego książki stawiają równocześnie rekord poczytności. „*Spóźnionego*“ czytali nietylko zwykli amatorzy powieści, ale i czytelnicy „*Hańby Słońca*“, tych bowiem nęcił u Edena potężny pazur orli, który znać było również w traktowaniu beletrystyki. Najpierw za-

atakował oderwanie się od wszelkiego realizmu, i uczynił to znakomicie; następnie zaś równie udanie rzucił w świat wzór twórczości realistycznej. Dowiódł, że jest talentem wyjątkowym, równocześnie bowiem krytycznym i twórczym.

Złoto przyływało, rosła sława; Martin Eden ni-  
by meteor zajaśniał w świecie sztuki, popularność  
jednak bawiła go raczej, niż wzruszała. Jeden je-  
dyny szczegół tylko przejął go i zdziwił naprawdę.  
Świat co prawda byłby się raczej dziwił jego zdzi-  
wieniu, niżli owej nic nie znaczącej drobnostce, któ-  
rą sławny Eden wyolbrzymił sobie w wyobraźni.

Sędzia Blount zaprosił go na obiad! Oto była owa  
rzecz drobna, a raczej początek rzeczy drobnej, któ-  
ra zczasem urosnąć miała do rzeczy wielkiej. Mar-  
tin obraził sędziego Blount, potraktował go obel-  
żywie, sędzia Blount zaś spotkał go na ulicy i za-  
prosił na obiad. Martin przypomniał sobie, ile to  
razy sędzia Blount miał sposobność zaproszenia go  
na obiad. Dlaczegoż nie zaprosił? Nie zmieniłem się  
przecie. Jestem tym samym Martinem Edenem. Na  
czem polega różnica? Na tem, że rękopisy stały się  
książkami w okładce? Przecież pracę spełniłem daw-  
niej. Dzieło swoje stworzyłem wtedy właśnie, kie-  
dy sędzia Blount pomstował na moje poglądy, na  
mego Spencera i cały mój intelekt. A więc, sędzia  
Blount zaprasza mnie do swego domu nie dla mo-  
jej istotnej lecz dla urojonej i nieistniejącej war-  
tości?

Martin uśmiechnął się kwaśno, zaproszenie przy-

jął i nie przestał dziwić się wyjątkowej łasce. Przy obiedzie zaś — wykwintnym proszonym obiedzie z damami, gdzie Martina traktowano jako pierwszą osobę — sędzia Blount, wspomagany dzielnie przez sędziego Hanwell'a, usilnie upraszał, aby Martin zezwolił umieścić nazwisko swe na liście członków *S t y x u*, klubu elity, gdzie przyjmowano nie tylko wielkie fortuny, ale i wielkie zasługi. Martin odmówił i dziwić się począł mocniej niż kiedykolwiek.

Rozdzielanie rękopisów zabierało sporo czasu. Wydawcy zasypywali prośbami. Niespodziewanie odkryto, że styl Martina Edena ma żywe ciało pod martwemi literami. „*Przegląd północny*“, wydrukowawszy „*Kolebkę Piękną*“, upominał się o sześć szkiców w tym samym rodzaju; Martin byłby za dość uczynił tej prośbie, gdyby nie *Burton*, który przelicytował te same szkice, ofiarowując za każdy po pięćset dolarów. Martin odpisał, że zgadza się, ale żąda po tysiąc dolarów. Pamiętał dobrze, że rękopisy te odrzucane były swego czasu przez te same pisma z najzimniejszą krwią, automatycznie, stereotypowo. Napocił się przez redaktorów — niechże teraz pocą się oni. *Burton* zapłacił chętnie co mu kazano i zabrał pięć szkiców, pozostałe zaś wchłonął natychmiast na tychże warunkach miesięcznik „*Mackintosh*“, jako że „*Przegląd Północny*“ był zbyt ubogi, żeby wytrzymać licytację. Tak więc poszły w świat: „*Arcykapłani tajemnicy*“, „*Marzyciele*“, „*Miara jaźni*“, „*Filozofja złudze-*

nia“, „Bóg i Proch“, „Sztuka biologji“, „Krytycy i Próbowki“, „Pył gwiezdny“, „Wartość dobroczynna lichwy“. Poszły w świat — i podniosły wielką orgję wrzawy, orgję, która nie cichła.

Wydawcy nie przestawali prosić o rękopisy, zgadzając się zgóry na warunki, jakie naznaczy autor. Martin posyłał, ale tylko rzeczy dawno napisane. Nie był w stanie zmusić się do stworzenia czegoś nowego. Sama myśl wzięcia pióra do ręki doprowadzała go do wściekłości. Widział, jak tłum rozszarpał na strzępy Brissendena, i chociaż ten sam tłum uwielbiał dziś jego, Martina Edena — nie mógł za uwielbienie przebaczyć tamtej krzywdy, ani nabrać szacunku dla gawiedzi. Własna popularność wydawała mu się zdradą Brissendena, bezczeszczeniem jego pamięci. Pelen wstrętu i pogardy zdecydował jednak Martin pozostać na targowisku i napelnąć mieszek.

Pewnego razu otrzymał list następującej treści:  
„Rok temu mieliśmy nieszczęście odrzucić pański cykl wierszy miłosnych. Wzbudziły one nasz nieklamany zachwyt, lecz niefortunny zbieg okoliczności nie dozwolił nam wydrukować ich wtedy. O ile Sz. pan posiada je dotychczas i zechce nam je przesłać — radzi będziemy umieścić cały cykl na oznaczonych przez pana warunkach. Gotowi również jesteśmy zawrzeć z Sz. panem możliwie najkorzystniejszą dla niego umowę, co do książkowego wydania“.

Martin wygrzebał swoją tragedję pisaną białym

wierszem i posłał zamiast cyklu erotyków. Przed wysłaniem odczytał raz jeszcze i nie mógł oprzeć się wrażeniu naiwnego dyletantyzmu i pretensjonalnej miernoty. Posłał jednak i tragedia ujrzała światło dzienne ku wiecznej udręce i niepowetowanemu żalowi redaktora. Publiczność zgorszyła się — i nie uwierzyła. Zbyt wielka przepaść dzieliła szlachetny artyzm Martina Edena od tego napuszonego bajania. Zapewniano, że Eden nie napisał nic podobnego, że „*magazine*“ podrobił niezdarnie pióro wielkiego autora, albo że wreszcie Martin Eden, idąc śladami Dumasa ojca, u szczytu powodzenia wynajmuje sobie ludzi, którzy wyręczają go w pisaniu. Kiedy jednak Eden wytłumaczył osobiście, że owa tragedia jest jego wczesną a nieudaną próbą pióra, że jednak „*magazine*“ nie chciał się uspokoić, zanim jej nie otrzymał — podniósł się huczny śmiech na rachunek biednego „*magazine*“, poczem w niefortunnej redakcji nastąpiła zmiana personelu. Tragedji nie wydano nigdy w formie książkowej, chociaż autor uprzednio otrzymał był zadatek.

Tygodnik „*Coleman*“ nadesłał długi (ze trzysta dolarów kosztujący) telegram, w którym prosił o dwadzieścia artykułów, po tysiąc dolarów każdy. Proponowano Martinowi podróż po Stanach Zjednoczonych na koszt redakcji, dla rozejrzenia się po kraju i wybrania ciekawych tematów. Depesza wyliczyła długi szereg spraw do ewentualnego poruszenia, pozostawiając Martinowi wybór tematów i sposób traktowania. Jako jedyne zastrzeżenie sta-



wiano ograniczenie się do spraw Stanów Zjednoczonych. Odmówił, posyłając na koszt redakcji uprzejme wyrazy ubolewania.

„*Wiki-Wiki*“, ogłoszone w miesięczniku „*Warren*“, osiągnęło szczyt powodzenia. Wydane zostało następnie we wspaniałym, bogato zdobionym zeszyście, który szedł w handlu, niczem paszteciki. Krytycy twierdzili jednogłośnie, że „*Wiki-Wiki*“ stanąć winno w równym rzędzie z utworami klasycznymi literatury amerykańskiej.

„*Dym wesela*“ powitany jednak został na rynku dość obojętnie i z pewnem niedowierzaniem. Zuchwałość i brak wszelkiego konwencjonalizmu w ujęciu tematów raziły przesadną moralność mieszczańską. Lecz kiedy Paryż szaleć począł za tłumaczeniem, dokonaniem niezwłocznie — amerykańska i angielska publiczność przejęła modę i wykupiła tyle egzemplarzy, że Martin uznał za stosowne zażądać od solidnej firmy Singletree, Darnley i S-ki dwudziestu pięciu procent za trzecią książkę i trzydziestu za czwartą. Obie te książki zawrzeć miały wszystkie nowele Edena, jakie ukazały się lub ukazać miały w gazetach i periodykach. „*Dźwięk dzwonów*“ wraz ze wszystkimi „strasznymi opowieściami“ stanowił jeden tom; na drugi zbiorek złożyły się: „*Przygoda*“, „*Garnczek*“, „*Widmo Życia*“, „*Wir*“, „*Tłoczna Ulica*“, i cztery inne. Firma Meredith-Lowell wydała zbiorek szkiców, firma Maxmillian zaś — „*Liryki Morza*“ i „*Cykl Miłosny*“, który wydrukowany był przedtem przez Tygodnik



kobiecy „*Ladies' Home Companion*“, ofiarowawszy zań bajeczne honorarium.

Sprzedawszy ostatni rękopis, Martin odetchnął z ulgą. Pałac trzcinowy i biały statek posyty miedzią stały się już zupełnie osiągalne. No, w każdym razie okazało się, że Brissenden nie miał racji, twierdząc, iż żaden utwór wartościowy nie przedostanie się do czasopism. Powodzenie Martina jest najlepszym dowodem, że nieraz dzieje się odwrotnie. A przecież czuł w głębi duszy, że istotną rację, rację najgłębszą, miał właśnie Brissenden. Istotną przyczyną tego szalonego powodzenia nie była wartość utworów Edena, lecz tylko i wyłącznie ów hałas, jaki wywołało ukazanie się „*Hańby Słońca*“. Reszta stała się właściwie przypadkiem. Powieści i nowele odrzucano przecież po czasopismach na prawo i na lewo. „*Hańba Słońca*“ wywołała hałas namiętnej dyskusji i owczy pęd ku nowej modzie. Gdyby nie ów przypadek, nie byłoby owczego pędu. Wydawcy Singletree, Darnley i C-o potwierdzali również, że miał tu miejsce jakiś zbieg szczęśliwych okoliczności. Wątpili przecie, czy sprzedadzą tyśiąc pięćset egzemplarzy. Mieli duże doświadczenie wydawnicze i nadziwić się nie mogli temu, co zaszło. Uwierzyli w cud i tę zabobonną wiarę odzwierciedlał każdy ich list, pełen nieklamanego podziwu. Nie próbowali wyjaśniać sobie tajemniczego zjawiska. Wyjaśnienie nie istniało zresztą. Stało się, co się stać miało. Wbrew przewidywaniom i wbrew doświadczeniu.

Tak oto rozumując, wątpił Martin coraz mocniej w wartość zdobytej sławy. Książki jego kupowała sfilistrzała burżuazja, a chociaż znał ją mało, ośmielał się wątpić, czy zrozumieć mogła choć cokolwiek z tego co napisał. Stworzone przez niego prawdziwe wartości były pustym dźwiękiem dla setek tysięcy, kupujących jego książki i bijących oklaski. Eden był poprostu modą, bohaterem sezonu, przybłądą, który wstępnym bojem wziął Parnas, podczas gdy bogowie drzemali. Setki tysięcy czytały go dziś i biły brawo z tą samą brutalną tępotą, z jaką rzuciły się na „*Efemerydę*“ i rozdarły w strzępy. Stado wilków łąsiło się, zamiast szczerzyć kły. Ale ostry kieł, czy miękka szerść — to tylko kwestja przypadku. Martin pewien był jednego: „*Efemeryda*“ stoi nieskończenie wyżej od wszystkiego, co napisał kiedykolwiek, od wszystkiego, co zdolny był napisać. „*Eefemeryda*“ jest poematem, co pojawia się raz na stulecie. Hody tłumu są więc zaiste pożałowania godne, skoro ten sam tłum wdeptuje w błoto arcydzieła.

Odetchnął głęboko, odetchnął z ulgą. Ostatni rękopis wysłany: wkrótce można będzie odrzucić to wszystko raz na zawsze.

## Rozdział XLIV

Pan Morse spotkał Martina w kantorze hotelu Metropol. Czy zaszedł tu przypadkowo w jakichś swoich sprawach, czy też specjalnie poto, żeby spotkać sławnego autora i zaprosić go na obiad — Martin nie wiedział, skłaniał się jednak ku tej ostatniej hipotezie. Tak czy inaczej, zaproszenie otrzymał, zaproszenie od pana Morse — ojca Ruth, który wynmówił mu dom i zerwał zaręczyny.

Martin nie odczuł gniewu. Nie przybrał nawet tonu obrażonego. Zastanawiał się pobłaźliwie, poco właściwie łyka ów człowiek gorzką pigułkę upokorzenia. Nie odmówił nawet. Prostu zbył zaproszenie, zbagatelizował jakimś nieokreślonem półsłówkiem, śpiesząc zapytać o zdrowie rodziny, w szczególności zaś pani Morse i panny Ruth. Imię to wymówił bez wahania, z prostotą, sam zresztą dziwiąc się w duszy, że nie odczuwa już tajemnego drżenia, ani dobrze znanego przyśpieszenia tętna, ani naglej fali rumieńca.

Ostatniemi czasy ciągle ktoś zapraszał go na obiad. Niektórzy specjalnie w tym celu zawierali znajomość. Niekiedy Martin przyjmował zaprosze-

nia. Lecz nieustannie i uparcie dziwił się tej rzeczy drobnej, która stopniowo stawała się wielką. Bernard Higginbotham zgłosił się również. Martin pamiętał dni rozpaczliwego przymierania głodem, kiedy właśnie potrzebował obiadów, a słać się musiał wycieńczony i tracić siły.

Oto paradoks. Kiedy pragnął posiłku, nikt mu go nie dał; dziś, kiedy kupić sobie może sto tysięcy obiadów i wcale ich nie pragnie — zaproszenia sypią się na prawo i lewo. Czemu? Niema w tem ani sprawiedliwości, ani zasługi. Wszak Martin nie był wtedy inny! Wszystko, czego dokonał, dokonane było już wówczas. Państwo Morse uważali go jednak za leniwca-darmozjada i namawiali za pośrednictwem Ruth do wzięcia pierwszej lepszej posady. A przecież — wiedzieli o dokonanej pracy. Ruth pokazywała im rękopis za rękopisem. Czytali wszystko. I była to ta sama praca, z powodu której piszą dziś o Edenie gazety. Dlatego zaś, że piszą gazety — państwo Morse zapraszają na obiad.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Państwo Morse nigdy nie dbali o Martina Edena, jako takiego, ani o pracę, jakiej dokonał. Oczywiście, nie mogą dbać o to i dzisiaj. Dbają o sławę, o stanowisko i — czemużby nie — o sto tysięcy dolarów. W ten oto sposób ocenia człowieka społeczeństwo filistrów. Czyż ludzi się jeszcze, że mogło być inaczej? Nie ludzi się bynajmniej. Ma jednak dumę. Pogardza taką oceną. Pragnie być ceniony dla samego siebie,

albo dla swojej pracy, która jest przecie tylko wypowiedzeniem siebie samego. Tak ceniła go Lizzie. Tak samo Jimy i cała jego paczka. Dowiedli tego nieraz za dawnych czasów, dowiedli również tej niedzieli w parku Shell Mound. Nie dbali o książki. Jego tylko lubili, jego chcieli mieć dla siebie, Marta, starego kolegę i dobrego chłopą!

A potem — Ruth. Nie ulegało wątpliwości, że ona kochała go również dla niego samego. A przecie, burżuazyjny sposób wartościowania, tępy światopogląd sfery — kochała mocniej. Nie pochłaniała pracy Martina, przedewszystkiem — jak mu się zdawało — dlatego, że praca ta nie dawała dochodów. Wedle tego przecie ocenila „Cykl Miłosny“. Ona również zaganiała go „do roboty“, nazywając to subtelnie „objęciem posady“. Czytał jej był wszystko, co napisał — poezje, nowele, artykuły, „Wiki-Wiki“, „Hańbę Słońca“ — wszystko: a przecie nie przestawała wysyłać go na posadę, namawiać do pracy. Dobry Boże! Czyż nie pracował ponad siły, nie kradł snu samemu sobie, nie rujnował zdrowia, poto tylko, żeby stać się jej godnym! Drobną rzecz przybierała więc rozmiary coraz większej rzeczy. Martin był zdrow i normalny, jadał regularnie, sypiał długo, a przecie owa rosnąca rzecz drobna prześladowała go coraz natarczywiej.

Praca była już dokonana. Myśl sformułowana w ten sposób nieustannie świdrowała w mózgu. Siedział za stołem imć Bernarda Higgin-

bothama przy zawieszistym obiedzie niedzielnym i całym wysiłkiem woli powstrzymywał się, żeby nie zacząć mówić:

„Praca była już dokonana! Karmicie mnie teraz, a przedtem wyganialiście z domu za to, że nie chciałem pracować po waszemu. A przecież książki były już napisane! Za to teraz przerywacie własną myśl, kiedy zaczynam mówić, patrzycie chciwie na moje wargi i z uważnym szacunkiem przysłuchujecie się co powiedzieć raczę. Mówię wam, żeście przegnili docna, a wy, zamiast unieść się gniewem, pochrząkujecie i potakujecie, starając się przyznać mi możliwie jak najwięcej racji. Dlaczego? Dlatego, że jestem sławny, dlatego, że mam góry złota. Nie dlatego jednak, że jestem Martin Eden, chłopak niezły, a przytem wcale nie głupi. Mógłbym powiedzieć, że księżyc zrobiony jest z zielonego sera, a wzięlibyście to pod uwagę, w każdym zaś razie nie śmielibyście mi zaprzeczyć — znowu z powodu moich dolarów. A przecie wszystko uczyniłem niegdyś. Praca dokonana została wtedy, kiedy zawzięcie wdeptywaliście mnie w błoto“.

Martin milczał jednak. Uparta myśl męką przeżerała mózg — ale uśmiechał się tylko i z powodzeniem udawał uprzejmość. Korzystając z milczenia, Bernard Higginbotham zabrał głos i wypowiedział się dowoli. Sam oto doszedł do tego, co posiada i dumny jest z siebie. Nikogo o pomoc nie prosił. Spełnił swój obowiązek obywatelski, stworzył i utrzymuje liczną rodzinę. A oto jest sklep pod

firmą Higginbotham, niezniszczalny pomnik zaradności i pracowitości właściciela. Kocha sklep, jak inni kochają swoje żony. Serce swe otwiera przed Martinem, opowiadając o wysiłkach i pracy, któremi wydzwignął firmę. Co do przyszłości, roi teraz ambitne plany. Sąsiad rozrasta się zbyt szybko. Sklep staje się już zbyt mały. Gdyby tak trochę więcej miejsca, możnaby kolosalnie rozszerzyć interes. Bernard Higginbotham pragnie koniecznie dopiąć swego, zakupić pusty plac sąsiedni i dobudować nowy dwupiętrowy dom. Górę możnaby wynająć, a cały parter zająłby handel. Oczy zabłysły mu, kiedy mówił o wielkim, nowym szyldzie, co zająśnić miał przez całą długość obu domów.

Martin zapomniał o słuchaniu. Refren „praca była już dokonana“ brzęczał mu w uszach i zagłuszał paplaninę szwagra. Refren ten doprowadzić mógł do szalu, więc Martin spróbował przed nim umknąć.

— Ile powiada pan, mogłoby to wszystko kosztować? — zagadnął nagle.

Tamten przerwał raptownie tok wynurzeń na temat nieznośnej rywalizacji z sąsiadem. Nie powiedział, ile mogłoby to kosztować. Ale wiedział dobrze. Obliczył sobie już bardzo dawno.

— Według obecnych cen materiałów — odrzekł — ze cztery tysiączki starczyłoby.

— Czy to już z szyldem?

— Nie policzyłem szyldu... Jak będzie dom, szyld sam się znajdzie.

— A plac?



— Jeszcze ze trzy...

Pochylił się naprzód, nerwowo oblizując wargi i trzaskając w palce, podczas gdy Martin wypisywał czek. Dostawszy go wreszcie do rąk własnych, spojrzał skwapliwie na sumę. — Siedem tysięcy dolarów.

— Ale ja... ja... nie mogę płacić więcej niż sześć procent — powiedział głucho.

Martin powstrzymał wybuch śmiechu i zapytał rzeczowo:

— Ileż to wynosi?

— Zara, zara! Sześć od sta — sześć razy siedem — czterysta dwadzieścia.

— To znaczy trzydzieści pięć dolarów miesięcznie, nieprawdaż?

Higginbotham skinął głową.

— A więc, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zrobimy następującą transakcję: — Martin spojrzał na Gertrudę. — Zatrzyma pan na własność całą sumę pod warunkiem, że trzydzieści pięć dolarów miesięcznie poświęci pan na gotowanie, pranie i szorowanie. Siedem tysięcy należy do pana, jeśli pan mi gwarantuje, że Gertruda nie będzie już miała ciężkich robót w domu. No, cóż, zgoda? .

Imię Higginbotham łyknął z wysiłkiem. Żądanie ujęcia żonie nieco pracy uważał za afront. Wspañiały podarek zatruty był gorzką, zaiste bardzo gorzką pigułką. Jego żona ma nie pracować? Szlag może trafić!

— A więc — jeśli nie, to nie — wyrzekł Mar-

tin. — Wobec tego ja zapłacę owe trzydzieści pięć dolarów miesięcznie, co zaś do całej sumy...

Przez stół sięgnął po czek. Lecz Bernard Higginbotham zdołał już pochwycić go pierwszy, wołając:

— Zgadzam się! Przyjmuję!

Martin, wsiadając do tramwaju, czuł się zmęczony i zupełnie chory. Raz jeszcze rzucił okiem na szyld sławetnej firmy.

— Świnia! — mruknął. — Świnia! Świnia!

Gdy *Mackintosh Magazine* wydrukowała „*Wróźbiarkę*“, ozdobioną winietami Berthier'a oraz dwiema ilustracjami Wenn'a — Herman von Szmidt zapomniał, że poemacik nazwał ongiś rozpustnym. Oświadczył wszem wobec, że wiersz ten natchniony został przez jego żonę, dopilnował, żeby nowina doszła do uszu odpowiedniego reportera, udzielił wywiadu specjalnemu korespondentowi, któremu towarzyszył fotograf. Rezultatem tych zabiegów stała się cała stronica w dodatku niedzielnym, pełna upiększonych zdjęć Marian oraz intymnych szczegółów z życia Martina Edena i jego rodziny. Następował pełny tekst „*Wróźbiarki*“, przedrukowany za zezwoleniem *Mackintosh Magazine*. Narobiło to wiele hałasu w sąsiedztwie, pocziwe kumoszki poczęły pysznić się znajomością z siostrą wielkiego pisarza, te nawet, które dotychczas nie kwapiły się z podtrzymywaniem towarzyskich stosunków. Herman von Szmidt zaśmiewał się pocichu w swoim małym war-

sztacie i zdecydował, że obstalować należy nowe koło.

— Świetne jako reklama — tłumaczył żonie — a przytem nie kosztuje.

— Jeszcze lepiej byłoby zaprosić na obiad Martina — poradziła Marian.

Martin istotnie przybył na obiad i starał się emablować swego sąsiada, grubego rzeźnika, i sąsiadkę, jeszcze grubszą panią rzeźnikową. Byli to goście nader cenieni w domu młodych ludzi na dorobku. Wędką, którą złapano ich zresztą, był, rozumie się, brat, wielki pisarz. Drugim gościem, który połknął ten sam haczyk był starszy agent fabryki rowerów A s a. Von Szmidt pragnął ugościć go i olśnić, od niego bowiem otrzymać było można agenturę firmy A s a na Oakland. Posiadanie więc szwagra wielkiego pisarza, uważał Herman von Szmidt za wcale niezły wynalazek, chociaż w głębi duszy ani rusz pojąć nie mógł, skąd mu się ta wielkość wzięła. Nieraz cichemi nocami, korzystając z mocnego snu żony, wertował książki Martina i zdecydował wreszcie, że świat jest głupi, skoro kupuje coś podobnego.

Martin tymczasem również w głębi duszy doskonale orjentował się w położeniu, kiedy oparty wygodnie o poręcz krzesła obejmował wzrokiem głowę von Szmidta i marzył o satysfakcji, z jaką raz po raz a systematycznie wyboksowałby ten paskudny łeb szwabski. Za jedno przecież czuł pewną sympatię do swego nowego szwagra: ubogi i z całych sił

pragnący dorobku, nie skąpił jednak na służącą i Marian nie była zmuszona nigdy prac i szorować. Martin rozmówił się z agentem firmy Asa, po obiedzie zaś odciągnął go wraz z Hermanem na stronę, żeby wspólnie ubić interes. Hermanowi obiecał Martin jak najdalej idące poparcie finansowe dla zakupu najlepszego w całym mieście sklepu z rowerami i odpowiedniego warsztatu. Pozatem polecił mu prywatnie, aby rozejrzał się dla siebie za jakimś garażem i przedstawicielstwem samochodów, ponieważ niema żadnych przeszkód, aby Herman von Szmidt poprowadził z powodzeniem dwa interesy.

Przy pożegnaniu, Marian ze łzami w oczach rzuciła się bratu na szyję, zapewniając gorąco, że kocha go bardzo i nigdy ani na chwilę kochać nie przestawała. Stwierdzić należy, że raz pośród najgorętszych zapewnień potknęła się, co zresztą pokryła łzami, pocałunkami i zajękliwym szeptem, który Martin pojął jako prośbę o przebaczenie za ten okres, kiedy straciła wiarę w niego i namawiała, żeby wziął się do porządnej pracy.

— Ten to nigdy nie zaoszczędzi floty — zwierzał się Herman żonie. — Kiedy zacząłem o procentach, powiedział, że gwizdże na całą sumę i jeśli zacznę o tem jeszcze raz, to mi rozbije mój paskudny niemiecki łeb. Słyszałaś, tak powiedział właśnie: paskudny niemiecki łeb. Ale swoją drogą to pyszny chłop, jeśli nawet nic nie kupuje w interesie. Przyniósł mi szczęście, tak, tak, pyszny chłop!

Zaproszenia obiadowe sypały się na Martina, i im więcej przybywało, tem mocniej dziwił się Martin. Siedział na honorowem miejscu podczas bankietu w Klubie Bohemy, w towarzystwie sławnych ludzi, o których słyszał był i czytał przez całe życie. Przekonywali go usilnie, że natychmiast po przeczytaniu „*Dźwięku Dzwonów*“ w „*Transcontinentalu*“ i „*Peri i Perły*“ w „*Szerszeniu*“ — przepowiedzieli mu zwycięstwo.

„Mój Boże!“ — myślał tymczasem Martin, — „a ja byłem głodny i obdarty! Dlaczego wtedy nie daliście mi obiadu? Praca była już dokonana. Ani jedno słowo w „*Dźwięku Dzwonów*“ nie zostało przecie zmienione! Nie, nie za pracę dokonaną karmicie mnie dzisiaj, lecz dlatego tylko, że czyni to każdy i uważa za zaszczyt. Dlatego, że jesteście prochem ziemi, bezmyślną zgrają. A dzisiaj ślepym, bezwiednym odruchem zgraji jest karmienie Martina Edena! Ale co ma z tem wszystkiem wspólnego Martin Eden, jako taki, lub praca Martina Edena? — skarżył się sam sobie gość honorowy. Poczem wstawał, żeby mądry i dowcipnie odpowiedzieć na mądry i dowcipny toast.

Podobnie było codziennie. W Klubie prasowym, na herbatkach i zebraniach literackich — wszędzie wspominano chwilę wydrukowania „*Dźwięku Dzwonów*“ oraz „*Peri i Perły*“. I zawsze dręczyło Martina nieznośne a niewypowiedziane pytanie: „Dlaczego nie karmiliście mnie wtedy? Pracę dokona-

łem był wówczas i ani jednej litery nie zmieniłem w swoich książkach. Nie obchodzą was przecież moje książki, ani jakie bądź moje zasługi. Poprostu do dobrego tonu należy goszczenie Martina Edena i powarjowano na temat wydawania przyjęć dla niego“.

Często na wytwornych zebraniach brała Martina nieodparta chętka pokazania nagle temu eleganckiemu światu siebie samego z przed lat — młodego zabijakę w przykrótkiej kurcie i sztywnym Stetsonie. Zdarzyło się to kiedyś istotnie w Oakland na pewnym wieczorze elity towarzyskiej, gdzie Martin miał przemawiać. Wstał właśnie ze swego fotela i wszedł na wzniesienie. Nagle zobaczył młodego włóczęgę w zbakierowanym kapeluszu, wchodzącego przez wielkie drzwi sali i idącego pustem przejściem środkowem wprost ku estradzie. Pięćset wystrojonych dam odwróciło głowy, tak uparty i ciekawy był wzrok Martina. Ale ujrzały tylko pustą przestrzeń pomiędzy rzędami foteli. Martin jednak widział wyraźnie młodzika, zbliżającego się powolnym, rozkołysanym krokiem, i zastanawiał się, czy wałkoń zdejmie Stetsona, dotychczas bowiem występował uparcie w kapeluszu. Szedł prosto ku niemu. Martin miał ochotę zapłakać nad cieniem własnej młodości, na myśl o wszystkim, co go czeka. Postać w Stetsonie doszła do estrady i rozplynęła się. Pięćset wytwornych dam lekkimi oklaskami urękawiczonych dłoni dodawało odwagi nie-

śmiałemu, wielkiemu człowiekowi, który był ich gościem tego wieczoru. Martin otrząsnął wizję z powiek — i zaczął mówić.

Główny Inspektor oświatowy — poczciwy, stary pan — zatrzymał kiedyś Martina na ulicy i wszczął pogawędkę o uczniowskich czasach i o pamiętnej scenie w jego kancelarji, kiedy to Martina usunięto ze szkoły za uprawianie boksu.

— Czytałem pański „*Dźwięk Dzwonów*“ w jednym z czasopism, już dosyć dawno — oświadczył po chwili. — Wcale nie gorsze od Edgara Poë. Wprost wspaniałe, twierdziłem to odrazu — wspaniałe!

— Tak, tak, a przecież potem dwukrotnie minąłeś mnie i nie poznałeś na ulicy — nieomal wyrwało się Martinowi. — Jeść mi się chciało i szedłem do lichwiarza. A przecież praca była już dokonana. Nie chciałeś znać mnie wtedy. Dlaczegoż znasz mnie dzisiaj?

— Mówilem właśnie któregoś dnia żonie — ciągnął godny pocziwiec, — że byłoby bardzo miło, gdybyś pan zaszedł do nas kiedy na obiad. Żona zgodziła się ze mną najzupełniej. Tak jest, najzupełniej.

— Obiad? — rzucił ostro, a raczej groźnie warknął Martin.

— Ależ tak jest, tak jest; obiad, kochany panie — skromny, domowy obiad u twego starego profesora, he, he, łobuzie! — bronił się nerwowo



tamten, ostrożnie próbując tonu jowialnej poufałości.

Martin ruszył przed siebie, jak oszołomiony. Na rogu przystanął i obejrzał się wokoło pustemi oczyma.

— Niech mnie licho! — mruknął wreszcie. — Wystraszyłem starego.

## R o z d z i a ł   X L V

Pewnego dnia odwiedził Martina Kreiss — Kreiss z klubu socjalistów, i zmusił go do wysłuchania mnóstwa efektownych szczegółów jakiegoś projektowanego przedsięwzięcia, wystarczająco fantastycznego, żeby wzbudzić zainteresowanie Martina, jako powieściopisarza raczej, niż jako społecznika. Od czasu do czasu Kreiss przerywał wykład, żeby upewnić Martina, że poglądy, wypowiedziane w „*Hańbie Słońca*“, przeważnie znamionują głupca.

— Ale ostatecznie nie przyszedłem tutaj, żeby dyskutować o filozofji — przerwał sobie wreszcie. — Przyszedłem dowiedzieć się, czy zechcecie, towarzyszu, wsadzić w historję z tysiąc dolarków?

— Nie; tak wielkim głupcem nie jestem w każdym razie — odrzekł Martin — Ale zato mogę zrobić coś innego. Przeżyłem kiedyś u was najpiękniejszy wieczór mego życia. Teraz doszedłem do pieniędzy, które nie mają dla mnie żadnej wartości. Z przyjemnością ofiaruję wam, osobiście wam owe tysiąc bezwartościowych dla mnie dolarów, wzamian za wasz podarek, który był ponad wszelką cenę. Potrzebujecie pieniędzy. Pragniecie ich. Przy-

szliście po nie. Nie warto wyciągać ich ode mnie podstępem. Weźcie poprostu.

Kreiss nie okazał zdziwienia. Włożył czek do kieszeni marynarki.

— Hm, w każdym razie z przyjemnością podpisałbym umowę jako stały dostawca podobnych wieczorów — zauważył.

— Zapóźno — potrząsnął głową Martin. — Tamten wieczór był dla mnie jedyny. Jakbym się dostał do raju. Dla was to strawa codzienna. Ale nie dla mnie. Nigdy już nie przeżyję takiego uniesienia. Skończyłem z filozofją. Nie chcę słyszeć o niej ani słowa.

— Pierwsze to pieniądze, jakie kiedykolwiek zarobiłem filozofją — zauważył Kreiss, wychodząc. — I akurat rynek nie omieszkiał się popsuć.

Pewnego dnia spotkał Martin na ulicy panią Morse, jadącą powozem. Uśmiechała się i skinęła głową. Martin uśmiechnął się również i uchylił kapelusza. Incydent nie przejął go zupełnie. Jeszcze przed kilkoma tygodniami byłby poczuł oburzenie lub ciekawość i zacząłby rozważać stan sumienia pani Morse w takiej chwili. Teraz jednak zapominał po paru minutach. Zapominał tak, jak zapomina się o kamienicach, mijanych po drodze. A przecież mózg jego nieustannie, nienormalnie pracował. Myśli kłębiły się ciągle w tym samym kole. Ośrodkiem koła był refren: „praca dokonana“. Przeżerał on mózg niby wiecznie żywy robak. Budził ze snu rano. Nocą nie dawał spoczynku. Każda

sprawa życia, która zahaczała o zmysły, ustosunkowywała się natychmiast do niemilkającego refrenu: „praca była już dokonana“. Drogą nieubłaganej logiki doszedł Martin do wniosku, że poprostu nikim jest i niczem. Mart Eden — włóczęga, Mart Eden, marynarz, istnieli w rzeczywistości, byli nim samym; lecz Martin Eden, sławny pisarz, był tylko czczym dymem, co wyparował ze zbiorowego mózgu tłumu — i uwięziony został przypadkiem w ciele Marta-włóczęgi i Marta-marynarza. Lecz on zmylić się nie da. Nie jest bynajmniej tem urojonem bóstwem, które czci tłum, składając w ofierze obiadu. Wie lepiej.

Czytał artykuły o sobie, oglądał w tygodnikach własne fotografie, w których autentyczność wątpił niejednokrotnie... Nie, on, Martin, był chłopakiem, co żył, pulsował krwią, kochał; co łatwo i pobłażliwie znosił biedy życia; co służył na wielu statkach, wędrował po obcych ziemiach i przewodził zgranej paczce towarzyszy za dawnych dobrych, bokerskich czasów. On to był młodzieńcem, co najpierw zabłądził w czytelni pośród tysięcy książek, a potem znalazł do nich drogę, posiadał je i opanował; on to był studentem-samoukiem, co świecił lampę długo w noc, kładł się do łóżka z ostrogą, a zczasem sam pisywać zaczął książki. Lecz czemś nie był napewno. Nie był tym nieprawdopodobnym apetytem, który nasycić uwzięły się tłupy.

Czasopisma bywały niekiedy wręcz zdumiewające, wszystkie *magazine* uważały Edena za swój wy-

nalazek. Miesięcznik „*Warren*” oznajmił czytelnikom, że zawsze popierał młode talenty, a między innymi wprowadził Edena do literatury. Upomniały się o niego „*Biała Mysz*”, „*Przegląd Północny*” i „*Mackintosh Magazine*”, dopóki do milczenia nie zmusił ich „*Globus*”, wskazując triumfalnie na strzępki „*Liryk Morza*” w starej tece redakcyjnej. „*Młodość i wiek dojrzały*”, wznowiony widocznie po zapłaceniu starych długów, zgłosił również swoje pretensje, o których zresztą nie dowiedział się nikt, prócz dzieci farmerów. „*Transcontinental*” opowiadał dumnie i przekonywująco, w jaki to sposób wynalazł pierwszy sławnego obecnie Edena, przeciwko czemu gorąco zaprotestował „*Szerszeń*”, wskazując na „*Peri i Perły*”. Nieśmiały głos firmy Singletree, Darnley i S-ki przepadł w rozgwarze. Co prawda, firma nie posiadała własnego pisma, aby wrzeszczeć głośno.

Gazety zajęły się wreszcie obliczaniem dochodów Martina. W ten czy inny sposób, wspaniałe oferty niektórych czasopism doszły do wiadomości publicznej. Wyższe sfery miasta Oakland coraz przyjaźniej odwiedzały Martina, fachowo zaś pisane listy o wsparcie zasypywały jego skrzynkę pocztową. Ale najgorszą plagą stały się kobiety. Fotografje Edena spopularyzowano nieznosnie, rozmaite gryziopiórki zaś eksploatowały jak mogły jego męską, bronzową twarz, szerokie barki, tajemnicze blizny, jasne spokojne oczy i nawet nieco zapadłe — niczem u ascety — policzki. Wyczytawszy ostatnie spo-

strzeżenie, Martin pomyślał o swej dzikiej młodości i uśmiechnął się tylko. Coraz częściej spotykał kobiety, co spoglądały nań uważnie, oceniały i zdawały się wybierać. Śmiał się pocichu. Potem wspominał ostrzeżenie Brissendena i śmiał się znowu. O nie, kobiety go nie zniszczą — to jedno nie ulegało wątpliwości. Okres niebezpieczny przeminął.

Pewnego razu, odprowadzając Lizzie do szkoły wieczornej, schwytał rzucone w przelocie spojrzenie jakiejś pięknej, eleganckiej kobiety. Spojrzenie było nieco za przeciągłe, trochę zbyt wymowne. Lizzie pojęła je natychmiast i mimowoli wyprostowała się gniewnie. Martin zauważył to i z uśmiechem wytłumaczył dziewczynie, że przywykł już do takich spojrzeń, i że nie dba o nie ani trochę.

— Powinieneś dbać — odrzekła z płonącymi oczyma. — Jesteś chory, żebyś wiedział.

— Nigdy w życiu nie byłem zdrowszy. Przybyło mi dziesięć funtów.

— Nie mówię o ciele. Ale coś tam kiepsko z twoją głową. Popsuła się maszynka do myślenia. Nawet ja, głupia, widzę to.

Martin stąpał koło niej zamyślony.

— Dałabym Bóg wie co, żeby ci przeszło — wybuchnęła w nagłym uniesieniu. — Powinieneś dbać, kiedy kobiety patrzą na ciebie w ten sposób! Na takiego mężczyznę jak ty! To jest nienormalne. To dobre dla wymoczków. Ale ty jesteś inaczej stworzony. Wierz, albo nie wierz, ale powiadam ci,

cieszyłabym się z całej duszy, żebyś natrafił na swoją! Żeby cię nauczyła dbać!

Odprowadziwszy Lizzie, wrócił Martin do Metropolu. Wszedł do pokoju, rzucił się w głęboki fotel skórzany i pustemi oczyma patrzył przed siebie. Nie drzemał, ani nie myślał. Mózg miał pusty, chwilami tylko jakieś postrzępione obrazy nabierały barwy, kształtu i lśnienia tuż pod powiekami. Widzialne były, ale nieuświadomione, niby majaczenia senne. A jednak Martin nie spał. Raz poruszył się nawet i spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma. Niema nic do roboty — pomyślał. — Na spanie za wcześnie. Poczem mózg opustoszał znowu i znowu pod powiekami obrazy zjawiać się zaczęły i ginąć. Nic wyraźnego. Tylko mnóstwo liściastej zieleni i bujnych gałązek, prześwietlonych gorącym słońcem. Nagle pukanie do drzwi wyrwało go z odrętwienia. Pewnie jakiś list albo telegram, albo może służący przynosi bieliznę z pralni. Nieoczekiwanie pomyślawszy o Joe i zastanawiając się, gdzie też stary się podziewa, rzucił Martin: „Proszę!”

Nadal automatycznie myślał o Joe i nawet nie spojrzął na drzwi. Słyszał tylko, że zamknęły się cicho. Długo trwało milczenie. Martin zapomniał, że ktoś pukał, i po dawnemu siedział nieruchomo z utkwionemi przed siebie oczyma. Nagle posłyszał łkanie kobiece. Mimowolne, spazmatyczne, zdławione. Pojawszy to, obejrzał się. W tejże chwili skończył na równe nogi.

— Ruth! — wyrzekł zdumiony i przerażony.



Twarcz miała bladą i zmieszaną. Stała tuż przy drzwiach, jedną ręką wsparta o ścianę, drugą przyciskając do piersi. Potem wyciągnęła ramiona błagalnie przed siebie i zbliżać się poczęła ku Martinowi. Ujawszy dłonie panienki, poczuł Martin ich chłód lodowaty. Posadził Ruth na wygodnym fotelu, sobie przysunął drugi i siadł na poręczu. Był zbyt zaskoczony, żeby móc mówić. W jego pojęciu wszystko, co go łączyło z tą panienką, zamknięte było i pogrzebane. Mniej zdziwiłby się, gdyby nagle cała pralnia z Gorących Źródeł wtargnęła do Metropolu wraz z tygodniową porcją bielizny. Kilkakrotnie próbował przemówić, ale wahał się i znowu milczał.

— Nikt nie wie, że tu jestem — odezwała się Ruth cichutko, podkreślając słowa proszącym uśmiechem.

— Co pani mówi? — zapytał.

Zaskoczony był dźwiękiem własnego głosu.

Powtórzyła.

— A! — odrzekł, poczem zastanowił się, coby jeszcze powiedzieć można.

— Widziałam pana wchodzącego i przeczekałam chwilę.

— Ach tak — odrzekł znowu.

Nigdy w życiu nie był tak niemy i skępowany. Ani jednej myśli pod czaszką! Czuł się tępy i niezdarny, ale za cenę całego życia nie był w stanie wymyślić ani jednego słowa. Znacznie łatwiej byłoby znaleźć się wobec pralni z Gorących Źródeł.

Poprostu zakasałby rękawy i stanął do roboty.

— I wtedy pani weszła — powiedział wreszcie.

Skinęła głową z wyrazem nieco figlarniej złośliwości i rozluźniła szal, otulający szyję.

— Widziałam pana najpierw po drugiej stronie ulicy, idącego z tą... z tą dziewczyną.

— Tak jest — odparł poprostu. — Odprowadzałem ją do szkoły wieczornej.

— No i cóż, nie jest pan rad mnie widzieć? — odezwała się po długim milczeniu.

— Ależ tak, i owszem! — odrzekł skwapliwie. — Myślę tylko, czy nie jest to nieco nieostrożnie ze strony pani?

— Wśliznęłam się pocichu. Nikt mnie nie widział. Nikt nie wie, że tu jestem. Chciałam zobaczyć pana. Pragnęłam powiedzieć panu, że... że bardzo byłam zła i niemądra. Przyszłam, bo nie mogłam już czekać dłużej, bo... bo zmusiło mnie serce... bo... bardzo pragnęłam przyjść.

Wstała i podeszła bliżej, zupełnie blisko. Przez chwilę wsparła na nim rękę i oddychała pośpiesznie. Potem nagle wtuliła się w jego ramiona. On zaś, zawsze dobroduszny i całemu światu życzliwy, nie pragnął jej bólu i wiedząc, że odtrącenie takiego oddania byłoby najboleśniejszą obrazą, jaką zadać można kobiecie — zamknął dłonie i trzymał Ruth w objęciu. Ciepła nie było jednak w tym uścisku. Przyszła mu w ramiona, więc ją trzymał — oto wszystko. Ruth tuliła się coraz pieszczotliwiej, a potem nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję. Lecz

ciało Martina nie tętniło już ogniem pod temi rękami. Nieswojo mu było i niewygodnie.

— Dlaczego pani drży? — zapytał. — Może zimno? Pozwoli pani, że zapalę na kominku?

Spróbował zlekka uwolnić się z jej ramion, ale przyłgnęła bliżej jeszcze, drząc gwałtownie.

— Nic, nic, to raczej nerwowe — odszepnęła spierzchłemi wargami. — Opanuję się za chwilę. O, już lepiej.

Powoli drżenie cichło. Martin wciąż jeszcze trzymał dziewczynę w ramionach, ale już się nie dziwił. Wiedział teraz, poco przyszła.

— Mateczka życzyła sobie, żebym wyszła za Charley Hapgooda — oznajmiła Ruth.

— Za Charley Hapgooda? Tego błazna! — mruknął Martin. Poczem dodał: — A teraz, przypuszczam, że mateczka życzy sobie, aby pani wyszła za mnie.

Nie powiedział tego w formie zapytania. Stwierdził to ze wszelką pewnością i przed oczyma zatańczyły mu nagle cyfry dochodów.

— Nie miałaby nic przeciwko temu; wiem o tem — rzekła Ruth.

— Uważa mnie za partję odpowiednią?

Skinęła głową.

— A przecież, nie jestem ani trochę bardziej odpowiedni, niż wtedy, kiedy zerwała nasze zaręczyny — rozważał. — Nie zmieniłem się wcale. Jestem tym samym Martinem Edenem, ba, może nawet nieco gorszym, bo palę teraz. Nie czuje pani?

W odpowiedzi położyła mu palce na ustach, położyła je wdzięcznie i figlarnie, oczekując pocałunku, który dawniej następował zawsze. Tym razem jednak wargi mężczyzny nie odpowiedziały pieszczotą. Czekał, aż palce zostaną zdjęte, poczem mówił dalej.

— Nie zmieniłem się bynajmniej. Nie wziąłem posady. Nie szukam posady. Gorzej, wogóle szukać jej nie mam zamiaru. Pozatem wciąż jeszcze utrzymuję, iż Herbert Spencer jest wielkim i szlachetnym człowiekiem, sędzia Blount zaś zdecydowanym osłem. Jadłem z nim obiad zeszłego wieczoru, więc ośmielałem się twierdzić to z całą pewnością.

— Ale nie przyjął pan zaproszenia mego ojca?— zagadnęła z uroczym dąsem.

— Jakto? Więc pani wiedziała o tem!... Któż go posłał? Matka pani?

Ruth milczała.

— A więc tak, ona. Byłem tego pewien. A teraz przypuszczam, że ona również przysłała tu panią.

— Nikt nie wie, że tu jestem — zaprzeczyła gwałtownie. — Czyż pan przypuszcza, że matka pozwoliłaby nato?

— W każdym razie pozwoliłaby pani wyjść za mnie, choćby dzisiaj, to pewne.

Ruth krzyknęła boleśnie: — O, Martin, nie bądź okrutny! Nie pocałowałeś mnie nawet. Jesteś jak kamień. Pomyśl tylko, naco się odważyłam dla ciebie! — Obejrzała się trwożnie po pokoju, choć

spojrzenie wyrażało przedewszystkiem ciekawość.—  
Pomyśl tylko, gdzie jestem!

„*Mogłabym umrzeć dla ciebie! Mogłabym umrzeć dla ciebie!*“ — zadźwięczały w uszach Martina słowa Lizzie.

— A dlaczegoż nie odważyłaś się dawniej? — rzucił twardo. — Kiedy nie miałem posady? Kiedy przymierałem głodem? Kiedy byłem ten sam, jako człowiek i jako artysta, ten sam Martin Eden? Oto pytanie, które stawiam sobie oddawna, nie o tobie myśląc nawet, lecz wogóle o wszystkich dookoła. Widzisz, nie zmieniłem się wcale, chociaż owo nagłe podniesienie wartości mojej w oczach ludzkich zmusza do ciągłego upewniania o tem samego siebie. Mam te same mięśnie na tych samych kościach. Nie wyrobiłem w sobie ani jednej nowej zalety, nie rozwinąłem większej energii. Mózg mój jest tym samym dawnym mózgiem. Nie uczyniłem obecnie ani kroku w literaturze lub filozofji. Jestem tyleż wart, co wówczas, kiedy nikt mnie nie chciał. I dziwię się bardzo, dlaczego wszyscy pragną mnie dzisiaj? Widocznie pragną mnie nie dla mnie, ponieważ ja jestem właśnie takim, jakiego nie chcieli. Pragną dla czegoś, co jest poza mną, co nie jest mną. Czy mam powiedzieć pani, dlaczego mianowicie? Dla sławy, którą zdobyłem. Ale sława nie jest mną. Istnieje tylko w umysłach moich bliźnich. Pozatem dla pieniędzy, które zarobiłem i wciąż jeszcze zarabiam. Ale pieniądze również nie są mną samym. Leżą w bankach i przepływają przez kie-

szenie moich bliźnich. I oto dla tego samego, — dla sławy i dla pieniędzy — pragniesz mnie dzisiaj — ty.

— Ranisz mi serce — załkała Ruth. — Wiesz przecie, że cię kocham, że przyszedłam tylko z miłości.

— Obawiam się, że pani nie zrozumiała dostatecznie — odrzekł z wyszukaną uprzejmością. — Twierdzę tylko, że jeśli kocha mnie pani dzisiaj, jakim sposobem miłość pani odepchnęła mnie niegdyś?

— Przebacz i zapomnij! — zawołała z uniesieniem. — Kochałam cię zawsze, zawsze — pamiętaj! I teraz jestem tu, w twoich ramionach.

— Obawiam się, że jestem dziś jak podejrzliwy kupiec, który ciągle sprawdza wagę. Chciałbym wymierzyć i zważyć tę miłość, chciałbym dowiedzieć się, z czego jest zrobiona.

Wysunęła się z ramion mężczyzny, usiadła prosto i przyglądała mu się długo i badawczo. Chciała przemówić, lecz nagle zmieniła zamiar.

— Widzi pani, sprawa jest tego rodzaju — ciągnął. — Dawniej, kiedy byłem tem, czem jestem dzisiaj, nie dbał o mnie nikt, poza ludźmi mojej sfery. Kiedy książki były już napisane, nikt nie cenił ich w rękopisie. Więc w gruncie rzeczy nie cenią mnie za książki. Sam fakt pisania ich uważany był — w najlepszym razie — za poniżający. „Weź się do roboty“, mówili wszyscy.

Ruth drgnęła, jakby chcąc zaprzeczyć.

— Tak, tak, wiem, — mówił dalej Martin. —

Pani była wyjątkiem. Pani jedna mówiła: „weź posadę“. Pospolite słówko „robota“, jak zresztą niejedno słowo w moich książkach, razi panią. Jest brutalne. Zapewniam jednak, że w stosunku do mnie było ono niemniej brutalne, gdy wszyscy dookoła kładli mi je w uszy, niby grzesznikowi, którego nawrócić należy na drogę cnoty. Wracajmy jednak do rzeczy. Ogłoszenie drukiem moich książek i popularność, jaka otoczyła mnie z tego powodu — zmieniły istotę miłości pani. Martin Eden, wraz z dokonaną przezeń pracą, nie był odpowiedni na męża. Miłość pani nie była tak silna, żeby doprowadzić do małżeństwa. Dziś jednak sił jej starczy — wobec czego nie mogę uniknąć tej niemilej konkluzji, że wzmocniła się na widok mojej popularności. Panią, jako taką, nie posądzam o branie pod uwagę moich dochodów, chociaż nie wątpię, że rodzice pani pod uwagę je biorą. Rzecz prosta, wszystko to nie jest dla mnie bynajmniej zaszczytne. Co gorzej jednak, każe mi wątpić w Miłość, w świętą Miłość. Byłaby miłość uczuciem tłumu? Nato wygląda. Siedziałem tu sobie i rozmyślałem o tem, aż zakręciło mi się w głowie.

— Biedna, kochana głowa! — Ruth podniosła rękę i pieszczotliwie przesunęła palce po włosach Martina. — Niech się już więcej nie kręci. Niechże pozwoli nam zacząć na nowo. Kochałam cię przez cały ten czas. Wiem, że zgrzeszyłam słabością, nie umiejąc oprzeć się woli matki. Nie powinnam była ustępować. Ale słyszałam nieraz, z jak wielką do-



brocią mówiłeś o ułomnościach ludzkich. Niechże ta dobroć mnie również dosięgnie. Zbłądziłam, przyznaję. I proszę o przebaczenie!

— O, przebaczam z miłą chęcią — odrzekł niecierpliwie Martin. — Łatwo jest przebaczyć, kiedy niema już właściwie nic do przebaczenia. Żaden czyn pani nie wymaga przebaczenia. Każdy postępuje wedle własnej duszy i nic ponadto uczynić nie może. Równie dobrze ja mógłbym dziś prosić panią o przebaczenie zato, że nie wziąłem posady.

— Chciałam jak najlepiej — zaprotestowała. — Pan wie o tem. Mogłam była wogóle nie kochać pana i niczego dla pana nie pragnąć.

— Niewątpliwie; ale mogła mnie pani również zmarnować swemi najlepszymi chęciami. Tak jest, tak jest! — odparł jej niemy protest. — Byłaby pani zniszczyła moją pracę, a co zatem idzie, i całą przyszłość moją. Realizm jest podstawową cechą mej natury, a duch burżuazji nienawidzi realizmu. Burżuazja jest tchórzliwa. Lęka się życia. Cały wysiłek pani zmierzał ku temu tylko, żebym ja również przeląkł się życia. Chciała mnie pani zamknąć w formułki, osadzić w gołębniku, gdzie wszystkie wartości życia stałyby się nierealne, nieistotne, fałszywe i wulgarne. — Odczuł wzbierający w dziewczynie protest. — Tak jest, wulgarność (serdeczną, prostoduszną wulgarność darowuję chętnie!), wulgarność jest podstawą burżuazyjnej kultury i prze rafinowania. Jakem rzekł, chciała mnie pani zakuć w formułki, uczynić ze mnie własność waszej sfe-

ry, obarczoną cenionemi przez was zaletami, ideałami i przesadami. — Smutnie pokiwał głową. — Pani nawet w tej chwili nie rozumie tego, co mówię. Słowa nie mają dla pani tego znaczenia, jakie ja w nie wkładam. Wydają się poprostu pustym dźwiękiem, w najlepszym zaś razie bawi panią i dziwi, że ten prostacki chłopak, co zaledwie wydobył się z nizin, ośmiela się sądzić sferę pani i nazywać ją wulgarną.

Ciężko pochyliła głowę na ramię Martina; nerwowo dreszcz powracał znowu. Czekał, czy nie zacznie mówić, lecz nie doczekawszy się, ciągnął dalej:

— A teraz chce pani odnowić naszą miłość. Pragnie pani naszego małżeństwa. Pragnie pani mnie. A przecież — proszę posłuchać — gdyby moje książki nie stały się sławne, mogłaby pani czekać jeszcze długo... Gdyby nie te książki przekłete...

— Ach, proszę nie kląć! — przerwała panna.

Urwał i wybuchnął gorzkim śmiechem.

— Oto cała prawda jak na dłoni — wyrzekł po chwili — w tak ważnej chwili, od której, zdawałoby się mogło, zależy całe szczęście, po dawnemu boi się pani życia i jego nieklamane, ostrego tchnienia.

Ruth, usłyszawszy to, zrozumiała naiwność swojej uwagi, zdecydowała jednak, że Martin, jak zwykle, przesadza, i obraziła się potrosze.

Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Kobieta rozpaczliwie szukająca wyjścia, mężczyzna zamyślony

nad miłością, co odeszła. Wiedział już teraz, że nigdy naprawdę nie kochał Ruth. Kochał swój ideał, jasnego ducha własnych marzeń, promienne natchnienie poematów miłosnych. Prawdziwej Ruth, sfilistrzałej mieszczaneczki, obarczonej wszystkimi wadami jej sfery i beznadziejnym balastem psychologii burżuazyjnej — nie kochał nigdy.

Przemówiła nagle.

— Wiem, że w tem, co powiedziałeś, jest dużo prawdy. Bałam się życia. Niedosć mocno cię kochałam. Ale dzisiaj — nauczyłam się już kochać inaczej, lepiej. Kocham zato, czem się różnisz od tych, których nazywasz „moją sferą“, kocham cię za twoją wiarę i przekonania, których nie rozumiem, ale które postaram się zrozumieć. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby je zrozumieć. Nawet palenie, nawet przekleństwa pokocham, bo są twoje. Wciąż jeszcze uczę się życia. Przez ostatnie dziesięć minut nauczyłam się bardzo wiele. Choćby to, że tu przyszłam, czyż nie jest już dowodem pewnej zmiany. O, Martin! — Tulila się i lkała cicho.

Po raz pierwszy ramiona mężczyzny objęły ją ciepło i życzliwie. Odczuła to, poruszyła się radośnie, rozjaśniła oczy.

— Za późno — odezwał się Martin. Przyszły mu na myśl słowa Lizzie. — Jestem chory — o, nie ciałem, bynajmniej! Chora jest moja dusza, mój mózg. Utraciłem nagle wszystkie wartości, cały sens życia. Nie dbam o nic, niczego nie pragnę. Gdybyś przed kilkoma miesiącami była taka jak dzisiaj, —

wszystko poszłoby inaczej. Dzisiaj już za późno.

— Nie, jeszcze nie za późno — wołała cała we łzach. — Zobaczysz. Dowiodę ci, że miłość moja dojrzała, że droższa mi jest ponad moją sferę, ponad wszystko, co ceniłam dotychczas. Zaprę się wszystkiego, co ceni moja sfera. Nie lękam się już życia. Porzucę ojca i matkę! Narażę imię na pośmiewisko! Zostanę tu z tobą, teraz, zaraz, w wolnej miłości, jeśli zechcesz, i będę się czuła dumna i szczęśliwa. Jeśli ongiś zdradziłam miłość, pragnę teraz dla miłości zdradzić to wszystko, co wtedy winne było mojej zdradzie.

Stała przed nim z gorejącymi oczyma.

— Czekam, Martin — wyrzekła cicho, — czekam, żebyś mnie przyjął. Spójrz na mnie!

— Tak, to wspaniale, — myślał. — Ruth posiadała wszystko, czego jej brakło, wzniosłszy się wreszcie jako prawdziwa kobieta ponad żelazne prawa burżuazyjnego światopoglądu. Tak, to wspaniale, przepiękne, szczere, zatracone. A przecież — cóż dzieje się z nim, z Martinem? Nie goreje, nie drży. Zamiast uniesienia — chłodna ocena. Serce milczy. Pragnienie śpi. Znowu przyplłynęły z od dali słowa Lizzie.

— Chory jestem, bardzo chory — wyrzekł rozpaczliwie. — Dotychczas nie wiedziałem nawet, jak bardzo chory. Coś odeszło ode mnie na zawsze. Nigdy nie lękałem się życia, ale nigdy też nie przypuszczałem, że można przesycić się życiem. A jednak przesyciło mnie tak bardzo, że niema już miej-

sca na pragnienie. Gdybym mógł — pragnąłbym cię dzisiaj. Widzisz, jak bardzo chory jestem!

Przechylił głowę wtył, oparł na poręczy fotela i zamknął oczy. I jak płaczące dziecko, co zapomina o zmartwieniu, patrząc, jak promienie słońca igrają na rzęsach, zwilżonych łzami — zapomniał Martin o cierpieniu, o obecności Ruth, o wszystkim, patrząc na mnóstwo zieleni, prześwieconej złotem światłem, co zajaśniało nagle pod zamkniętymi powiekami. Zielone listowie nie niesło jednak spokoju ni wypoczynku. Jaskrawe słońce paliło zbyt mocno. Bolały oczy od patrzenia — a przecież Martin patrzył — nie wiedząc czemu.

Ocknął się dopiero na szczepek poruszonej kłamki. Ruth stała u drzwi.

— Jakże stąd wyjść? — zapytała ze łzami w głosie. — Boję się.

— Och, proszę darować! — zawołał, wstając pośpiesznie. — Nie jestem sobą, nie umiem się opanować. Zapomniałem, że pani jest tutaj. — Położył sobie rękę na czoło. — Pani widzi, nie jestem jakoś w porządku. Zaraz odprowadzę panią do domu. Możemy wyjść przez służbowy. Nikt nas nie zobaczy. Proszę spuścić woalkę, i wszystko będzie dobrze.

Przylgnęła do jego ramienia, idąc nawpół ciemnymi korytarzami i schodząc ze stromych schodów.

— Teraz jestem bezpieczna — powiedziała na ulicy. Poczęła wysuwać rękę z pod ramienia Martina.

— Nie, nie, odprowadzę panią do domu — odrzekł.

— O, broń Boże, proszę tego nie robić! — zaprotestowała. — To zupełnie zbyteczne.

Spróbowała raz jeszcze wyrwać mu rękę. Zaciekawiał się nagle. Teraz, kiedy znalazła się poza niebezpieczeństwem — zdawała się być przerażona, panicznie przerażona. Najwyraźniej chciała go się pozbyć. Nie widział ku temu żadnej przyczyny i przypisał zdenerwowaniu. Zatrzymał więc oporną rękę i szedł dalej. W połowie drogi do pierwszej przecznicy zobaczył jakiegoś mężczyznę w długim palcie, raptownie kryjącego się do bramy. Martin, przechodząc, rzucił okiem w głąb bramy i pomimo, iż nieznajomy postawił kołnierz — rozpoznał brata Ruth, Normana.

Po drodze mówili mało. Ona była zmieszana. On apatyczny. Wspomniał przelotnie, że wyjeżdża na ocean Południowy, ona znów poprosiła krótko, żeby nie miał jej za złe dzisiejszych odwiedzin. Oto wszystko. Pożegnanie przy drzwiach odbyło się konwencjonalnie. Podano sobie ręce, życzone dobrej nocy. Martin zdjął kapelusz. Drzwi zamknęły się bez szelestu. Zapalił papierosa i zawrócił do hotelu. Przechodząc koło bramy, w której krył się Norman, przystanął i zajrzał tam z gorzko-wesołym uśmiechem.

— Kłamała — wyrzekł głośno. — Kazała mi wierzyć, że odważyła się na bohaterstwo, a przecież wiedziała, że braciszek czeka, żeby ją odprowa-



dzić. — Roześmiał się głośno. — Och, *bourgeois!* Kiedy nie miałem grosza, nie byłem godny zbliżyć się do jego siostry. Kiedy mam rachunek w banku — przyprowadza mi ją do hotelu.

Odwrócił się na pięcie i zmierzał ku domowi. Nagle, jakiś włóczęga, idący w tę samą stronę, zagadnął tuż za nim:

— Czy nie dałby mi pan czwartaka na nocleg?

Na dźwięk tego głosu Martin odwrócił się gwałtownie. W tejże chwili chwycił za rękę — Joe.

— Pamiętasz, jakeśmy się rozjeżdżali przy Gorących Źródłach? — wykrzyknął. — Powiedziałem, że spotkamy się jeszcze. Byłem pewien. Patrzcie — jest Martin!

— Doskonale wyglądasz — wyrzekł z zachwytem Martin. — Przybyło ci nawet na wadze.

— Rzecz prosta, że przybyło. — Twarz Joe zajaśniała. — Nie znałem życia, dopóki nie zacząłem się włóczyć. Przybyło mi ze trzydzieści funtów, i czuję się jak król. Po kiego czorta pracowałem wtedy do dziesiątego potu. Włóczęga, to — pedam ci — klawa rzecz!

— Ale swoją drogą szukasz noclegu — uśmiechnął się Martin. — A nocka zimna.

— He? Szukam noclegu? — Joe wsunął rękę do kieszeni i wydobył pełną garść drobnych. — Mam te go do licha! — oświadczył z triumfem. — Poprostu wyglądałeś po pańsku, więc przypuściłem szturm.

Martin roześmiał się i skapitulował.



— Stać cię na dobre parę kieliszczków — podał.

Joe wsypał drobne do kieszeni.

— Niema tak dobrze, — oświadczył. — Nie chlam już wcale, chociaż właściwie nic mi nie przeszkadza. Prostu nie mam ochoty. Raz jeden byłem wstawiony od czasu jakeśmy się rozeszli i to tylko dlatego, że na pusty żołądek. Pracowałem jak bydlę, tom i chlał jak bydlę. Tera żyję jak człowiek, to i popijam se, jak na człowieka przystało. Potroszeczką, delikatnie.

Martin umówił się z Joe na dzień następny i poszedł do domu. Wstąpił do kantoru hotelowego, żeby poinformować się o datach odejścia okrętów. *Mariposa* odpływała na Tahiti za pięć dni.

— Proszę zatelefonować jutro do agencji, żeby zarezerwowano dla mnie kajutę pierwszej klasy — polecił urzędnikowi. — Tylko nie na pokładzie, a niżej, po zewnętrznej, i od strony portu. Proszę zapamiętać: po zewnętrznej! A najlepiej, proszę zanotować.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Martin położył się i zasnął spokojnie, jak dziecko. Wypadki wieczoru nie pozostawiły śladu. Wrażliwość zamarła. Pewna serdeczność, z jaką powitał Joe, była raczej przelotna. W chwilę potem zaciężyła mu obecność dawnego towarzysza, rozmowa stała się udręką. Za pięć dni odpłynąć miał ku ulubionym Morzom Południa, — ale i to również było mu obojętne.

Zamknął oczy i spał wygodnie ośm nieprzerwanych godzin. Nie był niespokojny. Spał nieporuszenie i bez marzeń. Tylko we śnie mógł bowiem zapomnieć o życiu. Codziennie budził się z żalem. Życie znudziło go i zmęczyło. Czas stał się długą, tępą, bezbarwną męką.

## R o z d z i a ł X L V I

— Słuchaj-no, Joe — przywitał Martin naza-jutrz rano dawnego towarzysza pracy. — Znam pewnego Francuza, co mieszka na Dwudziestej ósmej. Napelnił kiesę i wybiera się zpowrotem do Francji. Ma pralnię wielką, parową, elegancką, dobrze postawioną. Zajdź tam i zobacz, czy warto ją kupić. Dawaj-no łapę, bierz to, kup sobie porządny przyodziewek i przyjdź do biura tego oto jegomo-ścia. Oglądał dla mnie pralnię, więc cię tam zapro-wadzi i wszystko pokaże. Jeśli ci się spodoba i bę-dziesz uważał, że warto dać tę cenę — dwanaście tysięcy — to mi daj znać, i pralnia twoja. No, a te-raz idź. Zajęty jestem. Zobaczymy się później.

— Słuchaj-no, Mart — odparł Joe powoli, gło-sem, w którym wzbierał gniew. — Przyszłem dziś, z samego rana, żeby cię zobaczyć, aż tu — widzita go, wielki pan. Nie przyszedłem po żadną pralnię! Przyszłem na pogawędkę, żeby po dawnemu, po przyjacielsku, a ten mi z pralnią wyjeżdża. Powiem ci, co myślę: zabieraj swoją pralnię i idź do cho-lery!

Odwrócił się i chciał wyjść, lecz Martin złapał go za ramię i przyciągnął zpowrotem.

— Słuchaj-no, Joe — powiedział. — Jeśli będziesz taki, rozbiję ci głowę. A po starej przyjaźni rozbiję dokumentnie. No co, chcesz?

Joe uderzył pierwszy i próbował przewrócić Martina, lecz w tejże chwili wić się począł i szarpać w kleszczach ramion przeciwnika. Sunęli po pokoju, zczepieni ramionami, aż zwalili się razem, druzgocząc hałaśliwie wielki fotel trzcinowy. Joe znalazł się pod spodem, z rozpostartymi ramionami, z pierśią zduszoną kolaniem Martina. Pochrapywał już i łapał powietrze jak ryba, kiedy zwycięzca puścił go wreszcie.

— No, teraz się dogadamy — uśmiechnął się Martin. — Nie będziesz mi wymyślał, mój stary. Najpierw chciałbym skończyć ten interes z pralnią. Potem przyjdź, i wtedy dopiero będzie czas na pogawędkę, po dawnej przyjaźni. Mówilem ci, że w tej chwili jestem zajęty. Sam widzisz.

Służący wniósł właśnie pocztę poranną, wielki pakiet listów i gazet.

— Czyż mógłbym przejrzeć to wszystko, rozmawiając z tobą? Idź-no teraz i umów się o pralnię. Spotkamy się później.

— No, dobra, — aprobował Joe, wahający się i zmieszany. — Myślałem, że chcesz się mnie pozbyć, ale widzę, że się pomylił. Tylko na stojąco, tobyś mnie bratku nie pobił, żebyś wiedział. Sięg mam dłuższy.

— Dobrze, dobrze, włożymy kiedy rękawice i spróbujemy — uśmiechnął się Martin.

— Jak tylko puścimy pralnię w ruch, co? — Joe wyciągnął ramię. — Widzisz, jaki byczy się? Jeszcze mi potańcujesz, bratku!

Martin odetchnął z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się za Joe. Nie znosił teraz towarzystwa. Całodzienny gwar był mu prawdziwą męką, obecność ludzka dokuczała, gniewał wysiłek rozmowy, w jakimkolwiek znalazł się gronie, ogarniał go niepokój i natychmiast szukał pretekstu do ucieczki.

Nie odrazu zabrał się Martin do przeglądania poczty. Dobrze pół godziny siedział rozparty w fotelu, nic nie robiąc, nie myśląc o niczem. Od czasu do czasu jakieś niejasne strzępki myśli majaczyły mu w świadomości, albo raczej stanowiły właśnie poszarpaną i przerywaną przez pustkę świadomość.

Wstał wreszcie i zaczął przerzucać listy. Było tam z tuzin próśb o autografy — rozpoznawał je zdaleka; były zawodowe listy żebracze; były epistoły warjatów i manjaków, począwszy od wynalazcy perpetuum mobile i uczonego, który zademonstrować pragnął, iż powierzchnia ziemi jest wnętrzem jakiejś pustej sfery — aż do społecznika, proszącego o zasiłek pieniężny na ufundowanie kolonji komunistycznej na półwyspie Kalifornijskim. Nie brakło liścików kobiecych. Wszystkie wyrażały pragnienie zawarcia znajomości ze sławnym autorem, Jedna z petentek, ku ucieście Martina, załączyła nawet kwit na własną ławkę w kościele, jako dowód swej moralności i dobrych obyczajów.

Redaktorzy i wydawcy przyczyniali się znakomi-

cie do zwiększenia codziennego stosu korespondencji, błagając na kolanach o rękopisy — o te biedne, pogardzane rękopisy, z których powodu zapożyczać się musiał u lichwiarza przez długi szereg straszliwych miesięcy. Znalazł też jakiś niespodziewany czek za angielskie wydanie nowel i zadatki na parę przekładów. Reprezentant Martina na Europę donosił o zakupieniu prawa przekładu trzech książek na niemiecki, oraz zawiadamiał, iż szwedzkie tłumaczenia pojawiły się na rynku, zaco jednak nie można było oczekiwać zapłaty, ponieważ Szwecja nie należała do Konwencji Berneńskiej. Z Rosji nadesłano także prośbę o autoryzację, lecz było to raczej żądanie sankcji moralnej, Rosja bowiem nie podpisała również układu w Bernie.

Martin wziął do ręki pakiet wycinków, nadesłany przez biuro prasowe, i czytał o samym sobie, o bajecznem powodzeniu własnem, które coraz zyskiwało na efekcie. Przyczyniło się do tego zapewne nagle a tak szczodre rzucenie przed oczy publiczności całego dorobku odrazu, niby wylewu wspaniale wezbranej rzeki. Poruszył masy, tak jak swego czasu uczynił to Kipling. Kipling, który zresztą bliski był śmierci, kiedy nagle tłum zaczął go czytać, gnany jakimś ślepym instynktem. Martin przypominał sobie, jak gawiedź czytała, sławiła, a przedewszystkiem nie rozumiała Kiplinga, i jak nagle, w kilka miesięcy później, rzuciła się nań i rwała na strzępy. Roześmiał się gorzko. Kimże był on, Eden, aby spodziewać się innego losu? Za chwilę rzuca się

i na niego. Otóż nie, zakpi sobie z motłochu! Będzie żył daleko, daleko, pośród Mórz Południowych. Będzie stawiał chaty z trzciny, będzie handlował perłami i koprą, śmigając w kruchych łupinach poprzez rafy, polując na rekiny i bonity, płosząc dzikie kozy po szczytach, co wznoszą się ponad doliną Taiohae.

W chwili, gdy to pomyślał, zdławiło go raptownie poczucie rozpaczliwości położenia. W nagłym jasnowidzeniu pojął, że przynależy już Dolinie Mroku. Wszystkie siły życia wędły, mierzchły, chyliły się ku śmierci. Tak wiele sypia teraz i tak bardzo jest senny. Dawniej nienawidził snu. Sen rabował bezcenne godziny życia. Cztery godziny spoczynku, to były cztery godziny codziennie wydarte życiu. Jakże żał mu było zasypiać! Obecnie żał mu się budzić. Życie nie jest już dobre; smak jego gorzki jest ustom. Tu właśnie czyha zguba. Życie, które nie pragnie życia, zwolna chyli się ku śmierci. Jakiś mglisty instynkt samozachowawczy błąka się jeszcze i każe szukać ratunku, wyjeżdżać, uciekać. Martin ogarnął wzrokiem pokój. Myśl o pakowaniu rzeczy była odrażająca. — Może lepiej zostawić to na sam koniec? Tymczasem należałoby zająć się ekwipunkiem.

Włożył kapelusz i wyszedł. W magazynie broni pozostawił cały dochód dnia dzisiejszego, kupując strzelby automatyczne, amunicję i ulepszone przyrządy do łowienia ryb. W trakcie tego doszedł do wniosku, że towary dla handlu wymiennego prak-



tyczniej sprowadzać już po przybyciu na Tahiti, i zbadaniu, co mianowicie ma tam popyt w danej chwili. Zresztą, może lepiej nabywać wszystko w Australji? Takie uwolnienie się od kłopotu sprawiło Martinowi prawdziwą przyjemność. Jak dobrze, że czegoś można nie czynić! Każdy krok tak jest męczący. Wracał więc do hotelu z satysfakcją, rad, że zastanie tam olbrzymi, wygodny fotel. Gdy jednak wszedł do pokoju, o mało się nie rozplakał: w jego ulubionym fotelu spoczywał Joe.

Joe zachwycony był pralnią. Wszystko zostało załatwione, od jutra można wejść w posiadanie. Martin rozciągnął się na łóżku i przymknął oczy. Joe perorował zawzięcie. Myśli Martina odbiegły daleko, tak daleko, że nawet nie był pewien, czy myśli jeszcze. Od czasu do czasu największym wysiłkiem zmuszał się do odpowiedzi. A przecież, oto siedział Joe, tak bardzo miły mu niegdyś. Dzisiaj jednak zbyt był promieniejący życiem. Brutalny atak tej bujnej żywotności ranił chory mózg Martina, zbyt dotkliwie napinał jego zmęczoną wrażliwość. Kiedy Joe przypominał, że któregoś dnia muszą włożyć rękawice i zmierzyć się w boksie — Martin z trudnością powstrzymał krzyk bólu.

— Pamiętaj tylko, Joe, że pralnię prowadzić powinieneś w myśl zasad, wyznawanych ongiś przy Gorących Źródłach — odezwał się wreszcie. — Praca w miarę. Nigdy pracy nocnej. Broń Boże dzieci przy maglach. Wogóle dzieci — broń Boże. No, i dobrze płacić.

Joe skinął głową i wydobył notes.

— Patrz-no, wypisałem tu sobie kilka prawideł jeszcze przed śniadaniem. Jakże ci się podobają?

Odczytywał je głośno, Martin potwierdzał, myśląc równocześnie, kiedy wreszcie Joe go opuści.

Obudził się wczesnym wieczorem. Fakt życia zwolna dotarł do świadomości. Martin rozejrzał się po pokoju. Widocznie gość wyślinął się pocichu, podczas jego snu. Bardzo to miło ze strony Joe — pomyślał. Poczem zaniknął oczy i zasnął znowu.

Przez kilka dni następnych, Joe zbyt był zajęty obejmowaniem i prowadzeniem pralni, żeby zbytnio zakłócać spokój Martina. O tem zaś, że sławny autor odpływa na *Mariposie*, gazety doniosły dopiero w przeddzień odjazdu.

W pewnej chwili, kiedy instynkty samozachowawcze silniej przemówiły w Martinie — poszedł do lekarza i poddał się gruntownemu badaniu. Doktor nic nie mógł zarzucić. Serce i płuca działały znakomicie. Każdy organ — jak dalece zbadać go było można — pracował normalnie.

— Nic panu nie jest, panie Eden — oświadczył lekarz. — Stanowczo nic. Jesteś pan w rozkwicie sił. Szczerze powiedziawszy, zazdroszczę panu zdrowia — wspaniale! Spójrz pan na tę pierś! Doskonale płuca i znakomity żołądek — oto tajemnica pańskiego nieporównanego zdrowia. Fizycznie jest pan jednym na tysiąc, jednym na dziesięć tysięcy. Jeśli nie brać pod uwagę nieszczęśliwych wypadków — możesz pan żyć do stu lat.

Martin wiedział teraz, że diagnoza Lizzie była słuszną. Zdrow był fizycznie. Popsuła się tylko „maszynka do myślenia“. Jedyłą radą nato stać się mogła ucieczka w świat Mórz Południowych. Niestety jednak, teraz, przed samym odjazdem, Martin nie miał ochoty jechać. Ocean nęcił go nie więcej, niż cywilizacja burżuazyjna. Myśl o wyprawie nie niosła radosnego podniecenia, sama zaś technika odjazdu wymagała tylu męczących wysiłków! Wolałby być już na pokładzie — daleko od brzegu.

Ostatni dzień był istną torturą. Dowiedziawszy się z dzienników porannych o odjeździe Martina, zjawili się z pożegnaniem imię Bernard Higginbotham z Gertrudą i wszystkimi dziećmi, oraz Herman von Szmidt i Marian. Pozatem trzeba było uregulować ostatecznie interesy, popłacić rachunki, odczepić się od dokuczliwych reporterów. Z Lizzie Connolly pożegnał się Martin pośpiesznie przy wejściu do szkoły wieczornej. W hotelu czekał go Joe, tak zajęty swoją pralnią przez dzień cały, że na odwiedziny zdobyć się wcześniej nie mógł. Była to ciężka, lecz zato ostatnia próba; Martin kurczowo uchwycił poręczę krzesła i słuchał i rozmawiał przez całe pół godziny.

— Joe! — powiedział do towarzysza. — Nie myśl, że jesteś na zawsze związany z tą pralnią. Nie robię ci żadnych zastrzeżeń. Możesz w każdej chwili sprzedać interes i puścić pieniądze. Jak ci się przykrzy i zatęsknisz za włóczęgą — ruszaj

w drogę! Rób tak, byś czuł się najszcześliwszy.

Joe zaprzeczył ruchem głowy.

— O, niema głupich, dość mam włóczęgi, dziękuję uprzejmie. Włóczęga jest dobra rzecz, ale względem jednego jest zła: względem dziewcząt. Nic nie poradzę, lubię kobietki! Nie mogę bez nich długo, a jak idziesz na włóczęgę, to już musisz zapomnieć dziewczyny. Jakem czasem przechodził koło domów, gdzie bawiono się i tańczono, jakem zobaczył przez okno białe sukienki, posłyszał śmiech—ech, piekło, istne piekło, powiadam ci, Mart! Znadto lubię tańce, majówki, spacerki przy księżycu i całą tę resztę! Dla mnie teraz niema, jak moja pralnia, dobre imię i dobre dolarki, brzęczące w kieszeni. Wiesz, poznałem właśnie dziewczątko, akurat wczoraj i, uważasz, nie będę miał spokoju, dopóki się z nią nie ożenię. Cały dzień o tem myślę i pogwizduję z radości. Ślicznotka, mówię ci. Najmilsze ślipki, najśłodszy głosik na ziemi. Para z nas będzie wcale niczego, możesz mi wierzyć. Słuchajno, a dlaczego ty się nie żenisz? Z całą tą furą pieniędzy mógłbyś dostać najpiękniejszą dziewczynę w kraju.

Martin z uśmiechem pokiwał głową, w głębi serca jednak nie mógł się nadziwić, że ktoś wogóle chce się żenić. Było to dziwaczne i wręcz niezrozumiałe.

Z pokładu *Mariposa*, w godzinę odjazdu dostrzegł Lizzie Connolly, chowającą się wśród tłumu na przystani.

— Weź ją ze sobą — przyszło mu na myśl. — Tak łatwo być dobrym! Będzie szczęśliwa!

Myśl ta uśmiechnęła mu się na krótką chwilę, lecz już w następным mgnieniu stała się wprost przerażająca. Poczul paniczny strach, że mógłby uczynić coś podobnego. Zmęczona dusza protestowała. Z jękiem odwrócił się od przystani i wyszeptał: „Człowieku, zbyt jesteś chory, zbyt ciężko chory!“

Uciekł do kabiny i krył się tam, dopóki okręt nie wypłynął na pełne morze. W sali jadalnej, podczas lunchu, znalazł swoje nakrycie na honorowym miejscu, po prawej ręce kapitana. Bez trudu zauważył, że jest persona grata na statku, a zarazem stanowi atrakcję dla publiczności. Nigdy jednak zapewne nie widziano nudniejszego wielkiego człowieka. Popołudnie spędził na pokładzie, na leżaku. Wieczorem wcześniej poszedł spać.

Trzeciego dnia podróży pasażerowie, uporawszy się z morską chorobą, tłumnie wylegli do salonów i na pokład, Martin zaś, im dłużej na nich patrzył, tem bardziej ich nie znosił. Wiedział zresztą dobrze, że popełnia nieuzasadnioną niesprawiedliwość. Zmuszał się do przyznania, że byli to ludzie dobrzy i mili — w tym samym jednak momencie dodawał nimowoli: dobrzy i mili, jak wszyscy *bourgeois*, z całym balastem duchowym i nędzą umysłową swojej sfery. Najgorsze były rozmowy. O, te maleńkie, mizerne mózdzki! Jakże bez reszty zapełnione próżnią. Hałaśliwa egzaltacja i nadmierna energia

młodzieży razila i rozdrażniała Martina. Zdawało mu się, że ani chwili nie potrafią zachować spokoju, niezdolnie długo grają w serso, w krokieta, spacerują bez powodu, całym wysiłkiem pędzą na rufę, żeby się przyjrzeć żółwiom morskim, rybom latającym!

Martin sypiał bardzo dużo. Po śniadaniu rozkładał się na leżaku, zasłaniając tygodnikiem, którego nie czytał nigdy. Drukowane stronicie nużyły go. Kiedy dźwięczał gong, wzywający na lunch, Martin zżymał się, że go budzą. Obudzenie nie jest przecie rzeczą miłą!

Pewnego dnia próbował ocknąć się z letargu i poszedł na dziób, do marynarzy. Ale marynarze byli jacyś nieskończenie inni, niż za czasów, kiedy Martin Eden sam mieszkał w kasztelu na przodzie. Nie mógł odnaleźć nic, co by go łączyło z temi pół-zwierzęcemi stworzeniami, o tępych twarzach i bydlęcym mózgu. Był w rozpacz. Tam, na pokładzie, nikt nie pragnie Martina Edena dla niego samego, on zaś nie umie wrócić do tych tu na dole, z którymi żył ongiś, i którzy kochali go dawnemi czasy. Tym razem on ich nie pragnie. Nie był w stanie polubić ich więcej, niż idjotyczną publiczność pierwszej klasy, albo jej niefrasobliwą młodzież.

Życie stało się niby ostre, białe światło dla oczu chorego. W każdym momencie świadomości życie oślepiało jaskrawym blaskiem, sprawiając ból, ból niezdolny. Po raz pierwszy w życiu podróżował Martin pierwszą klasą. Na okrętach bywał zawsze

tylko w kasztelu dla majtków, u steru, albo w czarnej otchłani składu węgla przy pracy. Zdarzało się w owych czasach, że biegnąc po stromej drabince żelaznej z gorącego jak piekło wnętrza statku — dojrzał zdaleka publiczność, otuloną w lekkie białe szaty, próżnującą, bawiącą się, beztroską; rozpostarte baldachimy chroniły ją od słońca i wiatru, usłudźni lokaje zgadywali każdą zachciankę i kaprys. Martinowi zdawało się wówczas, że świat, w którym poruszają się tamci ludzie, jest rajem na ziemi. Dziś przebywał w samym środku tego raju, jako poniekąd osobistość wyróżniana — i oto dzisiaj właśnie napróżno powraca do kasztelu majtków, w poszukiwaniu raju, który był porzucił. Nie znalazł nowego, — utracił dawny.

Próbował ocucić się i czemś zainteresować. Zaszedł kiedyś do pokoju oficerów, rad jednak uciekł stamtąd jak najprędzej. Wszczął rozmowę z pewnym zlurowanym dowódcą wachty, człowiekiem inteligentnym, który natychmiast rozpoczął propagandę socjalistyczną i wręczył wielkiemu pisarzowi spory pakiet odezw i broszur. Martin słuchał, jak jego rozmówca wykladał niewolniczą koncepcję świata, i w myśli porównywał ją ze swoją ulubioną filozofją nietscheanizmu. I cóż to wszystko warte, koniec końców? Przypomnił sobie jeden z gorzkich aforyzmów Nietzsche'go, w którym szalenie ten wątpił w istnienie prawdy. A przecież — kto wie? Może miał rację?

Może prawdy niema nigdzie? Może nie masz jej



nawet w prawdzie? Może niema tego, co nazwalismy prawdą? Lecz Martina zmęczyło już myślenie. Rad był rozciągnąć się na leżaku i drzemać.

Po kilku dniach podróży przybyła nowa udręka. Co będzie, kiedy okręt przybije do Tahiti? Trzeba wysiąść na brzeg. Trzeba zająć się rzeczami, wyszukać skuner, idący na wyspy Marquesas, przedsięwziąć tysiąc i jeden wysiłków, o których niesposób myśleć bez zgrozy. Ilekroć zdołał Martin zmusić się do świadomego rozważania — nie mógł nie dostrzec rozpaczliwego stanu, w który zapadał, a który wiódł do zguby coraz głębiej. Wedle oczywistej prawdy znajdował się już w Dolinie Mroku. Co gorsze, nie bał się zupełnie. Gdyby się był przeraził — zdołałby jeszcze zawrócić ku życiu. Obojętny — wsiąkał w otchłań coraz głębiej. Nie znajdował już pociechy w zwykłych a miłych człowiekowi szczegółach istnienia. *Mariposa* weszła teraz w sferę pasatu północno-wschodniego, ale nawet ten najwonniejszy z wiatrów — wiatr jak wino — gniewał tylko i nużył Martina. Odsunął leżak, żeby uciec przed uściskami najmilszego towarzysza młodości.

W dniu, w którym *Mariposa* weszła pod zwrotniki, stan Martina był bardziej pożałowania godny, niż kiedykolwiek. Utracił sen. Zmęczenie morzyło go, a czuwać musiał. Musiał patrzeć w oślepiający, brutalny blask życia. Niespokojnie chodził z kąta w kąt. Powietrze parne było i wilgotne, rześiste ulewy nie odświeżały wcale. Życie sprawiało ból.

Martin chodził po pokładzie, aż cierpienie rosło do granic nieznośnych, potem rzucał się na fotel i siedział, dopóki zdenerwowanie nie kazało znowu wstawać i chodzić. Zmusił się wreszcie do przeczytania zaczętego „magazine”. Wziął kilka tomów poezyj z biblioteki okrętowej. Nie nęciły go jednak. I znowu uparcie, monotonnie, bezsennie kroczyć począł wzdłuż pokładu.

Wieczorem pozostał na powietrzu możliwie jak najdłużej, ale to nie pomogło również; zeszedłszy do kajuty — nie mógł zasnąć. Jedyne schronienie przed życiem — zawodziło. Tego już było za wiele. Zapalił elektryczność i spróbował czytać. Jeden tom zawierał poezje Swinburna. Martin leżał w łóżku i obojętnie przewracał stronicę. Nagle zorjentował się, że czyta z zaciekawieniem. Skończył jedną stanzę, spróbował czytać dalej — ale powrócił do niej znowu. Rozwartą książkę położył na piersiach i zamyslił się nieoczekiwanie. Oto jest! Jest to, o co chodzi! Dziwnie, że nie domyślił się wcześniej! Oto jest treść wszystkiego, co się działo. Szedł ku temu oddawna, lecz dopiero w tej chwili Swinburne ukazał mu, że jest właśnie szczęśliwa droga do wyjścia. Pragnął odpoczynku — a oto odpoczynek czekał go oddawna. Spojrzał na luk otwarty. Tak, dość szeroki. Po raz pierwszy od kilku tygodni Martin poczuł się szczęśliwy. Nareszcie wynalazł lek na wszystkie bóle. Podniósł książkę i raz jeszcze przeczytał strofę.

*I porzuciwszy gniew, nadzieję, pychę,  
Wolni od pragnień i wolni od burz,  
Dziękczynnych westchnień ślemy modły ciche,  
Ktokolwiek jest tam, pośród gwiazdnych głusz, —  
Zato, że minąć dniom żywota dano,  
Zato, że nigdy raz zmarli nie wstaną,  
I rzek powolnych nurt zmacony pianą  
Zawinie kiedyś w głąb wieczystą morsk.*

Spojrzał znowu na luk otwarty. Swinburne dostarczał klucza. Życie było złem, a raczej stało się złem — złem nie do naprawienia. „Zato, że nigdy raz zmarli nie wstaną!“ Słowa te napełniły go uczuciem głębokiej wdzięczności. Oto jedyne dobrodziejstwo we wszechświecie. Kiedy życie staje się bolesną męką, śmierć gotowa jest ukołysać je na wieczny sen. Czemuż czeka? Pora iść.

Wstał i wysunął głowę przez luk, spoglądając w pienistą toń. *Mariposa* zanurzona była głęboko. Jeśli zawisnąć na rękach, nogi dotkną wody. Wyśliznąć się można bez szelestu. Nie usłyszysz nikt. Nagły podskok piany bryznął w twarz. Martin poczuł sól na wargach. Smak był dobry. Pomyślał jeszcze przez mgnienie oka, czy warto napisać pieśń łabędzią? Natychmiast ze śmiechem odegnał tę myśl. Nie miał czasu. Zbyt pilno było mu odejść.

Zgasiwszy w kajucie światło, żeby go nie zdradziło, wysunął się przez luk nogami naprzód. Ramiona ugrzęzły jednak pomiędzy ramami. Musiał powrócić i przeciskać się z jedną ręką u boku. Pochylenie okrętu pomogło mu. Zwisł nazewnątrz, uwieszony rękami. Kiedy nogi dotknęły wody —

rozwarł dłonie. Był cały w pienistym nurcie. Bok *Mariposy* przemknął, jak czarna ściana, podziurawiona światłami okien. Statek miał niewątpliwie dobrą szybkość. Zanim Martin opamiętać się zdołał, płynął już daleko poza sterem, kołysany łagodnie na mlecznej powierzchni fal.

Bonita uderzyła zębami o jego białe ciało — rozeźmiał się głośno. Wyrwała drobny strzęp. Ból przypomniawszy Martinowi, poco się tu znalazł. Podczas akcji zapomniał był o jej celu. Światła *Mariposy* mierzchną w oddali — a oto on, Martin, na przestrzeni wód, płynie spokojnie, jak gdyby w zamiarze osiągnięcia brzegu najbliższego kraju — gdzieś o mil tysiące.

Mimowoli działał instynkt życia. Martin przestał płynąć, lecz jak tylko fala dosięgła ust, ręce uderzyły gwałtownie i wyniosły ciało na powierzchnię. „Wola życia“ — pomyślał z cierpkim uśmiechem. — Więc tak? Dobrze. Ma również wolę, dość silną, żeby przeciwstawić ją woli życia, ostatnim wysiłkiem zdruzgotać siebie i wreszcie przestać istnieć.

Zmienił położenie ciała na pionowe. Spojrzał wzwyż ku cichym gwiazdom i wytchnął powietrze z płuc. Szybkim, gwałtownym podrzutem rąk i nóg wzniosł ramiona i piersi ponad fale. Chciał zyskać impent na rzucenie się w głąb. Rozluźnił mięśnie i pogrążał się w morze nieruchomo, jak biały słup. Wdychał wodę głęboko, umyślnie, niby narkotyk. Lecz skoro tylko zaczął się dusić, ręce i nogi mi-

mowoli uderzyły i wyniosły go znowu na powierzchnię, pod jasne spojrzenie gwiazd.

„Wola życia“ — pomyślał pogardliwie, napróżno zmuszając się, żeby nie chwytać powietrza w krwią rozsadzane płuca. — Dobrze. Spróbujemy się jeszcze raz — inaczej. Nappełnił płuca powietrzem — nappełnił całe. Z tym zapasem dopłynię głęboko. Zanurkował i popłynął w głąb, głowę na dół, pracując całą wolą, wszystkimi siłami! Głębiej, wciąż głębiej! Oczy miał otwarte i patrzył na kręty, fosforyzujący szlak bonity, co śmignęła opodal. Płynąc, zapragnął mocno, żeby go nie zaczęła i nie przerwała napięcia woli. Nie napadła jednak, i Martin zdołał jeszcze odczuć wdzięczność za to ostatnie dobrodziejstwo życia.

Głębiej, głębiej, wciąż głębiej, aż zmęczyły się i osłabły ręce i nogi. Wiedział, że jest nisko. Ciśnienie wody w uszach stało się aż bolesne, w głowie zaszumiało głucho. Wytrwałość słabła zwolna. Zmusił jednak ciało do zanurzania się wciąż głębiej, niżej, aż wola opadła wreszcie i powietrze buchnęło z płuc niepowstrzymaną falą. W locie na powierzchnię bańki perlily się, bulgotały i osiadały na twarzy. Potem nadszedł ból duszenia. Ból nie jest jeszcze śmiercią — przemknęło przez gasnącą świadomość człowieka. Śmierć nie boli. To straszliwe dławienie — to życie, męka życia, ostatni cios, jaki zadać zdoła.

Ręce i nogi, wciąż jeszcze pełne woli, bić poczęły wodę i przeciw na powierzchnię słabo, lecz spazma-

tycznie. Oszukał je. Nie zdołają nigdy wydobyć go na powierzchnię. Zanurzył się już zbyt głęboko. Zadrwił z woli życia, co uderzać kazala. Kołysał się łagodnie w toni sennych wizyj. Barwy i promienie otaczały go, kąpały, chłoneły. Cóż to? Niby latarnia morska... Nie — to w głębi mózgu. Oślepiające białe światło. Płonie jaśniej i jaśniej z każdą chwilą. Nagle grzmot potoczył się rozległy, potężny, głuchy. Człowiek zsuwać się zaczął z bezmiernej pochyłości. I kędyś, u krańca, runął w mrok. To wiedział jeszcze. Runął w mrok. I w chwili, gdy pojął, pojmować przestał.

KONIEC TOMU DRUGIEGO  
I OSTATNIEGO





WYDAWNICTWA TOW. WYD. „IGNIS”  
(E. WENDE i SKA) S. A. W WARSZAWIE

---

## EDYCJA POLSKA PISM JACKA LONDONA

Dziesięć wydanych dotąd tomów pism autora „Martina Edena” w polskim przekładzie, wprowadziły Jacka Londona do literatury polskiej i zgotowały znakomitemu pisarzowi amerykańskiemu gorące uznanie i szeroką popularność. W czasach powszechnego zblazowania i wyrafinowanej kultury umysłowej, świat bohaterów Jacka Londona, kędy żelazny, pierwotny człowiek styka się z potężną i groźną przyrodą, pociągnął przemożnie czytelników polskich egzotycznym środowiskiem, atmosferą zdrowej siły, niezłomnej woli i nadludzkich nieomal wysiłków.

Starcie białej rasy z czerwonoskórymi i czarnymi, znane dotąd tylko z licznych powieści dla młodzieży, rysuje się pod piórem Londona z wielkim realizmem i prawdą życiową. Nie są to już fantastyczne walki papierowych cowbojów z papierowymi Mohikanami — dominują w tych opowiadaniach ogólnoludzkie zagadnienia dobra i zła, miłości i śmierci, siły i słabości, tylko, że występują one w odmiennej, niezwykle oryginalnej formie prostych, jakby wyrosłych ze skalistej ziemi, pierwotnych instynktów. Ludzie Jacka Londona mają coś nadludzkiego w sobie, ale nadludzkość ich wynika ze zrośnięcia się z surową przyrodą, od której nas oddzieliła wielowiekowa kultura.

*PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA*

*ODYSSEA PÓŁNOCY*

*SERCE KOBIETY*

Trzy pierwsze tomy opowiadań z Klondike, poświęcone są ludziom Północy, poszukiwaczom złota, awanturnikom i smutnym, ginącym w grozie Indianom. Mistrz noweli daje tu szereg świetnych obrazów, w których konflikty dramatyczne rozstrzygają się przeważnie na bez-

kresnych szlakach śnieżnej martwicy, znaczonej tylko mknąciami zaprzęgami psów i śladami krwi purpurowej. Ostatnia z tych książek, „Serce kobiety“, która niebawem ukaże się w II-gim wydaniu, jest zbiorem nowel erotycznych. Miłość mężczyzny i kobiety jest tu motywem naczelnym. Ale jakże dalekie są te erotyki od atmosfery buduarów i perwersji! Zagadnienie płci, wszelkie kwestje psychologiczne i etyczne z niem związane, występują tu w granitowej formie pierwotnych pojęć i wyobrażeń. A życie tych ludzi mroźnej północy ujęte jest w lapidarny język Londona, który tłumaczka, St. Kuszelewska, oddała wiernie i bez reszty.

## NA SZLAKU

Szkice autobiograficzne pod tym tytułem, są właściwie szeregiem opowiadań z życia band łazików amerykańskich, którzy ceniąc nadewszystko swobodę, przenoszą się z miejsca na miejsce towarowemi pociągami i żyją z jałmużny i kradzieży. Pominąwszy już niezwykle przygody, jakie ci chłopcy spotykają w swej wędrówce, książka jest kopalnią najciekawszych rysów obyczajowych i jednym z najlepszych typów włóczęgostwa w literaturze świata. „Na szlaku“ nabiera tem żywszych i bardziej prawdziwych rysów, że London sam brał udział w tej włóczędze — i to, co opowiada, widział własnymi oczyma i na własnej odczuł skórze.

## WILK MORSKI

(Powieść, 2 tomy)

„Wilk Morski“ jest wielkim romansem Oceanu. Dzieje subtelного intelektualisty, który dzięki przypadkowi dziełić musi dolę i niedolę miotanego przez fale skunera, są najprzedniejszą opowieścią awanturniczą, jaką najnowsza literatura posiada. A jednak fascynująca akcja „Wilka Morskiego“ nie przysłania ani na chwilę ciekawego problemu zetknięcia się nowoczesnego sybaryty z dziką poezją żywiołów przyrody, problemu, który czyni z tej powieści historję człowieka, podnoszącego się z dna upadku sił fizycznych, ku wyżynom nowej, silnej, zdobywczej rasy.

„Wilk Morski“ jest pierwszą na większą skalę zamierzoną próbą wprowadzenia do literatury polskiej

słownictwa morskiego, które teraz, w momencie uzyskania własnego morza, musi być przyswojone przez upośledzoną pod tym względem mowę polską, to też przekładu dokonał J. B. Rychliński, jedyny chyba dotąd w Polsce poeta-marynarz.

## OPOWIEŚCI MÓRZ POŁUDNIOWYCH

„Opowieści mórz południowych“ przenoszą nas w podzwrotnikowy skwar Melanezji. Strony te zna London tylko z morskich wędrówek, to też zawarte w tym tomie nowele nie posiadają cech studjów psychologicznych, lecz są barwnym wizerunkiem koralowych atoli, miliona wysp zamieszkałych przez dzikich ludożerców, wśród których — na lądzie i na morzu, podczas burz i skwarów, na płonących okrętach i w niedostępnych lasach dziewiczych, biały człowiek walczy czasem z rozpaczą, a czasem z bravurą i humorem ze straszliwą przyrodą i jeszcze straszliwszymi tuziemcami. A nad wszystkim rozpościera się palące niebo południa, które przesyca atmosferę i życie ludzi chorobliwym dreszczem obcych, odmiennych, dalekich lądów Wielkiego Oceanu.

## PISMA WYBRANE JOSEPHA CONRADA (KORZENIOWSKIEGO)

Wielki prozaik angielski i syn polskiej ziemi, który w swej przybranej ojczyźnie i w całym świecie uznany jest za genialnego pisarza od lat wielu, doczekał się wreszcie edycji zbiorowej w języku ojczystym.

„Pisma Wybrane“, poprzedzone przedmową Stefana Żeromskiego, z czasem obejmować będą kilkanaście, chronologicznie numerowanych tomów, które zawrą najlepsze utwory autora „Nostromo“ i „Zwycięstwa“. Głęboki myśliciel i świetny artysta, ten, który żywioł morza przeniknął tak głęboko, jak Hamsun żywioł ziemi, a Kipling harmonję skłóconego świata w polskiej literaturze znajduje sobie wyjątkowe miejsce pisarza, który w obcej mowie pisał i obcym przyglądał się lądom, lecz pochodzeniem swym — a nawet szczególnym ujęciem słów i wyobrażeń — świadczyć będzie zawsze o ojczyźnie, w której stała jego kolebka.

Dotychczas ukazały się:

*Tom I. FANTAZJA ALMAYERA*  
*opowieść o wschodniej rzece.*

„Biały człowiek” — Almayer — rzucony samotnie na brzeg oddalonego Bornea i otoczony zewsząd ludźmi obcej rasy, pod piórem Conrada wyrasta do wysokości absolutnego wygnańca, beznadziejnie zagubionego na rubieży duchowego pustkowia i namiętnych, fantastycznych marzeń o pełnym życiu. Obcość, niby fatalna siła, wciska się zewsząd w życie Almayera — poczynając od żony Malajki, a kończąc na wrogim stosunku przybywających na Borneo Europejczyków, wszystko osacza go i wyzuwa z ziemi, własności żyjącego człowieka. Kiedy zaś córka własna, wypierając się krwi ojca, śpieszy za dzikim Deinem, wówczas pryskają wszystkie więzy, łączące Almayera ze światem, a skłócona jego „fantazja” zamienia się w dręczące „nocturno”.

Fascynująca akcja tej powieści, rozgrywająca się na tle świetnie odczutej bujnej przyrody egzotycznej, zyskała w Anieli Zagórskiej świetną tłumaczkę, piękny ekwiwalent oryginału w języku polskim.

*Tom III. MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA”*  
*opowieść o kasztelu.*

Powieść — „jaką raz tylko w życiu można napisać” — według słów autora, daje przekrój życia małego światka, kasztelu na pływającym okręcie, przekrój zbiorowej psychiki wobec niebezpieczeństw życia i wobec śmierci. Pośtać murzyna Waita, stowarzyszonego z czujnie tropiącą go śmiercią, jest tylko soczewką, która skupia splątane nici mieszkańców „Narcyza” i w pięknej konstrukcji artystycznego słowa, żłobi głębokie rysy ich wspólnego oblicza. „Murzyn z załogi Narcyza” jest jakby syntezą morskiej powieści. Zarówno żywioł wody, jak i żywioł człowieka, przedstawiony tu jest pod tchnieniem wieczności i prawd wielkich, które zostały wydobyte przez śmiertelną walkę ludzi z najpotężniejszą siłą kosmiczną przyrody.

Arcydzieło to literatury wszechświatowej przyswoił literaturze polskiej znany poeta i stylista, Jan Lekański.

W druku:

*Tom XI. Sześć opowiadań.*

*Tom XVI. Zwycięstwo.*

W przygotowaniu:

*Tom II. Wygnaniec.*

*Tom IV. Niepokojne opowieści.*

*Tom V. Lord Jim.*

*Tom VI. Młodość.*

*Tom VII. Nostromo.*

*Tom VIII. Tajfun.*

*Tom IX. Zwierciadło morza.*

*Tom X. Tajny agent.*

*Tom XII. W oczach Zachodu.*

*Tom XIII. Z lądów i mórz.*

*Tom XIV. Wspomnienia osobiste.*

*Tom XV. Los.*

*Tom XVII. Linja cienia.*

*Tom XVIII. Złota strzała.*

## KSIAŻKI „IGNISA“

Biblioteka, którą Towarzystwo Wydawnicze „Ignis“ zaczęło realizować pod ogólnym tytułem „Książek Ignisa“, jest nowem wydawnictwem cyklicznem najwybitniejszych dzieł piśmiennictwa polskiego i literatur obcych, posiada jednak od dotychczasowych charakter zupełnie odmienny.

Poza niewielką ilością powszechnie znanych arcydzieł, których znajomość rozpoczyna się na ławie szkolnej i które każdemu kulturalnemu człowiekowi narzuca życie z konieczności, literatury świata liczą mnóstwo dzieł o wysokiej wartości artystycznej, będących przejawem twórczego ducha ludzkości i, narówni z głośniami arcydziełami, przejawiających ducha tego charakterystyczne znamiona. „Książki Ignisa“ mają właśnie za zadanie objęcie tej przebogatej dziedziny, pełnej najszacowniej-szych klejnotów, mają przypomnieć mistrzów słowa i utwory dawno zapomniane, mają wydobyć arcydzieła, dzięki przypadkowi czy bezprogramowości wydawniczej niesłusznie pominięte. mają wreszcie możliwie najszyb-

ciej opublikować nowe, dużej miary talenty, nie czekając, aż rozgłos ich i poczytność siłą faktu zmuszą kulturalny ogół do zapoznania się z niemi.

To założenie ogólne daje w „Książkach Ignisa“ prawo obywatelstwa wszelkim rodzajom form literackich — poezji, dramatowi, prozie poetyckiej, powieści, noweli, szkicom literackim i prozie refleksyjnej. Jeżeli proza epicka — powieść i nowela — zdobędą tu rolę przeważającą, to dlatego, że rodzaje te w naszej epoce najwspanialej się rozwinęły i największych posiadają przedstawicieli. W doborze utworów „Książki Ignisa“ nie będą się kierować żadnymi ograniczeniami, poza wysokiem wymaganiem w stosunku do ich artystycznej wartości. Obok największych literatur świata, na pierwszym planie oczywiście figurować będzie literatura polska, oraz charakterystyczne utwory piśmiennictwa ludów współżyjących z Polską — litewskiego, ukraińskiego i białoruskiego. Nie zbraknie również w tej kolekcji książek, poświęconych utworom znanym, lecz podanych w jakimś szczególnym, celowym ujęciu tekstu. W każdej książce natomiast tekst otoczony będzie pieczołowitością i staraniem — w dążeniu do absolutnej ścisłości, poprawności językowej i prze-stankowania.

## Nr. 1. ADAM MICKIEWICZ, *TOM PIERWSZY POEZJI 1822.*

Pierwszy tomik poezyj Mickiewicza, który tak wielką odegrał rolę w dziejach piśmiennictwa polskiego, wydany został w setną rocznicę ukazania się swego w dokładnym przedruku Wileńskiego tekstu, z zachowaniem właściwości ortograficznych i gramatycznych oraz układu utworów, tytułów i strof. Z drogocennego tekstu nie uroniono nic istotnego dla książki, przywracając mu pierwotne brzmienie, przekręcane częstokroć przez późniejszych wydawców. Książka posiada czar starego druku, a liczne zdobienia graficzne i szereg rysunków Tadeusza Gronowskiego, podnoszą jeszcze jej wartość.

## Nr. 2. C. K. NORWID, *AUTOPORTRET.*

Bogactwo ducha, przejawiające się w twórczości Norwida, wyrażone zostało przez wielkiego poetę w formie



niezwykle ciekawej, lecz trudnej do przeniknięcia. To też analogja niniejsza, ułożona, objaśniona i opatrzona Posłowiem przez Romana Zrębowicza, tak została skonstruowana, by możliwie wszechstronnie i syntetycznie ująć mogła w skromnych stosunkowo rozmiarach całokształt twórczości Norwida. Stąd tytuł „Autoportretu”, w którym wciąż jeszcze mało znany poeta poprzez własne utwory rysuje swe wyraziste oblicze duchowe.

Nr. 3 VILLIERS DE L'ISLE-ADAM.  
*AKEDYSSERIL.*

Wielki prozaik francuski i głęboki myśliciel, przejawiający swe doznania w cyzelowanych opowieściach, reprezentowany jest w tym tomie przez pięć nowel, które na tle życia Grecji, Francji, Anglii, Chin i Indji kreślą posągowe formy najgłębszych poruszeń uczuciowych i tajemnic ludzkiej psychiki. W tomie niniejszym nowele te podane zostały w wiernym i artystycznym przekładzie Wacława Rogowicza.

Nr. 4. L. R. STEVENSON,  
*KLUB SAMOBÓJCÓW.*

Sławny powieściopisarz angielski, jeden z tych, którzy należą do wielkiej linii rozwojowej prozy angielskiej od Defoe'a, poprzez Dickensa, aż po Conrada i Chestertona, daje w „Klubie samobójców” utwór o formie realistycznej baśni, w której szaleństwo i groza, wydobyte jakby ze współczesnego życia, skonstruowane są w kształt artystycznych zagadnień. Moment wysokiego napięcia zaciekawienia osiąga autor najprostszemi środkami niemal gawędziarskiej narracji. W prozie polskiej oddał ten utwór wiernie i ze zrozumieniem stylu Stevensona — Wiłam Horzyca.

Nr. 5. ADOLF DYGASIŃSKI, *ŁABĘDZIA  
WODA.*

Niedoceniony realista prozy polskiej, jeden z pisarzy najbardziej wtajemniczonych w życie przyrody, Adolf Dygasiński przypomina się w tej książce dwoma charakterystycznymi dla swego talentu utworami. Obok „Łabędziej wody”, małego poematu prozą, tętnem skwarne



życia ujmującego wycinek zaobserwowanej rzeczywistości, książka zawiera dłuższą „nienaturalną historję psa“, w której barwnie opisane perypetje doli i niedoli „Kwiatka“, pełne są ostrej obserwacji, wyrażonej jędrnemi zwrotami swoistego, bogatego języka.

Nr. 6. *ŻYWOT ŁAZIKA Z TORMESU*,  
(„La vida de Lazarillo de Tormes“).

Powieść starohiszczańska z połowy XVI w., utwór nieznanego autora, dorównyujący popularnością „Don Kichotowi“, jest dziełem wybitnego talentu, który zapewnił tej powiastce wielowiekowy żywot. W historii literatury „Łazik“ ma miejsce wysoce poczesne: jest on prawzorem t. zw. „powieści filuckiej“, powieści o hultaju, przebiegłym łotrzyku, będącym ironicznym kontrastem do bohaterów rycerskich. Ale poza tem historycznym znaczeniem, „Łazik“ dziś jeszcze jest świetnym wzorem realistycznej prozy, żywego opowiadania, humorystycznego zacięcia i znakomicie charakteryzowanych postaci, który czyta się z bezpośrednim zainteresowaniem. „Żywot Łazika z Tormesu“ wydany jest w języku polskim po raz pierwszy, w wiernem tłumaczeniu prof. Maurycego Manna, z przypisami i charakterystyką literacką pióra tłumacza.

Nr. 7. GOTFRYD KELLER, *ROMEO I JULIA  
NA WSI*.

Tragiczny motyw szekspirowski o parze zakochanych, którą gubi zawzięta nienawiść rodziców — wielki epik szwajcarski ujął i ukształtował w tej noweli chłopskiej tak odrębnie, iż powstał utwór o zgoła nowych zaletach artystycznych i o znaczeniu ogólnoludzkim, pod względem architektoniki, bogactwa kolorytu i głębi odmalowanych tu przeżyć — jest to dzieło mistrzowskie o nieprzemijającej wartości. Utwór Kellera ukazuje się w nowym tłumaczeniu Stefana Frycza i Alfreda Toma.

Nr. 8. CH. BAUDELAIRE, *MOJE SERCE  
OBNAŻONE*.

Dzienniki intymne Karola Baudelaire'a — to jedna z najpiękniejszych i jedna z najszczerzych książek, jakie

zna literatura pamiętnikowa. Zdania, notatki luźne i uwagi nieraz poprostu wstrząsają swą głęboką prawdą. Obnażają one nie tylko serce wielkiego poety, którego wpływ zaciężył na całym pokoleniu Francji literackiej, ale dają szereg spostrzeżeń, głęboko wnioskujących w tajniki psychologii ogólnoludzkiej. Przyswoił je literaturze polskiej wiernie Czesław Kozłowski.

#### Nr. 9. J. P. JACOBSEN, *MOGENS*.

W drobnym tym utworze zwykłym zdarzeniom życia ludzkiego autor nadaje jakiś szczególny czar baśniowy — i przez to toruje nowe drogi artystycznemu przedstawianiu rzeczywistości; osiąga to dzięki właściwościom swego stylu, który łączy w sobie obrazowość malarską z dynamiką muzyczną, przedziwną miękkość i tklivość z twardzizną bezlitosnych zgrzytów. „*Mogens*” — pisał Ola Hansson — tworzy podwoje, prowadzące do całego współczesnego piśmiennictwa Skandynawji. Przetłumaczyli „*Mogensa*” po raz pierwszy na język polski Stefan Frycz i Alfred Tom.

#### Nr. 10. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, *UCIECZKA DO BAGDADU*.

„Świetny prozaik”, jak Iwaszkiewicza nazwał w swej ostatniej książce Stefan Żeromski, w tem pięknym, fantastycznym opowiadaniu najczyściej może przejawia „dwa szczerzłote przymioty, zapowiadające świetnego pisarza — najzupełniejszą oryginalność pomysłów i najbezwzględniejszą szczerzość wynurzeń”, które autor „*Popiołów*” młodemu powieściopisarzowi przyznaje. „*Ucieczka do Bagdadu*” rozgrywa się na tle jakiegoś fikcyjnego Astrachanu, przypominającego już to szekspirowskie Czechy, już to Polskę Calderona, rozwijając zawiłą, ciekawą intrygę, niby jakiejś fantastycznej komedji lub groteskowo-poetyckiej igraszki.

#### Nr. 11. STANISŁAW WITKIEWICZ, *MYŚLI*.

Uwagi o sztuce, głównie o malarstwie, ogłoszone tutaj po raz pierwszy z pośmiertnej spuścizny po znakomitym malarzu i krytyku, cechuje właściwa mu bystrość i śmiałość wraz z rzetelnością w ocenie zjawisk i zagadnień.

Liczne notatki o sprawach wychowawczych i narodowych, dorzucają kilka nieznanych rysów do wizerunku tej świetlanej postaci zgasłego przed kilku laty mędrca zakopiańskiego.

Nr. 12. CH. L. PHILIPPE, *DOBRA MAGDUSIA  
I BIEDNA MARYNIA.*

Charles-Louis Philippe jest poetą drobnych istot, zagubionych w natłoku ludzkiej ciżby. Odnajduje on tych małych, pognebionych ludzi i ze specjalną pasją odmalowuje ich szare istnienie, gdzie znikomy promień słońca staje się już przyczyną głębokiego szczęścia. Małe miasteczka prowincjonalne Francji, zapomniane przez olśnionych światłem stolicy literatów, są widownią jego słodkich opowiadań. Nikła napozór akcja tych historyjek, przepojona jest nieznaną słodyczą, pogodą i czułością wobec każdego przedmiotu świata zewnętrznego: starego domu, drzewa w słońcu, wiernego zwierzęcia. Przekład J. Iwaszkiewicza, którego stylowi tak dobrze odpowiada spokojna zaduma Philippe'a, odznacza się wysokimi walorami artystyzmu.

W przygotowaniu:

Nr. 13. TEODOR DOSTOJEWSKI, *WIECZNY  
MAŁŻONEK.*

Nr. 14. JERZY MEREDITH, *HISTORIA GENERAŁA  
OPPLE I LADY CAMPER.*

Nr. 15. GIOVANNI BOCCACCIO, *FIAMETTA.*

Nr. 16. JERZY DUHAMEL, *O POEZJI.*

Nr. 17. ANTONI LANGE, *TRZECI DZIEŃ.*

Nr. 18. JOSEPH CONRAD, *FREJA Z SIEDMIU WYSP.*

Nr. 19. DOMINIK MAGNUSZEWSKI, *POSIEDZENIE  
BACCIARELLEGO MALARZA.*

Nr. 20. HENRYK MANN, *FLETNIE I SZTYLETY.*

Nr. 21. JANUSZ KORCZAK, *OBRAZKI I SCENY.*

Nr. 22. JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI, *NOWELE.*

Nr. 23. MACIEJ SARBIEWSKI, *TESKNOTA DO  
BŁĘKITNEJ OJCZYZNY.*

Nr. 24. JULJUSZ LAFORGUE, *MORALNOŚCI  
LEGENDARNE.*

Nr. 25. ADAM MICKIEWICZ, *TOM II POEZYJ, 1823.*



